

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

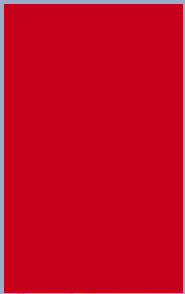


**DLA KOGO
NIKE?**
Czytelnicy już
wybrali ► 2-3



**WYSOKIE
OBCASY**
**Helena
Kulej**
Żona boksera

FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL



GAZETA

wyborcza.pl
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



Izrael wygra, ale przegra

- Libańczycy i Hezbollah. Pasożyt został przyjacielem ► 4-6
- Dlaczego nie będzie wolnej Palestyny ► 6-7

FOT. MENACHEM KAHANA / AFP / EAST NEWS

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 3448198



- A jednak smoki istnieją ► 34-35
- Solorz. Pejzaż rodzinny z PiS w tle ► 12-16
- Korporacje lubią migrantów ► 17-19
- General Polko gania z mopem ► 25-27

FOT. STOWARZYSZENIE NOWE HORYZONTY

**Zamach
na Kutscherę**
To nie „Ali”
nawalil? ► 40-43

**Św. Jan
Nepomucen**
zamiast wałów
i retencji ► 43

Nike Czytelników 2024 dla **Michała Witkowskiego**

„Nareszcie mogę mówić własnym głosem” – pisze Michał Witkowski w „Wierze”. Za ten niezwykle osobny głos pokochali go czytelnicy i nagrodzili pierwszy tom jego „Autobiografii”.

Sekret Witkowszczyzny

FOT. ADAM STEPIEN / AGENCIA WYBORCZA.PL

Wojciech Szot

Mam wielkie parcie na szkło”, przyznawał w wywiadzie dla „Wyborczej”. Rozmawialiśmy tuż przed premierą „Autobiografii”. Na stacji benzynowej gdzieś pod Wrocławiem. Pisarz prosił, żeby nie podawać bliższych koordynatów. Tło do zdjęcia wybierał jednak starannie.

– Dlaczego nie rozmawiasz ze mną tak, jak rozmawiałbyś z Myśliwskim? – spytał, gdy zacząłem od ogłoszonej przez niego wyprzedaży „kreacji z poprzednich sezonów od projektantów”. Zdradził jednak, że po latach ekstrawaganckich strojów zamierza stawiać na eleganckie garnitury. Jak zapowiedział, tak zrobił – dziś efekty można oglądać na jego profilach w „socialach”.

Dlaczego nie rozmawiałem z Witkowskim, jak rozmawiałbym z Myśliwskim? Bo trudno oddzielić Witkowskiego twórcę od Witkowskiego performer, który cały czas zabiega o uwagę czytelników. Nie tylko literaturą.

Narodziny gwiazdy

Po raz pierwszy w telewizji wystąpił w „Teleranku”. Nadawany od 1972 roku program oglądał niemal obsesyjnie. W „Autobiografii” wspomina, jak skacząc na łóżku, śpiewał razem z Majką Jeżowską „Mam fryzurę na cebule, przestraszyłam panią Ulę!”. Zazdrościł dzieciom, które w nim występowały.

Kiedy ogłoszono konkurs na opowiadanie o pionierach z Leningradu, których pokazano w programie – ojciec namówił go do wzięcia w nim udziału. I to on napisał wypracowanie. „Gdyby jeszcze wczoraj zapytano mnie, jakie są dzieci z Leningradu, odpowiedziałbym:

nie wiem, nie znam... Lecz dzięki wspaniałemu filmowi wyemitowanemu w »Teleranku« są to teraz moi mali przyjaciele...” – pisał Witkowski senior. Junior po latach komentuje: „Porzygać się było można od tej wazeliny”. Konkurs wygrał, do telewizji z ojcem pojechał, nagrodę odebrał.

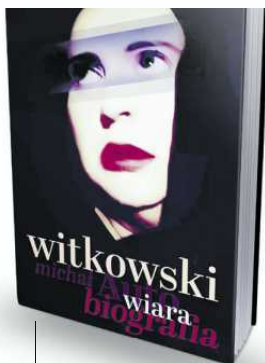
„Tak zostałem pisarzem: cudzym wypracowaniem, na dodatek socrealistycznym” – pisze. Prawda to czy zmyślenie? Czy naprawdę – jak deklaruje wołałby – być gwiazdą estrady niż pisarzem? Od wielu lat – głównie dzięki social mediom – prowadzi z czytelnikami wyrafinowaną grę, w której stawką są sława, pieniądze, ale też – choć czasem trudno w to uwierzyć – literatura.

„Prawdziwa pedalska drama queen”

Witkowski jest pełen sprzeczności, podobnie jak jego stylizacje, które prezentuje na ściankach.

Choć jest uznawany za jednego z najważniejszych polskich pisarzy, to bez wahania potrafi powiedzieć, że literatury w jego życiu mogłoby nie być. W „Autobiografii” pisze: „Gdybym mógł wybrać, sprzedałbym to całe pisanie za pięć złotych”.

Na literackie salony wprowadził ciotowski slang – i to wtedy, gdy emancypacja osób nieheteronormatywnych dopiero raczkowała – ale jeży się, gdy słyszy pytanie o emancypacyjny charakter wydanego w 2005 r. „Lubiewa”. Na określenia „gejowski pisarz” czy „queerowa literatura” obraża się całym sobą. Na krótko, bo przecież bez me diów nie ma rozgłosu.

**Michał
Witkowski****Wiara.
Autobiografia**Znak
Literanova**Kod
dostępu do
Wyborcza.pl****VX87H65****1**
Wejść na stronę
Wyborcza.pl/
magazynkod**2**
Wpisz kod
w polu
„Kod promocy-
jny”**3**
Podaj adres
e-mail, na
który przyz-
namy dostęp**4**
Aktywuj dostęp
w ten weekend

* Oferta tylko dla
użytkowników, którzy
w ostatnim roku nie
posiadali prenume-
raty w serwisie
Wyborcza.pl. Dostęp
do serwisu w dniach
5-6.10.2024 r.

U Witkowskiego nigdy nie wiadomo, gdzie kończy się żart, a zaczyna powaga. Kiedy to jest rozmowa o dramacie egzystencji, a kiedy parada po czerwonym dywanie dla uciechy gawiedzi. Czy celebryckie życie, które od lat performuje, jest tym wyśnionym i wypragnionym, czy to ironiczna gra z tradycyjnym wizerunkiem pisarza i jednocześnie promocja doskonała? Zapewne każda odpowiedź jest poprawna.

Korzystając chętnie z osiągnięć emancypacji, Witkowski odcina się od niej, jakby wciąż chciał tkwić w świecie, gdzie – jak pisze w „Autobiografii” – tylko jeden wrocławski szałet nie był pikietą. Z tymi sprzecznościami nie zawsze radzą sobie krytycy, ale kocha ją je czytelnicy. Jak pisała Kinga Dunin, „Witkowski jest prawdziwą pedalską drama queen”, którą – dodajmy – śledzi w portalach społecznościowych kilkadziesiąt tysięcy osób.

Diwy rodzą się w zwykłe dni

Jak na diwę przystało, „Wiara” (autobiografia tom I, lata 1975-1990), zaczyna od baśni. Jak przystało na komunistyczną Polskę, jest to biedabaśni. Oto w „kosmicznym pierdólniku”, gdzie „gwiazdy zapalają się i gasną jak przepalone żarówki w dawnym szyldzie dancingu Europa”, nastal 17 stycznia 1975 roku. Był to dzień zwykły, „szary, mroźny”. Żadna kometa nie wskazywała na klinikę we Wrocławiu, więc królowie mogli dalej zasiadać na tronach. Nic nie zdradzało, że o godz. 16.00 na świat przyjdzie Michaśka.

„Ważylem dwa kilo dziewięćset i nie miałem pojęcia, że to się już nigdy nie powtórzy”, pisze zbliżający się do 50. urodzin Witkowski. Jak przystało na własnego biografa, czy raczej twórcę własnego mitu, po scenie narodzin opisze pierwsze wspomnienie.

„Dwie pielęgniarki i lodowata kozetka”, smród państwowej służby zdrowia, parawan, „ściany pomalowane do połowy żółtawą farbą olejną, żeby łatwiej było myć gąbką”. I ryk przerażonego lodowatą ceratą dziecka.

Witkowski fantastyczną, quasi-bańkową, rozbuchaną frazą wprowadza czytelników nie tylko w świat lat 70. XX stulecia, ale też w świat swojej literatury, odsłania – jak sam pisze – „molekuły narracji”. Tym samym „Autobiografia” staje się nie lada gratką dla miłośników prozy autora „Margot”.

Opowieść pisarza o pisaniu

Czego się dowiadujemy?

Tego, że szpitalne wspomnienie „zaplątało” się w „Lubiewie” (2005) w historii umierającej w szpitalu na AIDS Dżesiki, a pierwowzorem tytułowego Drwała (2011) był Robert, który miał domek w „Międzyzdrojach, ale inny i gdzie indziej niż w powieści”.

Tego, że Las Trujaków w „Wymazanym” (2017) to „gęsty od wyłącz- nie trujących grzybów” las w nadmorskich Rowach.

Tego, że „Margot” (2009) Witkowski uważa za powieść nieudaną, a najwięcej rodzinnych historii zaplątało się w „Wymazanym”, którego jedną z bohaterek jest „Babcia Wrocławska”, czyli babcia pisarza. Pierwowzorami Małpy i Wariata opisanymi w „Barbarze Radziwiłłównie z Jaworzna-Szczakowej” (2007) byli zaś „pół mafiozi, pół przedsiębiorcy” prześiadujący w kawiarni wrocławskiego hotelu Monopol.

W swojej prozie zawsze sufłował, że nie sama wyobraźnia jest tu twórczym, ale prawdziwe życie. Teraz jego czytelnicy mają okazję skonfrontować swoje przypuszczenia z autorskim komentarzem, jak choćby w tej opowieści o powstawaniu „Lubiewa”:

„Jeździłem na te gejowskie plaże w Lubiewie i w Rowach (...) po pięć razy w sezonie, czasem na miesiąc (...). Nazywałem to, że jeżdżę do »hurtowni po towar«, czyli po opowieści i obserwacje. A tam kolejne ciotki się do mojego koca dosiadały, papieroski, może kawusi z termosu, i zaczynały opowiadać, bez proszenia, a u nas, w Bydgoszczy, to była taka, co ją nazywali... I po powrocie (...) spisywałem to wszystko w zeszytach. To był bardzo przyjemny riserc, wystarczyło się kąpać nago, opalać nago, latać po wydmach i raz po raz gościć starszą ciotkę »epicką«, czyli z umiejętnością opowiadania”.

Witkowski czuje epokę

Witkowski, którego życiowa dewiza brzmi: „Nigdy na widowni – zawsze na scenie”, zapowiada, że „Wiara” to dopiero początek. Czekając na kontynuację – która być może nie nastąpi, bo nigdy nie wiemy, kiedy on mówi poważnie – możemy zatopić się w lekturze opowieści, która pod warstwą pełnej dezynwolturny paplaniny jest niezwykłą, realistyczną relacją z czasów PRL. Zachwycić się bogactwem detali i sensualnymi opisami minionej epo-

OGŁOSZENIE



Kraj/34333805

REKLAMA

Mecenas strategiczny:

PANATTONI

Mecenas:



Fundator nagrody głównej:

Partner
wydarzenia:Współproducent
gali:

ki. Ale nie sprowadza się ona tylko do wyliczanki artefaktów, pisarz próbuje uchwycić rzeczy ulotne jak zapachy.

A ma niezwykle czule powonienie. O latach 70. pisze, że były to czasy, w których śmierdziało na potęgę.

Śmierdzi „skwaśniałym nabiałem sklep z ciekącymi kefirami”, moczą pod mostem, winda w zdemolowanym bloku obłożonym azbestem i szatnia na wuefie, gdzie „męska część klasy przeżyła ogony”.

Są też zapachy, które trudno zaklasyfikować. Witkowski pisze: „Elektryczność ostro pachniała, zanim obróciła się w elektroniczność. Zapach ten pojawiał się w przypadku przepalonych żarówek, otwierania obudowy telewizora, w okolicach migających na fioletowo jarzeniówek (...)”.

Fascynujący – zwłaszcza dla kogoś, kto choć chwilę spędził w PRL – jest rozdział „Zapomniane zapachy z dzieciństwa”. A w nim choćby świeżo wylany asfalt, szampon jajeczny, sanki i wszechobecny na Dolnym Śląsku zapach „mroźnego smogu zimowego”. Jest to nostalgiczne i dokumentalne, ale jest też w tym coś mrocznego. Bo przecież kojarzący się z czasem Bożego Narodzenia zapach smogu spowijającego zaśnieżone miasteczka, to jednak zapach, od którego się umierało.

Każdy z nas staje się Michašką?

Krzysztof Siwczyk w krytycznej – nawet nie tyle wobec książki, ile samego autora – recenzji pisze, że „nagromadzenie obowiązkowych ornamentów tamtego świata powoduje w pewnym momencie czytelnicze mdłości”.

Innego zdania są czytelnicy głoszący na książkę Witkowskiego w plebiscycie „Wyborczej”. W przysyłanych recenzjach znajdujemy choćby taki głos: „Witkowski porywa czytelnika w czasy swojej młodości, ale opisuje ówczesną rzeczywistość w taki sposób, że każdy z nas staje się na czas lektury Michašką. A kto pamięta epokę schyłkowego PRL-u czy przemiany ustrojowe – ten czytając autobiografię Witkowskiego, wręcz zajada się magdalenką Prousta”.

Siwczyk – jednocześnie przewodniczący jury Nagrody „Nike” – jakby nie zauważył, że cała twórczość tego autora opiera się właśnie na nadmiarach – zarówno artefaktów, jak i środków wyrazu. Na tym polega queerowe napięcie, które korzysta z estetyki kampu i kiczu, ale którego celem nie jest tylko estetyka, ale i stworzenie innej opowieści o naszej codzienności. Opowieści, w której egzystencjalny dramat przeobraża się w zwojowy pozłotka i kilogramów brokatu.

A co z tytułową wiarą? Można łatwo o niej zapomnieć, bo Wit-

kowski porusza tyle tematów i wątków, że sam wiara gdzieś ulatuje. A przecież to „Autobiografia” dziecka, które fascynuje religijny teatr. Małemu Michałowi Kościół katolicki oferował ucieczkę od rzeczywistości „lekcyjno-stołówkowej”. Budynek był dla niego „pałacem pełnym malowideł”, a książka – „odziana w złote sukienki gwiazdą na scenie”.

„Byliśmy też jeszcze zbyt młodzi, aby zastanawiać się nad tym, dlaczego, do jasnej cholery, każe się nam zjadać Chrystusa”, pisze Witkowski. I zauważa, że „koniec wiary zbiegł się z końcem bycia dzieckiem”. Jednocześnie fragmenty opisujące dziecięcą fascynację religią czy opowieść o zabójstwie księdza Popieluszki wydają się najbardziej zgrane i nastawione na kontrowersję, której nie udaje się osiągnąć. I nie pomaga nawet queerowe czytanie kościelnych rytuałów eksponujące ich transgresywną strukturę.

„Napięcie między jasnością a mrokiem”

Nostalgii towarzyszy w „Autobiografii” – jak pisał w magazynie „Książki” Dariusz Nowacki – „napięcie między jasnością a mrokiem”. Bieda i brud stoją w opozycji do obecnego, celebryckiego statusu pisarza. Prześladowanie i wyobcowanie są skontrastowane z narcystycznym poczuciem wyjątkowości i czerpaniem perwersyjnej przyjemności z poniżenia. Werystyczny opis rzeczywistości stoi też w sprzeczności z bogatym, niemal poetyckim językiem.

Całości dopełniają zdjęcia z prywatnego archiwum pisarza. Najbardziej niejasne w świecie, które każdy z czasów Witkowskiego ma w albumie. Rodzice, babcia, wujek, „z tatą w Enerde”, Michaś na kolanach Dziadka Mroza. Ikona końca komunistycznej epoki. Jej zwykłość kontrastuje z tym kim dzisiaj jest zarówno Witkowski pisarz, jak i Witkowski narrator opowieści o sobie. To rodzi specyficzne napięcie, które towarzyszy nam przez cały czas przy lekturze „Autobiografii”.

Napięcie, które sprawia, że nawet ci bardziej krytyczni czytelnicy śledzą życie, które pisarz-celebryta i człowiek sukcesu prowadzi w sieci. To napięcie między społecznym oczekiwaniem wobec figury twórcy a rzeczywistością, w której pisanie jest zawodem utożsamianym raczej z biedą niż zamożnością.

„Witkowszczyzna”

Twórcą, którego podejście do sztuki i życia wydaje się podobne był Witkacy. Słynny portrecista miał powiedzieć, że „są trzy zasadnicze

NOMINOWANI



Marzanna B. Kielar
Wilki



Urszula Kozioł
Raptularz



Małgorzata Lebda
Łakome



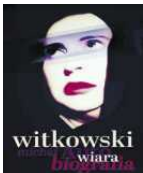
Cezary Łazarewicz
Na Szewskiej. Sprawa Stanisława Pyjasa



Piotr Paziński
Przebierańcy w nicości



Andrzej Sosnowski
„Elementaże” (1 & 2)



Michał Witkowski
Wiara. Autobiografia

Nike to najważniejsza nagroda literacka w Polsce.

6 października 2024 r. zostanie wręczona po raz 28. na Gali,

która odbędzie się w Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie.

O godz. 20 będzie można ją oglądać na Wyborcza.pl

oraz w TVP2 i TVP Kultura.

Na gali zostanie też wręczona

Nike przyzna przez czytelników

motory wszelkich ludzkich poczynani: pieniądze, kobiety i władza”.

Gombrowicz pisał o nim, że był „osobowością bardzo silną, przynajmniej nawet, umysłowością świetną, choć ponurą i niepokojącą, artystą o znakomitych uzdolnieniach, ale jakby dotkniętym perwersją czy manierą, które czyniły go (...) bardziej odstręczającym niż pociągającym”. Te słowa doskonale pasują też do Witkowskiego.

Podobnie jak Witkacy, Witkowski samego siebie używa jako tworzywa. Stroi miny, stroi sam siebie. „Precz z wszelkim szablonem” – mówi w „Jedynym wyjściu” malarz Marceli, alter ego Witkacego. Michaśka Witkowska z pewnością by się pod tym podpisała.

Zresztą Witkowski swoją biografią dzieli się z czytelnikami od lat. Na zamkniętych grupach w serwisach społecznościowych sprzedaje utwory autobiograficzne, a także powieści.

– Piszę z myślą o handlu bezpośrednim, poza rynkiem, ponieważ dziś w papierze nie można sobie pozwolić na wszystko – mówił w rozmowie z „Wyborczą”. Jak przyznawał, treści te „nie są przeznaczone – na razie – do druku”.

Biznesowa smykałka i innowacyjność Witkowskiego również przywodzą na myśl Witkacego, który w 1925 r. porzucił malarstwo na rzecz „Firmy portretowej S. I. Witkiewicz”, która to

podejmowała się „wykonania portretów poza lokalem firmowym jedynie w wypadkach wyjątkowych”.

Pisarz uwikłany w kapitalizm

„Żądza pieniądza jest motorem tego świata. Naszej kultury. Większość artystycznych projektów jest podejmowana z potrzeby zarabiania pieniędzy, co wcale nie sprawia, że stają się od tego mniej artystyczne”, tłumaczył Witkowski w naszej rozmowie.

W „Autobiografii” pisze, że jest „czołową polską kapitalistką do szpiku kości”, a przez miłość do sztuki „muszę przymierać głodem, a jako kapitaliście nijak mi to czynić”. Pokazuje – całym sobą i swoim pisaniem – paradoks i dramat naszego świata. Z jednej strony promuje on zindywidualizowany model jednostki, a z drugiej narzuca jej ograniczony zestaw akceptowalnych sposobów na wyrażanie siebie.

Być może jedyna możliwa wolność w tej sytuacji, to ucieczka w tragiczną grę z rzeczywistością. Grę, której Michał Witkowski jest mistrzem.

Jak trafnie zauważył jeden z czytelników, „Michał [Witkowski] nie chce, aby ktoś mu współczuł i klepał go po ramieniu”, ale chce dać czytelnikom szansę na zrozumienie, dlaczego jest dziś „tym, kim jest”.

Właśnie tę szczerość docenili nasi czytelnicy przyznając mu swoją Nike. ●

Nagroda Literacka Nike

• Nagroda Literacka Nike przyznawana jest corocznie za najlepszą książkę roku poprzedniego. W konkursie mogą brać udział książki reprezentujące wszystkie gatunki literackie, także dzieła humanistyczne „o wybitnych wartościach literackich”. Nike nie można przyznać pośmiertnie, nie można jej podzielić ani nie przyznać.

• Autorka lub autor nagrodzonej książki dostaje statuetkę zaprojektowaną przez Gustawa Zemłę oraz nagrodę pieniężną – 100 tys. zł.

• W tym roku w kapitule nagrody zasiadają: poeta i prozaik Krzysztof Siwczyk (przewodniczący jury), dziennikarz i reżyser Witold Bereś, dziennikarz „Wyborczej”, autor m.in. biografii Aliny Szapocznikow Marek Beylin, kulturoznawczyni Justyna Jaworska, pisarka i filozofka sztuki, Maria Anna Potocka, literaturoznawca i biograf Jarosław Iwaszkiewicz, Radosław Romaniuk, literaturoznawczyni związana z „Książkami. Magazynem od czytania” Katarzyna Sawicka-Mięrzyńska, nauczycielka

Maria Topczewska oraz reżyserka Maria Zmarz-Koczanowicz.

• Wśród dotychczasowych laureatów są m.in. Czesław Miłosz, Dorota Maśłowska, Wiesław Myśliwski, Radek Rak.

• W ubiegłym roku „Nike” – za powieść „Ten się śmieje, kto ma zęby” – otrzymała Zyta Rudzka. W plebiscycie czytelników triumfował Grzegorz Piątek i jego reportaż historyczny „Gdynia obiecana. Miasto, modernizm, modernizacja 1920-1939”.

Andrzej rysuje



Jak długo Izrael tak pociągnie

Sila ognia

JEST ZBYT MAŁA



Terroryści którzy wygrali i przebrali się w garnitury – jak niektórzy ojcowie założyciele Izraela – stają się bohaterami walki o wolność. Ci, którzy przegrywają – jak Hamas czy Hezbollah – pozostają terrorystami.

Mariusz Zawadzki

Kiedy Ben Tre, miasteczko w południowym Wietnamie, zajęły siły Vietkongu w lutym 1968 r., na ratunek mieszkańcom pospieszyło amerykańskie lotnictwo. „Okazało się konieczne, że żeby uratować miasto, musimy je zniszczyć” – wyjaśnił reporterowi Associated Press pewien major, którego nazwisko nigdy nie zostało ujawnione. Ale jego słowa przeszły do historii – jako lapidarne podsumowanie całej wojny w Wietnamie.

Logika amerykańskiego majora, w nieco zmodyfikowanej formie, pasuje również do wojen i zwycięstw Izraela. Po spektakularnej operacji przeciwko Hezbollahowi, w której tysiące bojowników okaleczyły wybuchające pagery, a ich legendarny przywódca zginął przysypany gruzami kilku bloków mieszkalnych, Izraelczycy mogliby śmiało powiedzieć: „Żeby pokonać wroga, musieliśmy go najpierw sami stworzyć”.

Nazajutrz po zwycięskim bombardowaniu premier Benjamin Netanjahu przemówił do narodu: – Hasan Nasrallah nie był jednym z wielu terrorystów, tylko terrorystą numer jeden! Był motorem, który napędzał irańską oś zła. Więc wydałem rozkaz i dlatego już go nie ma między nami.

W słowach tych nie ma krzty przesady. Miałem okazję oglądać w akcji bojowników kilku grup na Bliskim Wschodzie: szyickiej Armii Mahdiego w Iraku, sunnickich rebeliantów z przedmieść Bagdadu,

Hamasu w palestyńskiej Strefie Gazy, Brygad Męczenników al Aksa na Zachodnim Brzegu, Kurdów z PKK – wszyscy oni wydawali się harcerzami w porównaniu z Hezbollahem. Pod względem wyszkolenia, dyscypliny, siły ognia, raketowego arsenału i liczebności Hezbollah jest (był?) najmocniejszą organizacją paramilitarną na świecie. Gołym okiem widać ogromne pieniądze, jakie zainwestował w nią Iran.

Kiedy w sierpniu 2006 r. Izrael zbombardował studio telewizji Hezbollahu w Bejrucie, już godzinę później nadawała z rezerwowego, w tajnej lokalizacji. Kilka dni później Hezbollah zatrzymał mnie w opuszczonej wiosce kilka kilometrów od frontu; podejrzewali, że jestem izraelskim szpiegiem, ale – mimo dudniących nieopodal izraelskich bomb – przeprowadzili szybkie śledztwo, wykonali kilka telefonów do Bejrutu i puścili mnie wolno. Pelen profesjonalizm! Jedyne zbędne pytanie dotyczyło Holocaustu – liczyli, że jako przybysz z Polski potwierdzę ich podejrzenia, że został przez Zachód zmyślony lub przynajmniej wyolbrzymiony, żeby mieć pretekst dla stworzenia Izraela. Kiedy odpowiedziałem, że byłem w muzeum w Auschwitz, widziałem włosy i buty i wydawały mi się prawdziwe, byli rozczarowani, ale uszanowali moją odpowiedź.

Na Bliskim Wschodzie szekj Nasrallah miał status podobny do Che Guevary w świecie zachodnim: zuchwały rewolucjonista, który rzucił wyzwanie imperialistom/syjonistom. Kontrowersyjny i bezwzględny, ale jednak godny podziwu. Przez trzydzieści lat Izraelczycy bezskutecznie próbowali go dopaść. Jedyne w Syrii był powszechnie znienawidzony, bo wysłał bojowników Hezbollahu, żeby

pomogli prezydentowi Baszarowi Asadowi stłumić rewolucję. Również tam – tępiąc sunnickich rebeliantów i pacyfikując zbuntowane miasta i wioski – potwierdzili wysoką wartość bojową.

Dlatego dziś cały świat arabski jest w szoku. Przygotowania do ataku musiały zająć Izraelowi całe lata: najpierw należało w bojownikach zasiać strach przez telefonami (jako „łatwymi” do podsłuchiwania); podsunąć im pomysł, żeby wymienili telefony na odporniejsze na podsłuch pagery i krótkofalówki; podając się za węgierskich czy chińskich dostawców elektroniki – sprzedając im te pagery i krótkofalówki z wbudowanymi ładunkami wybuchowymi. Wszystkie eksplodowały jednocześnie, kiedy ktoś w Izraelu wcisnął odpowiedni przycisk – 18 września pagery, dzień później krótkofalówki. Zginęło tylko kilkunastu bojowników, ale tysiące było rannych, w szeregi organizacji wkradł się chaos, co Izrael wykorzystał, żeby w kolejnych dniach zlikwidować niemal całe dowództwo Hezbollahu.

27 września w nocy zginął Nasrallah. Najpierw kilka gigantycznych bomb obaliło bloki mieszkalne, a kolejne bomby – tym razem już penetrujące bunkry – zniszczyły schron, który znajdował się pod blokami, głęboko pod ziemią. W niecałe dwa tygodnie najsilniejsza grupa paramilitarna świata została – jak się wydaje – kompletnie rozbita.

Lecz akcja z pagerami wywołała obawy nawet w USA. „Nie ma żadnej wątpliwości, że to była forma terroryzmu. Udało im [Izraelczykom] się przeniknąć do światowego łańcucha dostaw urządzeń elektronicznych. Jeśli terroryzm wchodzi nawet tam, to co

do diabła będzie następne?” – pytał w telewizji CBS News były szef CIA Leon Panetta. Inni komentatorzy i analitycy dodawali, że skoro Izrael był w stanie zrobić coś takiego, to równie dobrze mogą to powtórzyć Chińczycy. To niepokojące, bo przecież 90 proc. iPhone’ów jest składanych w Chinach.

Liban nigdy formalnie nie uznał Izraela, ale nie brał udziału w wojnach, jakie z nim toczyły inne kraje arabskie. Nie miał żadnych roszczeń terytorialnych, był słaby militarnie i nie chciał się mieszać w międzynarodowe awantury. Sytuacja skomplikowała się na początku lat 70., kiedy palestyńskie grupy zbrojne zostały wygnane z Jordanii. Organizacja Wyzwolenia Palestyny (OWP) osiedliła się na południu Libanu i tam przygotowywała zamachy przeciwko Izraelowi (już wcześniej w Libanie mieszkaly setki tysięcy palestyńskich uchodźców, którzy uciekli z Izraela w 1948 r.). Co gorsza, duża mniejszość palestyńska włączyła się do wewnętrznych libańskich sporów politycznych między chrześcijanami, sunnitami i szyitami. Wybuchła wojna domowa, która trwała przez następne kilkanaście lat.

W 1982 r. izraelska armia wkroczyła do Libanu, żeby – jak zapowiadał rząd w Jerozolimie – przepędzić stamtąd palestyńskich terrorystów. Generałowie nadali operacji kryptonim „Pokoј dla Galilei”, ale po jej zakończeniu już nigdy nie było trwałego pokoju w Galilei (czyli w izraelskiej krainie graniczącej z Libanem). Izraelczycy oblegli Bejrut i w sierpniu 1982 r. wszyscy członkowie OWP – kilkanaście tysięcy bojowników z Jaserem Arafatem na czele – odpłynęli lub odlecieli z Libanu. Centrala organizacji przeniosła się do Tunezji.

Ale izraelscy żołnierze nie wycofali się z Libanu. Cemu? Tutaj dochodzimy do sedna tej dziwnej historii. Otóż Izraelczycy mieli w 1982 r. wiele ambitnych celów: chcieli zainstalować w Bejrucie przyjazny rząd; rywalizowali z Syrią, która również weszła do Libanu (ale od północy); wspierali libańskich chrześcijan przeciwko innym grupom religijnym i etnicznym, itd itp. Bardzo się w lokalne intrygi wciągnęli i przez następne 18 lat okupowali południe kraju. Tam właśnie narodził się szycki ruch oporu przeciwko okupantowi – Hezbollah. Zyskał wsparcie – moralne i finansowe – ajatollaha Chomeiniego, który po obaleniu szacha w Iranie chciał eksportować islamską rewolucję na cały świat. Izraelscy żołnierze stali się celem zamachowców samobójców, ginęli w zasadzkach, wybuchach przydrożnych bomb. Żeby zwalczyć partyzantkę, bombardowali i przeczesywali szyckie wioski i miasteczka, dzięki czemu ochotników do walki z okupantem nie brakowało.

W 1992 r. przywódca Hezbollahu został Nasrallah, który zastąpił poprzednika zabitego rakietą odpaloną z izraelskiego helikoptera. Pod jego przewodem organizacja odniosła dwa wielkie zwycięstwa – najpierw w 2000 r., kiedy Izraelczycy wreszcie wycofali się z Libanu, a potem w 2006 r., kiedy wrócili, ale po miesiącu ciężkich walk znowu się wycofali. Gwiazda Nasrallah nigdy nie świeciła jasnieј.

Teraz, kiedy został zabity przez swoich demiurgów, absurdalne koło historii zrobiło pełen obrót.

Akurat tak się składa, a może to nie przypadek, że Netanjahu odniósł swoje historyczne zwycięstwo kilka dni przed rocznicą swojej największej klęski.

Rok temu, 7 października, terroryści Hamasu przedarli się przez barierę otaczającą Strefę Gazy i wymordowali około 1200 Izraelczyków – mieszkańców osiedli i żołnierzy z baz wojskowych przy granicy. Armia przez wiele godzin nie reagowała; większość napastników nie tylko wróciła do Gazy, ale jeszcze uprowadziła zakładników. Na początku było ich około 250, do dzisiaj w niewoli Hamasu pozostaje około stu. Netanjahu był powszechnie krytykowany za nieudolność rządu i zlekceważenie terrorystycznego zagrożenia ze strony Hamasu. Posterunki wzdłuż granicy z Gazą były osłabione, bo armia przrzućiła część ludzi i sprzętu na okupowany Zachodni Brzeg, żeby zabezpieczać żydowskich osadników.

Jednakże premier nie uległ presji. Nie uderzył się w piersi ani nie podał się do dymisji, tylko zarządził brutalną wojnę odwetową. Od roku świat z przerażeniem patrzy na rosnące zwaly gruzów w Strefę Gazy, gdzie izraelskie bomby zabiły już 42 tys. ludzi, w większości kobiety i dzieci, a 60 proc. budynków zostało zniszczone (w mieście Gaza nawet 80 proc., czyli tyle samo co w Warszawie w II wojnie światowej); gdzie prawie dwa miliony ludzi koczują poza domami (które najczęściej już nie istnieją), a niektórzy nawet głodują, ponieważ Izrael ogranicza transporty żywności.

W Izraelu straszne obrazy z Gazy były pokazywane jedynie w pierwszych tygodniach wojny. Ostatnio pojawiają się w mediach bardzo rzadko, niemal

◀ **30.09. 2024. Zniszczone domy po izraelskich nalotach na miasto Khan Yunis na południu Strefy Gazy. BBC cytując źródła palestyńskie podało, że w ostrzale zginęło tam już 51 osób**

FOT. REUTERS/MOHAMMED SALEM

Cel uświęca środki?



PROC.

• **izraelskich Żydów na pytanie „Czy twoim zdaniem siła ognia używana w Gazie jest właściwa?” odpowiedziało, że „jest zbyt mała”**

wyłącznie w lewicowym dzienniku „Haarec”. Społeczeństwo od wielu miesięcy było całkowicie pochłonięte dramatem zakładników. I coraz bardziej wściekle na Netanjahu i jego rząd, który zapowiadał, że zniszczy Hamas i uwolni zakładników.

Oba cele nie zostały osiągnięte. Przez cały rok spośród 250 zakładników żołnierze uwolnili tylko ośmiu, a przynajmniej kilku omyłkowo zabili. Setka zakładników została wypuszczona przez Hamas w zamian za krótkotrwały rozejm i zwolnienie kilkuset palestyńskich więźniów. Ciała 37 zakładników zostały znalezione w Gazie – niektórych zabili porywacze, innych izraelskie bomby.

Ten bilans jest empirycznym potwierdzeniem dość oczywistej hipotezy: masowe bombardowania aglomeracji, w której ukrywani są zakładnicy, nie są dobrą metodą ratowania zakładników. Znacznie lepszą wydają się negocjacje z porywaczami, ale z nimi wiąży się zagrożenia natury politycznej.

Po pierwsze, negocjacje potwierdzają, że terroryści nie zostali – wbrew zapowiedziom sprzed roku – zniszczeni (skoro Izrael musi z nimi rozmawiać). Po drugie, radykalni żydowscy osadnicy, których dwa lata temu Netanjahu zaprosił do koalicji, żeby zdobyć większość w parlamencie, nieustannie grożą, że wyjdą z rządu. Bo, zdaniem ich przedstawicieli, Becalela Smotricza i Itamara Ben-Gwira, wycofanie wojska z Gazy w zamian za uwolnienie zakładników to byłaby kapitulacja przed terrorystami.

Netanjahu mówi, że robi wszystko, żeby uwolnić zakładników. Ale sprawia wrażenie, jakby robił wiele, żeby ich nie uwolnić. W rozmowach z Hamasem stawia coraz to nowe warunki. W toku negocjacji wydał rozkaz zabicia Ismaila Haniji, szefa biura politycznego Hamasu. Rozerwała go na kawałki bomba podłożona w hotelu w Teheranie. Był to kolejny zdumiewający sukces Mossadu, ale zrodził poważne wątpliwości co do intencji Netanjahu. Jeśli bowiem skrytobójczo zabija się głównego negocjatora wroga, to oznacza, że nie traktuje się negocjacji zbyt poważnie.

Jak zatem ocenić działania i motywy Netanjahu? Rodziny zakładników nie mają wątpliwości. Wykrzykują ciężkie oskarżenia przeciw premierowi na wielkich demonstracjach, które we wrześniu co tydzień szły ulicami Tel Awiwu i innych izraelskich miast. „Netanjahu w okrutny sposób zaniedbuje zakładników i z rozmysłem eskaluje sytuację. Dla niego liczy się tylko polityczne przetrwanie, więc przed rocznicą katastrofy 7 października podrzuca opinii publicznej nowy temat [nowy front na północy, pagery, zabicie Nasrallah]” – mówi dziennikarzom „New York Timesa” Noam Dan, w której rodzinie jest trzech zakładników (z czego dwóch już uwolnionych).

Netanjahu jest arcyministrem w sztuce utrzymywania się przy władzy – był premierem w latach 1996–99, 2009–2021 i teraz od 2022 r. Tworzył koalicje z centrolewicą, z religijnymi ortodoksami, z antyklerykałami, ze skrajnie prawicowymi osadnikami – z każdym, byle tylko zdobyć większość w Knesecie. Jego kariery nie pogrążyły nawet zarzuty korupcji, które prokuratura postawiła mu pięć lat temu (proces trwa, ale przeciąga się najpierw z powodu koronawirusa, teraz z powodu wojny). Jeśli jednak utrzyma się na stanowisku po największej masakrze w historii kraju, za którą jest powszechnie obwiniany, to Machiavelli i Talleyrand będą się z zazdrości przekręcać w grobach.

Poza granicami Izraela Netanjahu powtarza, że jego kraj w imieniu całego cywilizowanego świata walczy z terroryzmem. Jego wystąpienia oczekają poczuciem moralnej wyższości nad wrogiem. I to również – podobnie jak zwycięstwo nad Hezbollahem – jest dość paradoksalne. Bo przecież niektórzy z ojców założycieli Izraela, zanim zostali jego premierami i ministrami, byli wcześniej terrorystami.

Dwie żydowskie organizacje, które działały w brytyjskiej Palestynie od lat 30. ubiegłego wieku – Irgun i Lehi – przeprowadziły długą serię zamachów, w których zginęły setki przypadkowych arabskich cywilów, urzędników brytyjskiej administracji i kilku prominentnych polityków. Bomby podkładano na bazarach, na stacjach autobusowych, w pociągach i autobusach, na posterunkach policji, w urzędach, salach kinowych. W 1944 r. terroryści Lehi zamordowali lorda Moyne, brytyjskiego ministra ds. Bliskiego Wschodu i przyjaciela Churchilla. W 1948 r. Lehi zamordowała księcia Bernadotte, czyli specjalnego wysłannika ONZ do Palestyny, który mediował między Żydami i Arabami. Kilka razy żydowscy terroryści próbowali zabić brytyjskiego wysokiego komisarza Palestyny Harolda MacMichaela. W najsłynniejszym zamachu Irgunu bomba zniszczyła hotel King David w Jerozolimie, gdzie znajdowały się archiwa brytyjskiej administracji. Zginęło 90 osób, w większości przypadkowych cywilów.

Przywódca Irgunu Menachem Begin był premierem Izraela na przełomie lat 70. i 80., a przywódca Lehi, Icchak Szamir, został jego następcą. Pierwszy podjął decyzję o inwazji na Liban, drugi – o wieloletniej okupacji Libanu. Obaj należeli do Likudu, czyli centroprawicowej partii, której teraz przewodzi Netanjahu. Kiedy byli przyjmowani na salonach dyplomatycznych całego świata, nikt nie wypominał im dawnych czasów. Jak bowiem powszechnie wiadomo, terroryści którzy wygrali i przebrali się w garnitury, stają się bohaterami walki o wolność. Jedynie ci, którzy przegrywają – jak Hamas czy Hezbollah – pozostają terrorystami.

Nawet jeśli Netanjahu rozkręci inwazję lądową na Liban, to nie będzie przełom w historii Bliskiego Wschodu. Izrael i Liban realnie nie mają o co się spierać, dzielą je tylko złe wspomnienia. W dalszej perspektywie nie ma wielkiego znaczenia również wojna z Hamasem – nawet jeśli Netanjahu będzie ją przeciągał jeszcze wiele miesięcy, żeby nowe zwycięstwa zamazały w głowach wyborców masakrę 7 października.

Izraelczycy nie mają możliwości ani ochoty, żeby zajmować Strefę Gazy na stałe. To miejsce zbyt obskurne, zbyt gęsto zaludnione i – z ich punktu widzenia – bez żadnego znaczenia kulturowego. Hamas nie zostanie zniszczony, przeciwnie: dziesiątki tysięcy osieroconych młodych chłopaków z Gazy go odbudują. I to szybko, bo zostali nalaadowani nową, silną dawką nienawiści do „okupanta”. Sytuacja w enklawie wróci mniej więcej do stanu sprzed 7 października.

Przyszłość Izraela, Palestyńczyków i w jakimś stopniu całego Bliskiego Wschodu, zdecyduje się na Zachodnim Brzegu Jordanu, czyli na froncie prawie zapomnianym, który rzadko trafia na czołówki wiadomości ze świata. A w zasadzie już się zdecydowała, choć ludzie na Zachodzie najczęściej nie zdają sobie z tego sprawy.

Od prawie 30 lat politycy w Europie i Ameryce powtarzają, że rozwiązaniem konfliktu powinny być dwa państwa: żydowskie, w granicach mniej więcej sprzed 1967 roku, oraz palestyńskie, obejmujące mniej więcej Zachodni Brzeg i Strefę Gazy (czyli tereny, które Izrael w 1967 r. zajął). *Two-state solution* – do tego musimy dążyć i przekonywać Żydów i Palestyńczyków. To jest mantra, która obowiązuje w świecie dyplomacji od początku lat 90., kiedy Amerykanie siłą zaciągnęli Izrael i Palestyńczyków do stołu negocjacyjnego.

Problem w tym, że jest to Wielka Mistyfikacja. Nie będzie żadnego *two-state solution*, ponieważ Żydzi nie oddadzą Zachodniego Brzegu – i nawet chyba już nie byłiby w stanie go oddać. W sensie logistycznym, politycznym i społecznym. Przez ostatnie pół wieku

Miałem okazję oglądać w akcji bojowników Armii Mahdiego w Iraku, Hamasu w Strefie Gazy, Brygad Męczenników al Aksa na Zachodnim Brzegu, Kurdów z PKK. **Wszyscy wydawali się harcerzami w porównaniu z Hezbollahem**

na Zachodnim Brzegu osiedliło się pół miliona Żydów w około 250 osiedlach. Do tych osiedli wybudowano specjalne drogi dojazdowe „tylko dla Żydów”, rurociągi i kanały z wodą, sieci elektryczne, wojskowe posterunki, bariery i strefy bezpieczeństwa, tunele, zasieki oddzielające „strefy zmilitaryzowane”. Cała ta płatanina infrastruktury stworzonej dla osadników żydowskich podzieliła Autonomię Palestyńską i żyjących w niej 2,5 mln Palestyńczyków na 165 małych wysepek, przypominających bantustany w RPA albo rezerwaty indiańskie w USA. Czasami z jednej do drugiej wysepki trudno się dostać, choć na mapie leżą koło siebie.

Porozumienia z Oslo, które Izrael podpisał w latach 90. – o stworzeniu Autonomii – były mistyfikacją, obliczoną na zdobycie czasu i uwikłanie Palestyńczyków w pułapkę bez wyjścia. Być może niektórzy z sygnatariuszy po stronie izraelskiej podpisywali je w dobrej wierze, ale prawica nigdy nie traktowała ich serio. W 1992 r., kilka miesięcy po przegranych wyborach, po których władzę zdobyła lewica, Icchak Szamir mówił w wywiadzie dla dziennika „Maariv”: – Gdybym był dalej premierem, prowadziłbym negocjacje z Palestyńczykami przez następne dziesięć lat, a w międzyczasie liczba Żydów mieszkających w Judei i Samarii osiągnęłaby pół miliona... I taki scenariusz został zrealizowany, tylko potrzeba było więcej czasu, niż wyobrażał sobie Szamir.

W dzisiejszym Izraelu żadna partia – poza arabską mniejszością – nie zgadza się na państwo palestyńskie. Nawet w odległej przyszłości. Nie zgadza się na to opinia publiczna, która w pierwszych tygodniach wojny z mściwą satysfakcją obserwowała krwawą jatkę w Strefie Gazy, a potem przestała się nią interesować.

W listopadzie Uniwersytet w Tel Awiwie zadał w sondażu pytanie: „Czy twoim zdaniem siła ognia używana w Gazie jest właściwa?”. 57 proc. izraelskich Żydów odpowiedziało, że „siła ognia jest zbyt mała”. Jedynie 2 proc. uznało, że jest „siła ognia jest zbyt duża”. W grudniu Israel Democracy Institute zapytał: „W jakim stopniu należy brać pod uwagę cierpienia ludności Gazy w prowadzeniu działań wojennych?”. 81 proc. izraelskich Żydów odpowiedziało, że „w bardzo małym stopniu” albo „w niewielkim stopniu”.

Podczas obecnej wojny armia izraelska przestała zarzekać się – jak w poprzednich starciach z Hamasem – że robi wszystko, żeby oszczędzić palestyńskich cywilów. Kiedyś rzecznicy zapewniali, że na każdego zabitego cywila przypada tyłu a tyłu zabitych terrorystów. Teraz, kiedy z Gazy napływają doniesienia o tysiącach zabitych dzieci i kobiet, rzecznicy armii i rządu najczęściej po prostu milczą. I raczej to nie jest przypadek. Netanjahu i jego generałowie wiedzą, że opinia publiczna chce, żeby w ramach zemsty za izraelskich cywilów zabitych przez terrorystów 7 października, bomby zabijały również cywilów.

Ostatnimi, którzy wyrzekną się Wielkiej Mistyfikacji, będą Amerykanie. Cała ich polityka wobec Izraela to jedna wielka mistyfikacja. W ostatnich miesiącach nieustannie „wzywają do rozejmu” i „przestrzegają przed eskalacją”. – Cywile w Gazie przechodzą piekło – alarmował prezydent Biden w ONZ dwa tygodnie temu. – Tak duża liczba ofiar cywilnych jest nieakceptowalna – mówił sekretarz stanu Anthony Blinken dwóm izraelskim ministrom, którzy w lipcu gościli w Waszyngtonie.

A jednocześnie, pomiędzy takimi oświadczeniami, od 7 paździer-

nika Amerykanie odprawili do Izraela 107 statków i około 500 samolotów transportowych, w których było 15 tys. bomb jednotonowych, 6500 bomb ćwierćtonowych, 3000 rakiet Hellfire (używanych przez drony i helikoptery) oraz tysiąc bomb penetrujących bunkry (dane za depeszą agencji Reutersa z lipca, więc już nieaktualne). Prof Stephen Walt z Harvardu komentuje to następująco: „To jest bardzo proste: jeśli nie chcesz, żeby ktoś coś robił, to nie dajesz mu narzędzi, żeby to robił”.

Co najdziwniejsze, Amerykanie naprawdę chcieliby rozejmu i obawiają się eskalacji. Ich oświadczenia nie są przejawem cynizmu, tylko totalnej bezradności. Specyfikę relacji dwustronnych dobrze oddaje reakcja Billa Clintona po jego spotkaniu z Netanjahu w 1996 r. Pożegnawszy gościa, prezydent USA zapytał doradców, którzy uczestniczyli w rozmowie: – Powiedzcie mi, do cholery, bo teraz już sam nie jestem pewien: który z nas dwóch jest liderem supermocarstwa?!

Przyczyn tego zjawiska jest wiele, a główne to: osławione lobby proizraelskie, które w tegorocznych wyborach w USA rozdało już 100 mln dolarów; kilkadziesiąt milionów amerykańskich ewangelików, którzy uważają odrodzenie Izraela za spełnienie biblijnych przepowiedni i głosują tylko na kandydatów proizraelskich; zbiorowe, kulturowe poczucie winy za Holocaust, antysemityzm i wieki prześladowań, które odczuwają dzieci i wnuki pokolenia pamiętającego II wojnę, dlatego są podatne na moralny szantaż. A Netanjahu stosuje taki szantaż często i z dużą wprawą.

Reasumując, będzie dalej tak, jak jest. Sporne terytorium między Morzem Śródziemnym i rzeką Jordan, zamieszkane przez 7 mln Żydów i 7 mln Arabów, zostało podzielone następująco: 80 proc. tego terytorium zajmuje Izrael, 12 proc. – żydowscy osadnicy na Zachodnim Brzegu, a pozostałe 8 proc., czyli bantustany na Zachodnim Brzegu i Strefę Gazy, pozostawiono Palestyńczykom. Izrael nigdy nie anektuje bantustanów ani Gazy, bo musiałby żyjącym tam Palestyńczykom przyznać obywatelstwo, w tym prawo do głosowania. Wtedy liczba wyborców żydowskich i arabskich byłaby równa i najbliższe wybory parlamentarne mogłyby zakończyć istnienie „narodowego państwa dla Żydów” (jak definiuje sam siebie Izrael w tzw. Prawie Podstawowym vel Ustawie Zasadniczej).

Żeby powyższy system polityczno-geograficzno-społeczny działał, Palestyńczycy muszą pozostać obywatelami gorszego sortu, pozbawionym prawa wybierania ludzi, którzy decydują o ich losie (bo przecież o ich losie decyduje rząd w Jeruzolimie). Mogą sobie wybierać władze swojej Autonomii, która nie decyduje o niczym istotnym.

Izrael będzie coraz częściej i głośniej oskarżany o kopiowanie apartheidu i o zbrodnie wojenne. Z biegiem lat – coraz bardziej izolowany. Dwa tygodnie temu w Nowym Jorku na sesji ONZ Netanjahu przemawiał do prawie pustej sali – dyplomaci z większości krajów świata demonstracyjne wyszli. I tak już będzie.

Międzynarodowy ostracyzm w praktyce nie ma znaczenia, dopóki Izrael popiera Ameryka. A nawet w pewnym sensie jest wygodny, bo wpisuje się w tożsamość żydowską, której kluczowym składnikiem są tysiące lat prześladowań i antysemityzmu. Pusta sala ONZ dowodzi, że Żydzi nadal są prześladowani i dyskryminowani, więc nie muszą redefiniować tożsamości ani liczyć się ze zdaniem antysemitów, którzy wyszli z sali. ●

WSZYSCY MUSZĄ ratować twarz

Izrael, Hezbollah, Iran – emocje u wszystkich tak buzują, że nie poruszamy się już w obrębie logicznych działań.

Z **TAHANI MUSTAFĄ**, EKSPERTKĄ OD BLISKIEGO WSCHODU W INTERNATIONAL CRISIS GROUP, ROZMAWIA **MARTA URZĘDOWSKA**

MARTA URZĘDOWSKA: 7 października mija rok od bestialskiego ataku Hamasu na Izrael i początku wywołanej nim wojny w Strefie Gazy. Dlaczego ta wojna jeszcze trwa?

TAHANI MUSTAFA: – Ponieważ nie nastąpiła żadna większa zmiana stanowisk obu stron. Hamas chce dealu, który prowadziłby do trwałego zakończenia walk i wycofania wszystkich izraelskich oddziałów, co pozwoliłby im zachować władzę. Izrael chce zniszczenia Hamasu, wyłącznie czasowego rozejmu i pozostawienia żołnierzy na miejscu, czyli faktycznej okupacji enklawy.

Izraelski rząd pozostaje nieugięty – po 7 października jego najważniejszym celem pozostaje całkowite wyeliminowanie wszelkiego zbrojnego palestyńskiego oporu. To dlatego Izraelczycy chcą zniszczyć nie tylko zdolności bojowe Hamasu, ale też polityczne i społeczne. To dzieje się w Gazie, ale też na Zachodnim Brzegu Jordanu.

Po roku walk, nalotach, inwazji lądowej Izraelczycy nie kontrolują Gazy?

– Nie. Udało im się podbić większość terytorium, ale za każdym razem wycofują się. Z powodu tej dziwnej strategii Hamas w najlepsze pełni funkcje administracyjne, wydaje świadectwa urodzenia i zgonu, działa jak policja, dystrybuuje pomoc i cały czas rekrutuje nowych członków w miejscach, z których rzekomo został całkowicie wyparty.

Choć Hamas poniósł ogromne straty, nadal pozostaje mocny. Jeszcze w maju, kiedy Izraelczycy opowiadali, jak bardzo został osłabiony, porwał trzydziestu komandosów z elitarnych jednostek. Mówimy o najlepszych izraelskich żołnierzach.

Czyli w Gazie mamy impas: Izraelczycy nie są w stanie zmusić Hamasu do kapitulacji, a nawet do podpisania rozejmu. Bo Hamas nie ma nic do stracenia. Po tym, jak w Gazie zginęły dziesiątki tysięcy ludzi, a enklawa zrównana jest z ziemią, kapitulacja, czy nawet rozejm na warunkach Izraela, byłby politycznym samobójstwem.

Co musiałoby się wydarzyć, żeby wojna się skończyła?

– Jedyne sposób to presja zachodnich sojuszników na Izrael. Amerykanie byliby w stanie zmusić Izraelczyków, by poważnie zaangażowali się w rozmowy o rozejmie. Nawet izraelskie media wytykają premierowi Netanjahu, że odrzucił już co najmniej dziewięć przedstawionych przez pośredników projektów porozumienia.

Amerykanie mogliby wpłynąć na Izrael gospodarczo, logistycznie, dyplomatycznie, ale tego nie robią, więc końca wojny nie będzie. Nie spełni się też scenariusz: „Hamas kapituluje”. Nawet gdyby udało się zabić szefa Hamasu, Jahję Sinwara, nie przywróci to Izraelczykom poczucia bezpieczeństwa.

I słusznie – Hamas nigdy nie był grupą, która polega na jednym człowieku. Zabicie jednego czy nawet kilku liderów, nie wykończy całego ruchu. Nie powstrzyma też potężnego oporu, jaki ta wojna rozpalila w Strefie Gazy.

Listopadowe wybory w USA zmieniają politykę Ameryki w regionie?

– Raczej nie. Owszem, Joe Biden jest bardzo proizraelski, publicznie sam określa się mianem syjonisty i jego polityka jest z tym zgodna. Ale to żaden wyjątek, amerykańscy przywódcy nigdy nie odgrywali w tym konflikcie roli bezstronnego pośrednika.

Słysząc czasem opinie, że Kamala Harris może być bardziej propalestyńska, ale nic na to nie wskazuje, a dziś, w czasie kampanii wyborczej, podkreśla swoje wsparcie dla Izraela. Poza tym przecież Harris od lat jest drugą najważniejszą osobą w administracji. To nie jest funkcja pozbawiona rzeczywistej władzy i jak dotąd nie forsowała innej polityki zagranicznej niż Biden.

Jeśli chodzi o Trumpa, nie ma sensu spekulować. Dowiódł w przeszłości, że jest całkowicie nieprzewidywalny.

Po wojnie Izrael ponownie zacznie okupację Gazy, zakończoną w 2005 r.?

– Tak sądzę. Dziś jednym z warunków rozejmu jest obecność izraelskich żołnierzy w korytarzu filadelfijskim, czyli strefie buforowej na południu Gazy, co oznacza faktyczną okupację i utrudnia negocja-



• 14.10.2023. Izraelski oddział czołgów bojowych Merkava w okolicach w kibucu Be'eri w południowym Izraelu przed wkroczeniem w odwecie do Strefy Gazy. Kibuc Be'eri był jednym z ponad 20 miejsc, w którym 7 października Hamas dokonał masakry mieszkańców

FOI: MARCUS YAM/LOS ANGELES TIMES VIA GETTY IMAGES

cje. Mamy też organizacje izraelskich osadników, które głośno mówią o budowie izraelskich kurortów na plażach Gazy. Choć na razie to tylko słowa radykałów, pamiętajmy, że mamy do czynienia ze skrajnie prawicowym izraelskim rządem, który nie ukrywa ekspansjonistycznych skłonności. Netanjahu w ostatnim, wrześniowym wystąpieniu powtórzył, że chce Izraela „od rzeki do morza”, czyli także na terenach palestyńskich, takie mapy pokazuje też podczas swoich wystąpień.

Nie łatwiej byłoby umieścić w Gazie palestyński rząd?

– Na razie nie ma takich planów. Przedstawiciele izraelskich władz mówią wprost, że nie chcą żadnych palestyńskich władz, przynajmniej bezpośrednio po wojnie. Nie chcą nawet, by jakąś formę administracji sprawowała tam ONZ. Ta kwestia to zresztą jeden z głównych punktów spornych między Izraelem i USA, które chcą zainstalowania w Gazie zreformowanej Autonomii Palestyńskiej. Nawet Hamas nie sprzeciwia się przejściu władzy w Gazie przez Autonomię, choć oczywiście przy ich udziale.

Hamas nadal jest popularny w Gazie?

– Trudno prowadzi się takie badania ze względów bezpieczeństwa, a także operacyjnych, czy logistycznych. Na pewno zdarzają się przekłamania – jak ostatnio, kiedy okazało się, że sondaż wskazujący na wielki skok poparcia dla Hamasu po ataku z 7 października został sfalszowany przez hamasowców. Faktyczne poparcie wydaje się podobne jak przed atakiem, wzrosło o dwa, trzy punkty procentowe, na pewno nie skokowo.

Po śmierci dziesiątek tysięcy Palestyńczyków i zrujnowaniu Gazy nie powinno spadać?

– Warto pamiętać o szerszym kontekście – Palestyńczyków z Gazy zawiódł cały świat. Nie stanęły za nimi żadne kraje, żadne instytucje. Poza dyplomatycznymi deklaracjami i apelami organizacji pomocowych nikt na serio nie próbuje powstrzymać tej wojny, nikt nie zabrania Izraelowi zrzucać bomb.

Jakie opcje mają jej mieszkańcy? Mają do czynienia z jedną z najpotężniejszych armii świata, cierpią z powodu bezprecedensowej wojny, borykają się z całkowitym brakiem wsparcia. Nie mają innego wyjścia, jak tylko stanąć za grupą, która pozostaje jedyną formą oporu. To desperacja

sprawia, że Hamas nawet dziś jest w stanie rekrutować nowych bojowników.

Ale mamy propalestyńskie demonstracje na zachodnich uczelniach, a obrońcy praw człowieka oskarżają Izrael o zbrodnie. Wojna zmieniła podejście świata do Izraela?

– Owszem, obserwujemy zmianę, jeśli chodzi o poparcie oddolne – ludzie oburzają doniesienia o zabijanych cywilach, o humanitarnej tragedii. Jednak to za mało, by wpłynąć na reakcje rządów. Izrael nadal cieszy się niesłabnącym poparciem logistycznym, gospodarczym i dyplomatycznym sojuszników. Być może nastroje nieco się zmieniają, może mamy więcej propalestyńskich demonstracji, ale nie daje to żadnych konkretnych korzyści Palestyńczykom.

Mamy do czynienia ze skrajnie prawicowym rządem, który nie ukrywa ekspansjonistycznych skłonności. Netanjahu chce Izraela „od rzeki do morza”, czyli także na terenach palestyńskich, a organizacje osadników głośno mówią o budowie izraelskich kurortów na plażach Gazy

Poza wojną w Gazie mamy eskalację na linii Izrael-Hezbollah. Rozpocznie się wielki, regionalny konflikt?

– Do tej pory obie strony wskazywały, że nie chcą otwartej wojny. Izrael jest mocno zaangażowany w Gazie, Hezbollah ma zobowiązania w Libanie, który pograża się w największym kryzysie gospodarczym od stu lat. Oni wiedzą, że ich kraj nie jest w stanie wytrzymać takich zniszczeń, jak te z ostatniej wojny z Izraelem z 2006 r. A Izraelczycy mówią wprost, że – jeśli dojdzie do wojny – skutki dla Libanu będą katastrofalne i Hezbollah dobrze to rozumie. Zresztą nie ma dziś w Libanie żadnego poparcia dla wojny i dla Hezbollahu byłoby to ogromne polityczne ryzyko.

Jednak celem Izraela pozostaje osłabienie Hezbollahu – politycznie i logistycznie, co robi dość skutecznie, choć to znacznie trudniejsze niż w przypadku Hamasu. Jeśli

obie strony zdecydują się na regularną wojnę, skutki dla Libanu i regionu będą bardzo poważne.

Wojna wciągnie Iran i Amerykę?

– Nie jest tak, że oba te kraje dotąd nie miały się do wojny. Zabijanie przywódców Hezbollahu czy irańskich generałów nie odbywa się wyłącznie izraelskimi rękami, Amerykanie dzielą się wywiadem, dostarczają logistyczne wsparcie, nad Jordanią czy Syrią latają amerykańskie drozny i samoloty. Ale w przypadku wojny, do której włączy się Iran, Amerykanie będą musieli zaangażować się bardziej.

Jeśli chodzi o Iran, też na pewno będzie chciał interweniować. Hezbollah to jego klejnot w koronie, najważniejszy partner w słynnej Osi Oporu. Nawet jeśli do tej pory Irańczycy zachowywali zimną krew, choć wydawało się, że zareagują na śmierć szefa Hamasu, Ismaila Haniji, zabitego na irańskim terytorium, w obrębie prezydenckiego kompleksu, tuż przed inauguracją nowego prezydenta, co naprawdę wyglądało na próbę sprowokowania Irańczyków i wciągnięcia w konflikt Ameryki. Byłoby to opłacalne dla Izraela, który sam nie pokona Iranu, kiedy jego energia i zasoby są rozciągnięte między dwoma frontami.

Wojna z Hezbollahem może zmienić sytuację w Gazie? Izrael zajęty na drugim froncie będzie bardziej skłonny do rozejmu?

– Nie sądzę. Izraelczycy zawsze potrafili rozdzielać te dwie sprawy, zresztą nie tylko oni. Także Iran podkreśla, że – o ile jest gotowy włączyć się w wojnę w obronie Hezbollahu – nie zamierza włączyć się w Gazie. Podobnie Hezbollah – choć podkreśla, że ostrzeliwuje Izrael w ramach solidarności z Hamasem i nie przestanie, dopóki nie skończy się wojna w Gazie, to działa we własnym interesie, bez oglądania się na Palestyńczyków.

W zemście za ofensywę Izraela w Libanie i bolesne straty zadane Hezbollahowi Iran odpalił blisko dwieście rakiet na Izrael.

– Sam atak Iranu nie musi być katalizatorem otwartej wojny. Wszystko zależy od odpowiedzi Izraela i Waszyngtonu, od tego, jak bardzo Amerykanie chcą się wnieść w taki konflikt. Jeśli chodzi o Iran, to nadal wygląda, że ajatollahowie nie chcą wojny. Z oświadczeń wydawanych tuż po ostrzale wynika, że chodziło im raczej o pokaz siły, o zniechęcenie Izra-

elczyków do eskalacji, o pokazanie, do czego Iran teoretycznie byłby zdolny.

Choć wszyscy patrzyliśmy na setki rakiet lecących na Izrael, odpowiedź Iranu na wcześniejsze ataki Izraela na Hezbollah, na polityczne zabójstwa dokonywane na irańskim terytorium, można uznać za dosyć umiarkowaną. Szczególnie, jeśli wziąć pod uwagę, jak kluczowym elementem sieci irańskich wpływów pozostaje Partia Boga.

Izrael zadaje Hezbollahowi cios za ciosem, więc Irańczycy ze względów wizualnych nie mogli nie odpowiedzieć – oznaczałoby to, że nie stoją murem za swoimi sojusznikami i nie są godnym zaufania opiekunem. Irańskie ataki na Izrael były bardziej ratowaniem twarzy niż faktycznym wypowiedzeniem wojny.

A jednak Izrael musi odpowiedzieć, bo on z kolei straci twarz.

– Spirala przemocy tak się rozkręca, a emocje po obu stronach tak buzuja, że nie poruszamy się już w obrębie logicznych działań. Oczywiście, że teraz jest najlepsza okazja, by uderzyć w irańskie instalacje, ale Iran zagroził, że – jeśli Izrael odpowie zdecydowanie – będą dalsze kroki, dalsza eskalacja. To nie jest tak, że zbombardują instalacje, wrócą do kraju i wszystko wróci do normy.

Izraelczycy mogą się wstrzymać także z innego powodu. Wiedzą, że gdyby doszło do wojny, sami nie pokonają Iranu, potrzebują Ameryki. A ich sojusznicy na pewno nie chcą się dziś wciąć w bliskowschodni konflikt. Pozostaje wierzyć, że uda im się przekonać Izraelczyków, by nie przesadzali z odwetem i poprzestali – jak Irańczycy – na pokazówce.

Dlaczego Izraelczycy akurat teraz zdecydowali się zabić szefa Hezbollahu, Hasana Nasrallaha?

– Ponieważ świetnie się orientują, że ich największym wrogiem jest Hezbollah, który od osiemnastu lat, odkąd w 2006 r. skończyła się poprzednia odsłona wojny, szykował się do następnej. Dziś pojawił się dobry moment, by uderzyć w Partię Boga mocniej niż zawsze – skoro świat od roku beczynn timer przygląda się wojnie w Gazie, Izraelczycy mają prawo oczekiwać, że przymknie też oko na wojnę w Libanie.

Smutna prawda jest taka, że po bestialskim ataku Hamasu 7 października Izraelczycy dostali od Zachodu milczące przyzwolenie, by walczyć z zagrożeniami, jak tylko uznają za stosowne – nawet z naruszeniem prawa międzynarodowego, prawa wojny. Trudno się dziwić, że uznali, że to dobry moment na zabijanie kogo chcą bez konsekwencji.

Tyle że Hezbollah to nie Hamas – ma ludzi, arsenał, infrastrukturę i silne mechanizmy, pozwalające szybko zastąpić dosłownie każdego. Bardzo trudno powiedzieć, jakie straty ponieśli, bo mamy tylko narrację Hezbollahu albo narrację Izraela. Poza tym arsenał Hezbollahu ukryty jest w dużej mierze pod ziemią, a mówimy o bardzo trudnym górystym terenie, gdzie niełatwo jest walczyć.

Izraelscy żołnierze w ostatnich dniach weszli do południowego Libanu i niemal natychmiast zostali wyparci, Hezbollah zadaje im poważne straty. Nie obserwujemy też osłabienia ostrzału raketowego terenów izraelskich, wszystko więc wskazuje na to, że Izraelowi nie udało się znacząco osłabić Hezbollahu.

Jak za rok będzie wyglądać Bliski Wschód?

– To region, gdzie z zasady nie ma nic pewnego. Ale nie liczyłabym na wyraźne uspokojenie. W ciągu roku nie da się zlikwidować zbrojnego oporu w Gazie, nie ruszy też na dużą skalę tak potrzebna odbudowa enklawy. Ten „dzień po”, o którym lubimy mówić w kontekście wojny w Gazie, nie będzie oznaczał zmierzania w kierunku pokoju. Pewne jest tylko jedno – sytuacja na pewno nie będzie się rozwijać w dobrym kierunku. ●

Piotr Głuchowski

Jestem świadomie na liście potencjalnych kandydatów PiS na prezydenta RP – oświadczył pod koniec sierpnia w rozmowie z PAP dr Karol Nawrocki. Szef Instytutu Pamięci Narodowej i były dyrektor Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku zdradził, że znalazł się w krótkim wykazie osób, który zatwierdził sam Jarosław Kaczyński.

Wedle medialnych spekulacji są tam jeszcze: Mateusz Morawiecki, Mariusz Błaszczak, Przemysław Czarnek, Dominik Tarczyński oraz niedoszły prezydent Warszawy Tobiasz Bocheński. – Bo kandydat partii na najwyższy urząd powinien być mężczyzną. Młodym, wysokim, okazałym, mającym rodzinę i znającym języki obce, najlepiej dwa – stwierdził w sierpniu w Radio Maryja prezes PiS. – Musi być też obyty międzynarodowo. To powinien być człowiek, dla którego świat nie jest czymś obcym, który bywał na konferencjach, wykładach...

Nawrocki większość z tych kryteriów spełnia, jednak w sondażu prezydenckim przeprowadzonym 1 września przez United Surveys dla Wirtualnej Polski zajął wśród pretendentów z prawicy dopiero szóste miejsce (wygrał Morawiecki). Mimo to nie rezygnuje ze starań, aby wspiąć się wyżej. „Wykazuje aktywność korelującą z opisem wymarzonego kandydata Jarosława Kaczyńskiego” – pisała w połowie września autorka „Rzeczpospolitej” Estera Flieger.

Niewątpliwie aktywność fizyczna i męska krzepa są mocnymi stronami 41-letniego Nawrockiego – w młodości był piłkarzem drużyny Ex Siedlce Gdańsk oraz bokserem tutejszego Stocznio-wca, w którym wcześniej boksował jego stryj. W latach 90. zdobył Puchar Polski w kategorii 91 kg, potem był ochroniarzem.

Pochodzi z gdańskiej, robotniczej dzielnicy Siedlce, gdzie wychowywał się z siostrą w starej kamienicy. Ojciec, z zawodu tokarz, w latach 80. był członkiem „Solidarności”, mama – introligatorka – przeważnie zajmowała się domem.

– Z reguły u Nawrockich się nie przelewało – wspomina dawny znajomy obecnego prezesa Instytutu. – Karol już jako nastolatek utrzymywał się sam, pracował w McDonald’s i podczas zajęć nieraz przysypiał po nocce „na ochronie”. Gdy zaczął studiować historię na Uniwersytecie Gdańskim, miał wyniki różne: czasem się prześlizgiwał, czasami zabłysnął. Interesował go przede wszystkim XX wiek, w tym był mocny, ze średniowieczem gorzej... Ale miał gadane i to pomagało, szczególnie na egzaminach ustnych.

– Zdradzał jakieś poglądy polityczne?

– Czytał inną prasę niż reszta. Większość kupowała „Bałtycki”, „Wyborczą”, „Rzeczpospolitą”, on przechodził z „Opcją na Prawo”, później z „Gazetą Polską”, takie spektrum...

Na początku wieku ożenił się z Martą z domu Smoleń. Mają dwoje wspólnych dzieci plus najstarszego syna z jej pierwszego związku. Ów po przejściu przez Orlen „Dziennika Bałtyckiego” był tam reporterem, kandydował także do samorządu z listy PiS.

– Jeszcze na studiach Karol namawiał koleżństwo do głosowania na Samoobronę – mówi dalej jego stary znajomy. – Prawo i Sprawiedliwość odkrył nieco później. W czasach, gdy byliśmy blisko, był kibicem Lechii. Potem napisał z duszpasterzem Lechitów książkę poświęconą „Dufowi”.

Ów duchowny to starszy o 10 lat od prezesa IPN salezjanin, Jarosław Wąsowicz, który za rządów PiS zasiadał w radzie Muzeum II Wojny Światowej. Przed laty był kapłanem Federacji Młodzieży Walczącej, obecnie jest znany jako działacz kresowy, apologeta „żołnierzy wyklętych”, krytyk rządów Donalda Tuska i ruchów LGBT oraz organizator jasnogórskich pielgrzymek kibiców. Mówi o sobie: „Nie wstydzę się być kibolem”. Jego wspólna z Nawrockim książka wyszła w 2015 r. pt. „Wielka Lechia moich marzeń: pamięci Tadeusza Duffeka »Dufa« (1968-2005)”.

Rzeczony „Dufo”, syn przewodniczącego gdańskiego Komitetu Obrony Polskości Kościoła i Księdza Prałata Henryka Jankowskiego, był na przełomie wieków przybocznym słynnego ze wsparcia podziemnej „Solidarności”, wystawnego stylu życia i pedofilskich ekscesów proboszcza św. Brygidy. Wcześniej, w wieku 16 lat, śmiertelnie dźgnął w bójce kibica Arki Gdynia, siedział w poprawczaku.

W trakcie swojego krótkiego, lecz barwnego życia poznał i trójmiejskich sprzedawców narkotyków, i bossa tamtejszych sutenerów Olgierda „Ola” L., który ostatnio został bohaterem reportażu TVN „Naziol, kibol, bandyta”.

Jeśli gość hotelowy
potrzebował kobiety,
starczyło dać znać
Nawrockiemu
– mówi dawny kolega
prezesa IPN

Karol. Człowiek, który chce zostać prezydentem

– „Olo” i Nawrocki obracali się w tej samej branży – mówi mi dalej stary znajomy prezesa IPN. – 20 lat temu Olgierd kaptował sportowców Stocznio-wca do ochrony swojego imperium: salonów masażu, mieszkań z panienkami... A Karol robił w ochronie. Bodajże w trakcie czwartego roku studiów dostał posadę w Grand Hotelu. Szefem ochroniarzy był tam eksmili-cjant, mówiono także, że esbek; poznałem go przez Karola – facet nosił sygnety pamiątkowy ZOMO.

Karol dobrze przy nim zarabiał. Jeśli gość hotelowy potrzebował kobiety, starczyło dać znać Nawrockiemu. Wiem, że te sprawy załatwiał on sam, jego kolega albo szef ochrony. Tym się właśnie zajmował około roku 2007. Jakoś niedługo później – w czasach, gdy jeszcze popalał papierosy – sam mi opowiadał, jak zamówił dziewczynę dla dziennikarza X [pada nazwisko nieco już przygasłej gwiazdy mediów z Warszawy]. I narzekał, że musiał się z takim celebrytą targować przy prostytutce o 150 złotych.

Kiedy właściciel ZOMO-wskiego sygnetu zwolnił się z Grand Hotelu, Nawrocki odszedł również.

Stary znajomy dalej: – Stałem w ogrodzie, pod schodami przed głównym wejściem do Grandu, kiedy podjechał Karol z jakimś równolatkim. Wyjaśnili, że tamten obstawia dziewczyny z nieistniejącej już strony randkowej Odloty.pl. Dali mi numer telefonu – jak ktoś potrzebuje panny czy chce rozkręcić imprezę, miałem dzwonić tam. O ile pamiętam, nie skrzyżtałem z oferty.

Nawrocki też odszedł z branży – w roku 2009 zatrudnił się w trójmiejskim oddziale IPN, krótko po tym zaczął pisać doktorat poświęcony „oporowi wobec władzy komunistycznej w województwie elbląskim”.

Zostali mu jednak szemrani znajomi. Jest wśród nich np. Patryk Masiak – nadnaturalnie umiśniony kryminalista i zarazem zawodnik freak fight MMA o ksywie „Wielki Bu”. Wedle danych policji zajmował się tym samym co „Olo” – organizacją prostytutki

w Trójmieście. Był oskarżony o porwanie i torturowanie kobiety. Śledczy z pomorskiego wydziału Prokuratury Krajowej w Gdańsku wykazali, że grupa, do której należał, siłą zmuszała uprowadzone dziewczęta do pracy w mieszkaniach.

Schwytany Masiak przesiedział dwa lata w celi dla niebezpiecznych przestępców, dziś znów ma kłopoty z prawem, lecz dla nas jest istotne, że w ostatnim roku dwa razy pochwalił się na Instagramie, gdzie ma ponad 170 tysięcy followersów, wspólnymi zdjęciami z Nawrockim. Okazja była błaha: „Wielki”, bawiąc w stolicy, odwiedził prezesa IPN w gabinecie, po czym spotkali się jeszcze w kawiarnianym ogródku, gdzie historyk podarował Masiakowi egzemplarz „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy” Sergiusza Piaseckiego. Wybór lektury wydaje się znaczący – to historia przemysłowca działającego w międzywojniu na granicy polsko-sowieckiej. Jej autor, weteran wojny 1920 r., przeszedł drogę od oficera wywiadu przez bandyterkę na salony literackie II RP.

Kolejny ze starych znajomych Karola Nawrockiego to Grzegorz H. ksywka „Śledziu”. On również był przed laty przybocznym prałata Jankowskiego, również siedział w więzieniu i również pochwalił się w sieci znajomościami z szefem Instytutu. Należy do klubu motocyklowego Olgierda L. o nazwie Bad Company i jawnie przedstawia się jako nazista – co zresztą trudno ukryć, ponieważ na plecach ma wytatuowane motto SS: „Meine Ehre heißt Treue”, czyli „Moim honorem jest wierność”, a na ramieniu wdzierał podobiznę Adolfa Hitlera wśród swastyk. Gdy w 2017 r. przy okazji wyjazdowego meczu piłkarskiej reprezentacji H. wdał się w bójkę z duńską policją i został zatrzymany, Karol Nawrocki (ówcześnie dyrektor MIIWŚ) zawiesił na swojej stronie facebookowej apel o „zbiórkę funduszy w związku z sytuacją Grześka”.

– To osobliwe znajomości jak na szefa wielkiej państwowej instytucji zajmującej się upamiętnieniem ofiar XX-wiecznych totalitaryzmów – podsu-



•
mowuje aktualny wicedyrektor gdańskiego muzeum wojny dr Janusz Marszałec. – Prawicowa ekstrema o neonazistowskich ciągotach.

– Paradoksalnie to również atut Nawrockiego w wyścigu o prezydenturę – dodaje mój kolejny rozmówca, profesor historii z Krakowa. – W drugiej turze miałby poparcie Konfederacji i szerzej: całego środowiska polskich nacjonalistów, wrogów imigracji, wojujących katolików... bo jest taki endecki, że już trudno bardziej. To jego przywiązanie do Brygady Świętokrzyskiej, częste przywoływanie historii Narodowych Sił Zbrojnych...

– Założyłem się ze znajomym o skrzynkę piwa, że Kaczyński wybierze właśnie jego – ciągnie profesor. – Doktor Karol jest bardzo dobrze uformowany medialnie, świetnie wypada publicznie, nawet po ostrej dyskusji pierwszy podaje rękę adwersarzowi – może wyniósł to z ringu, gdzie po walce trzeba wszak przybić pięćkę? No i jest „młody, wysoki, okazały, mający rodzinę”.

•
Szersza publiczność po raz pierwszy usłyszała o obecnym prezesie IPN, gdy w 2017 r. PiS-owski minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński usunął dyrektora i współtwórcę wystawy w MIIWŚ prof. Pawła Machcewicza, by zastąpić go właśnie Nawrockim – podówczas już doktorem (obrona w 2013 r.) i naczelnikiem gdańskiego biura edukacji Instytutu, a do tego przewodniczącym rady dzielnicy Gdańsk-Siedlce. – Z tego, co wiem, PiS po objęciu władzy sondował pewne osoby przed nim – mówi mi kolejny profesor historii, tym razem z Trójmiasta. – Szukano chętnych do akcji wrogiego przejęcia muzeum.

Pierwsi, do których dzwono, a niektórych znam osobiście, odmówili, uznawszy, że taki ruch ich obciąża. Nawrocki nie miał skrupułów. Choć brakło mu doświadczenia, a jako specjalista od II wojny w zasadzie nie istniał, uznał, że ta propozycja to szan-

sa w karierze. Mimo że skromny dorobek naukowy nie predestynował go do pełnienia funkcji szefa wielkiego muzeum, postanowił skorzystać z okazji.

Sprawdzam ten dorobek: po doktoracie Nawrocki opublikował parę prac o „Solidarności” regionów gdańskiego i elbląskiego oraz kilka rzeczy poświęconych pilce. Napisał także jeden rozdział do drugiego tomu historii Kwidzyna, który wydał tamtejszy dom kultury. W wikipedycznym biogramie szefa IPN dłuższa od listy publikacji jest lista pt. „wyróżnienia”. Kiedyś prałat Jankowski pokazał mi swe ordery umieszczone w przeszklonej serwantce na poddaszu plebanii św. Brygidy. Naliczyłem ich 20. Karol Nawrocki ma więcej, w tym takie odznaczenia, jak Medal Trzydziestolecia Powołania Straży Granicznej, order „Zasłużony dla Miasta Elbląga” czy Pierścień „Inki” nadany mu w 2016 r. przez arcybiskupa metropolite gdańskiego Sławoja Leszka Głódzia za krzewienie pamięci o żołnierzach antykomunistycznego podziemnia.

Nawrocki był bowiem – przed 10 laty – szefem trójmiejskiego oddziału Koalicji na rzecz Pamięci Żołnierzy Wyklętych, której dokonaniem stało się m.in. przemianowanie części Trasy Słowackiego (drogi z gdańskiego lotniska do portu) na aleję ŻW. Jeszcze większym triumfem – przypisywanym już osobiście Nawrockiemu – okazał się gdański pochówek zamordowanej przez tutejsze UB sanitariuszki Armii Krajowej Danuty Siedzikówny „Inki” i Feliksa Selmanowicza „Zagończyka”, partyzanta wileńskiej brygady AK.

„Państwowy pogrzeb z udziałem prezydenta Andrzeja Dudy i premier Beaty Szydło był w roku 2016 wielką manifestacją środowisk związanych z prawicą” – pisała ostatnio w „Polityce” Katarzyna Kaczorowska. I przypominała inną, wcześniejszą o rok imprezę zorganizowaną w Gdańsku przez byłego ochroniarza-pięściarza: obchody 15-lecia istnienia IPN połączone z galą bokserską pod hasłem „Nigdy przed przemocą nie ugniemy szyi”. Walczących ubra-

no wówczas w koszulki z hasłem „Orla wrona nie pokona” oraz podobiznami Anny Walentynowicz, z głosników popłynęły antykomunistyczne songi Jacka Kaczmarskiego... – Główni politycy PiS zyskali świadomość, że jest w Gdańsku taki obrotny pracownik średniego szczebla Instytutu, który myśli po polsku i któremu można powierzyć „odzyskane” Muzeum II Wojny – puentuje profesor z Krakowa.

•
Nowy dyrektor dokonał „propolskich” zmian w ekspozycji MIIWŚ. Historia jest ogólnie znana, zatem jak najkrócej: Nawrocki wyrzucił z pracy osoby bliżej związane z poprzednim kierownictwem, po czym zarządził przeróbki. Przesztelony helm żołnierza polskiego ustąpił ikonie Matki Boskiej. Wprowadzono materiały sławiące bohaterów: rotmistrza Witolda Pileckiego, rodzinę Ulmów oraz św. Maksymiliana Marię Kolbego. Zmieniono statystykę strat wojennych w Europie, aby to Polacy byli najmocniej poszkodowani – usunięto liczbę partyzantów sowieckich, których było więcej niż polskich.

Znikł też krótki film pokazujący w konwencji wideoklipu powojenne cierpienia ludności, odbudowę i walkę Europy Środkowej o wolność. – Nawrocki zaatakował ten obraz jako pacyfistyczny, pokazujący Lecha Wałęsę zamiast Anny Walentynowicz, a do tego z podkładem „The House of The Rising Sun”, która to pieśń jego zdaniem „dotyczy burdelu w Nowym Orleanie” – mówi profesor Machcewicz. – W kontrze stworzono dla muzeum inny film – „Niezwyciężeni” – crème de la crème polityki historycznej PiS i IPN.

W czterominutowym klipie wydarzenia II wojny toczą się wokół Polski. Światowy konflikt wybucha w efekcie paktu Ribbentrop-Mołotow i rozbioru II RP. Polaków mordują hitlerowcy i Sowietci, ale „przebijamy się na Zachód i zdobywamy Monte Cassino”. Do tego bronimy w powietrzu Wielkiej Brytanii, a Niemcy się nas boją, nazywając „czarnymi diabłami”. Dalej „ratujemy Żydów, choć grozi za to śmierć, i pierwsi mówimy światu o Holocauście”. „Łamiąc szyfr Enigmy, oszczędzamy życie milionów ludzi”, ale „w podziękowaniu zostajemy zdradzeni”.

– Tak zwany film Nawrockiego to kwintesencja przekazu, który IPN chciał zaszcześcić młodemu pokoleniu – mówi dalej profesor z Trójmiasta. – Trzeba zwrócić uwagę nie tylko na to, co w nim jest, ale też na to, czego nie ma. Na przykład o wojskach polskich stworzonych na Wschodzie i zdobywaniu przez Polaków Berlina nie pada ani słowo.

– Ten film mną wstrząsnął – wyznaje prof. Rafał Wnuk, obecnie p.o. dyrektora MIIWŚ. – Jesteśmy czyści, niewinni, a wszystko, co złe, pochodzi ze świata zewnętrznego. Kolejny element to martyrologia: jesteśmy wartościowi, ponieważ cierpimy. Nasza wartość nie polega na myśleniu, refleksji, na byciu twórczym. Cierpienie jest tym, co definiuje polskość, co ma najwyższą wartość. Cała filmowa opowieść jest prowadzona w pierwszej osobie liczby mnogiej. To efekt myślenia kategoriami etnicznymi, nie obywatelskimi. Nowa historiografia, w której polskość i nacjonalizm są jednym.

– Z czteroletnimi rządami Karola Nawrockiego w muzeum wiąże się także sprawa zgłoszona już w prokuraturze – mówi mi dalej wicedyrektor Marszałec. – Znikło 8 tysięcy katalogów prezentujących zbiory Muzeum i opisujących jego misję. Było tam również zdjęcie byłego dyrektora Pawła Machcewicza i jego krótki wstęp. Łączna wartość albumów przekracza 300 tysięcy złotych. Doktor Nawrocki, dla którego to była sól w oku, mija się z prawdą, twierdząc, że publikacja została wysłana do mieszkańców Gdańska w okresie pandemii. Sprawdziliśmy z prof. Wnukiem. Nawet jeśli obecny prezes IPN nie zgadzał się z przekazem katalogu, nie ma żadnego uzasadnienia, aby wojować z książkami...

W czerwcu nowe kierownictwo muzeum przywróciło wystawę do pierwotnej postaci, jednakże z zachowaniem św. Maksymiliana i rodziny Ulmów. Nie ruszono także postawionego przed wejściem za kadencji Karola Nawrockiego pomnika rotmistrza Witolda Pileckiego.

•
W istotnym dla naszej historii roku 2021 Nawrocki był już od trzech i pół roku dyrektorem MIIWŚ, jego dawnym miejscem pracy – Instytutem – kierował zaś dr Jarosław Szarek, gorący zwolennik PiS, publicysta Radia Maryja, „Naszego Dziennika” i „Gościa Niedzielnego”, który określa porozumienia okrągłostołowe „drugą Jaltą”.

W szóstym roku rządów Zjednoczonej Prawicy zdawało się, że Szarek (za którego kadencji z IPN musieli się pożegnać m.in. profesorowie Andrzej Friszke i Antoni Dudek) bez problemu utrzyma fotel prezesa

• **Prezes Karol Nawrocki w młodości był bokserem. Nie zapomina o tym, jako szef IPN. Na zdjęciu: na treningu z młodzieżą w klubie kickboxingu Rebelia Kartuzi. Chce w ten sposób przypominać m.in. o sławnym bokserze Tadeuszu Pietrzykowskim, który w Auschwitzu toczył pojedynki o życie. Kartuzi, 21.07. 2023.**

FOT. MARCIN GADOMSKI/PAP

także na drugą turę. Media wywęszyły jednak, że pod jego rządami szefem wrocławskiego oddziału Instytutu został dr Tomasz Greniuch, były lider opolskiego Obozu Narodowo-Radykalnego, który dał się za młodu sfotografować w trakcie wykonywania salutu Sieg Heil! podczas krakowskiego marszu nacjonalistów z okazji 63. rocznicy powstania ONR.

Wybuchł skandal, Greniucha odwołano, a Szarek postanowił nie ubiegać się o przedłużenie kontraktu z IPN. Na spotkaniu z szefami oddziałów terenowych wyznał wprost, że zastąpi go Karol Nawrocki. Tak miał zdecydować Ryszard Terlecki, wicemarszałek Sejmu, szef klubu parlamentarnego PiS i pierwszy kadrowy tej partii. Zdominowany przez PiS parlament formalnie wybierał prezesa Instytutu spośród pięciu osób, tyle że czterech pozostałych, szerzej nieznanych historyków było jedynie zajęciami. 18 maja 2021 za Nawrockim opowiedziało się 248 posłów ze Zjednoczonej Prawicy, Konfederacji i Kukiz'15 oraz trójka z centrolewicowej opozycji (Piotr Zgorzelski, Marek Sawicki, Jacek Tomczak). Opozycyjny wówczas Senat przyklepał nominację.

Już na początku prezesury dr Nawrocki dorobił się wśród pracowników Instytutu pseudonimu „Wódz”. Jeden z podwładnych z oddziału terenowego zdradza mi, że na zamkniętych spotkaniach szef rzuca „grubymi słowami” i „prezentuje bardzo męski, by nie rzec maczystowski model dowodzenia”. Poza tym lubi oglądać siebie w sieci, telewizji i na papierze, w związku z czym złośliwi podkomendni rozszyfrowują skrót IPN jako „Instytut Promocji Nawrockiego”. Tylko w ilustrowanym sprawozdaniu z działalności za pierwszy rok jego rządów postać prezesa widnieje na 64 spośród 300 zdjęć dokumentujących pracę instytucji.

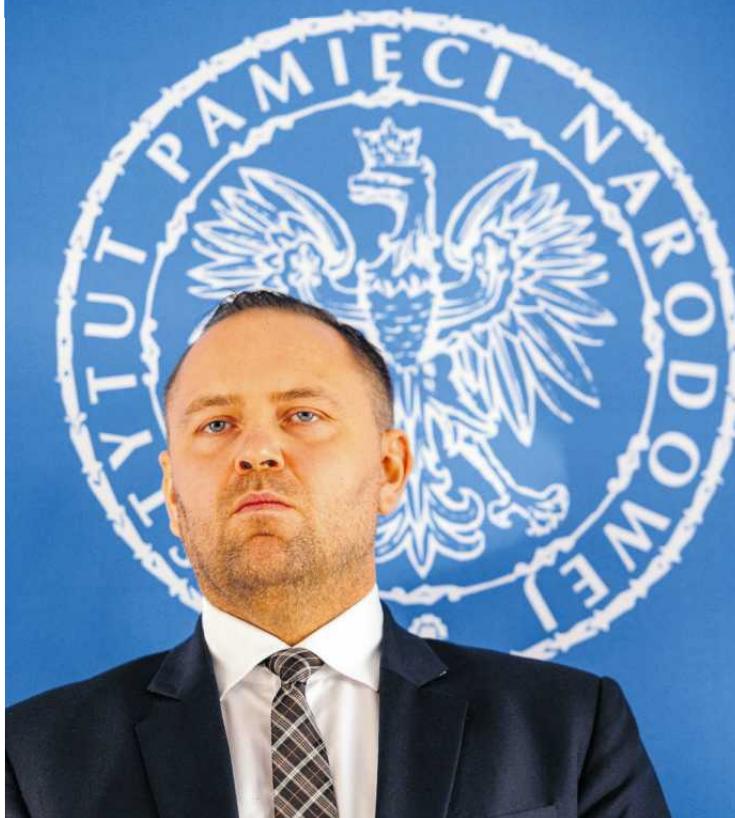
– Jest coś jeszcze – mówi mi dalej podwładny. – Ostatnio Ruscy napisali w sieci, że wiedzą, kto patronuje akcji likwidacji posowieckich pomników. I wymienili nazwisko naszego szefa. Co zrobił ten prawdziwy mężczyzna? Wynajął firmę ochroniarską, by się nim opiekowała, a już szczególnie gdy jedzie za granicę. Żeby go nie porwali...

„Nawrocki nie osiągnął żadnego sukcesu, dzięki któremu dorównałby swoim poprzednikom – Leonowi Kieresowi, Januszowi Kurtyce czy Łukaszowi Kamińskiemu” – pisał w „Wyborczej” w maju 2022 profesor Grzegorz Motyka, specjalista od II wojny światowej i stosunków polsko-ukraińskich, obecnie członek kolegium IPN i dyrektor Wojskowego Biura Historycznego. „Jedyną jakościową zmianą jego prezosowania jest jak dotąd wyrzucenie doktora Poleszaka (...) za napisanie artykułu dla prestiżowego czasopisma naukowego”.

Sławomir Poleszak – lubelski badacz powojennego podziemia niepodległościowego – w 2020 r. ujawnił na łamach „Zagłady Żydów”, że ważny dla rządzącej wtedy Zjednoczonej Prawicy „wykłąty” Józef Franczak „Laluś”, którego bezpieka dopadła dopiero w 1963 r., walczył podczas okupacji z żydowskimi partyzantami, wydał Niemcom starozakonnego krawca i uczestniczył w pobiciu małżeństwa Polaków ukrywających Żydów. Przytaczający te fakty artykuł naukowy został w propisowskich mediach określony jako „brutalny atak postkomuny”, jednak prezes Szarek nie miał tyle tupetu, by zwolnić autora za słowa. Wyrzucił go dopiero Nawrocki. W wywiadzie dla tygodnika „Sieci” z początku 2022 r. wytłumaczył decyzję m.in. tym, że lubelski oddział „z różnych perspektyw wygląda na jeden ze słabszych”, a dr Poleszak „krytykował” Instytut w sieci, czego „szef żadnej jednostki publicznej czy nawet firmy nie mógłby tolerować”.

W tym samym wywiadzie prezes zapowiedział „przejście IPN do ofensywy” na niwie polityki historycznej państwa: „Konieczna jest głęboka reforma wewnętrzna, mocne szarpnięcie, czasami wręcz wstrząśnięcie organizacją. Musi być nowy podział zadań, nowe departamenty, nowi ludzie, nowy sposób rozliczania za wyniki pracy. Powołaliśmy już nowe biura: kontaktów międzynarodowych, wydarzeń kulturalnych, nowych technologii. [Nasi historycy powinni] ofensywnie poruszać się w przestrzeni międzynarodowej (...) z dobrą znajomością języków, obyciem w świecie, ambicją mocnego wejścia w międzynarodowy krwiociąg debaty. Mają też sprawnie monitorować, co się dzieje na świecie w sprawach nas interesujących. [Należy] kreować spektakle, koncerty, także dla odbiorców zagranicznych. Drobny przykład: we współpracy z ambasadorami polskimi w ONZ i Nowym Jorku planujemy zaproszenie dzieci członków personelu dyplomatycznego na pokaz teatralny o ukochanym przez żołnierzy 2. Korpusu Polskiego [gen. Władysława Andersa] niedźwiedziu Wojtku”.

Już na początku prezesury dorobił się wśród pracowników IPN pseudonimu „Wódz”. Jeden z podwładnych zdradza mi, że na zamkniętych spotkaniach szef rzuca „grubymi słowami” i „prezentuje bardzo męski, by nie rzec maczystowski, model dowodzenia”



Cztery miesiące po tych deklaracjach działalność oświatową Nawrockiego ocenił w „Wyborczej” prof. Motyka: „Prezes IPN edukował na czterech kontynentach. W Uzbekistanie spotkał się z przedstawicielami »wiodących uzbeckich instytucji naukowych«.

Naukowcy prezesa chyba rozczarowali, bo w innych krajach głównie spotyka się z Polonią, składa wieniec pod pomnikami i odwiedza muzea.

Wraz z silną delegacją IPN odwiedził m.in. Pretorię, Johannesburg i Harare. Pokazał wystawę o szlakach generała Andersa, zwiedził wojskowe muzeum, cenne archiwum oraz przedszkole prowadzone przez zakonnice. Ta ostatnia wizyta została udokumentowana fotograficznie na Facebooku. Widzimy, jak uśmiechnięty prezes spotyka się z gromadką ciemnoskórych dzieci, po zdjęciu marynarki w śnieżnobiałej koszuli gra z nimi w piłkę! Ha, tak się dziś robi nowoczesną edukację historyczną otwierającą oczy niedowiarkom!”.

Po zmianie władzy jesienią 2023 r. nowa koalicja wymieniła szefów wielu państwowych spółek i instytucji, lecz nie ruszyła prezesa IPN, którego kadencja upływa w 2026 r. Zgodnie z prawem może ją przewrócić jedynie skazanie go prawomocnym wyrokiem za przestępstwo umyślne ścigane z urzędu. Sejmowi wolno natomiast odwołać prezesa jedynie w czterech przypadkach: choroby, niewypełniania obowiązków, działania na szkodę IPN oraz odrzucenia przez Sejm sprawozdania Instytutu za poprzedni rok. Na razie nic takiego nie zaszło, zaś krążące po wyborach

plotki o rychłej likwidacji całego IPN okazały się tylko plotkami.

Instytut stał się tymczasem szalupą ratunkową dla wielu zwolnionych z pracy funkcjonariuszy „dobrej zmiany”. Jak ustalili dziennikarze TOK FM, była szefowa Polskiego Radia Agnieszka Kamińska, która z zaangażowaniem likwidowała starą Trójkę, pracuje dziś w IPN jako dyrektorka projektu edukacyjnego „Przystanek historia”; Dariusz Drelich, były wojewoda pomorski z PiS, jest aktualnie zastępcą dyrektora biura gospodarczego Instytutu; Marcin Zarzecki, który w przeszłości prezesował Polskiej Fundacji Narodowej (tej od kampanii „Sprawiedliwe sądy” i niedoszłego hollywoodzkiego hitu o naszej historii z udziałem Mela Gibsona), piastuje stanowisko zastępcą Kamińskiej w stołecznej centrali przy ulicy Kurtyki 1.

Proszę historyków o podsumowanie rządów doktora Nawrockiego w mokotowskim gmachu i jego dziesięciu filiach terenowych:

• **Prof. Andrzej Friszke** (PAN), jeden z najważniejszych polskich specjalistów od historii najnowszej, były członek Rady i Kolegium IPN: – Ostatnio mało widzę aktywności ze strony Instytutu jako instytucji kultury. Jakies działania się toczą, ale to głównie akcje typu piarowsko-politycznego w stylu zeszłorocznego kongresu IPN, który był jego promocją i niczym więcej. Karol Nawrocki jest bardziej działaczem PiS i apologetą skrajnej prawicy niż historykiem. Jego wybór był czysto polityczny – bez jakichkolwiek przesłanek naukowych. Co okazało się katastrofą dla kierowanej przezeń instytucji, która winna się cieszyć publicznym zaufaniem bez względu na poglądy. Prezes jest tymczasem aktywnym, by nie rzec: agresywnym, uczestnikiem wojny polsko-polskiej. A miała być placówka ogólnonarodowa służąca obywatelom...

– Nie widzi pan profesor żadnych dokonań z ostatnich trzech lat?

– Jedyne, co odnotuje historia, to uznanie przez pion prokuratorski IPN prawomocności akcji „Wisła”.

• **Naukowiec z PAN, wcześniej w IPN**, prosi o anonimowość: – Nawrocki kontynuuje kadencję i politykę Szarka. Instytucja jest zideologizowana, brakuje pluralizmu poglądów, wyniki badań podlegają ocenie politycznej, a pion naukowy ulega powolnemu wygaszaniu – pozycje wypuszczane na rynek księgarski są coraz bardziej marne. Mamy efekt upływu krwi, bo przecież zwolniono takich jak: Friszke, Dudek, Poleszak, Mariusz Zajączkowski – również z oddziału w Lublinie – czy Paweł Spodenkiewicz, specjalista od historii łódzkiego getta, którego z kolei wyrzucił dyrektor oddziału łódzkiego będący radnym PiS. Nauka przestaje być ważna, liczy się „edukacja”, czyli po prostu propaganda robiona na modłę prawicy.

• **Prof. Andrzej Chwalba**, wiceprezes Polskiego Towarzystwa Historycznego, specjalista od XIX i początków XX wieku oraz relacji polsko-rosyjskich, autor cenionych książek popularyzatorskich, w tym bestsellerowego „Chama i pana”: – Moim zdaniem po latach trudnych i mało aktywnych prezes Instytutu jakoś zdynamizował pracę swych podwładnych. Cieszy mnie przede wszystkim to, że ukazuje się coraz więcej publikacji w języku angielskim, które mają poprawiać wizerunek Polski na szerszej arenie. Badacze ze świata nieraz narzekali na kongresach, w których uczestniczyłem, że materiały źródłowe do historii Polski muszą poznawać za pośrednictwem anglo- czy niemieckojęzycznych streszczeń i opracowań. A teraz IPN robi badania, szczególnie dotyczące XX wieku, których wyniki trafiają do sieci w języku angielskim. To długofalowo z pewnością przyniesie dobre rezultaty.

– A zatem zarzuty, że Instytut to prawacka twierdza, uważa pan za chybione?

– Są tam zwolennicy PiS, ale zapewne także innych partii. W IPN pracuje 3 tysiące ludzi, każda generalizacja będzie nieuprawniona. Sam współpracuję z dwójką doktorantów z Instytutu i są to osoby o otwartych głowach.

• **Prof. Jan Grabowski** (Uniwersytet Ottawy), współzałożyciel Centrum Badań nad Zagładą Żydów PAN: – Towarzystwo Historyczne profesora Chwalby ostatnio blisko się zadaje z IPN. Niedawno pod ich egidą Instytut zorganizował sesję, na której wystąpili negacjoniści Zagłady – profesor wymienia dwa nazwiska. – Za prezesury pana Nawrockiego zasadniczo nasiliło się atakowanie historii Holocaustu, co jest elementem tego radykalnie prawicowego kursu, który wyznaczył Kurtyka, wzmocnił Szarek, a Nawrocki wzniósł na najwyższy poziom. Nie rozumiem, dlaczego obecna koalicja zapewnia tej instytucji budżet.

– O samym prezesie Nawrockim co pan profesor sądzi?

– Daruję sobie epitety, niech panu wystarczy, że ten człowiek nazwał mnie na Twitterze „szmalcownikiem”.

Sprawdzam, jak to było. 24 marca tego roku (co istotne) Radio TOK FM zareklamowało rozmowę z profesorem Grabowskim cytatem z jego wypowiedzi: „Mój ojciec powiedział mi, że podczas wojny nigdy nie bał się Niemców tak, jak bał się Polaków”.

Trzy wyjaśnienia: W czasie okupacji pochodzący ze zasymilowanej rodziny żydowskiej ojciec profesora Zbigniew Grabowski ukrywał się w Generalnym Gubernatorstwie, a potem wstąpił do AK i walczył w powstaniu warszawskim. Po wojnie był wybitnym chemikiem, pracował w PAN. Jest wiele relacji mówiących o tym, że polscy szmalcownicy wylapywali Żydów o wiele skuteczniej niż sami hitlerowcy. W trzecim roku rządów „dobrej zmiany” 24 marca stał się ustawowo Narodowym Dniem Pamięci Polaków Ratujących Żydów. Można zatem zrozumieć, czemu tweet-cytat TOK FM pod tą datą rozsierdził dr. Nawrockiego na tyle, że odpowiedział: „Szmalcownicy byli tym marginesem, który właśnie bał się bardziej Polaków niż Niemców. Bowiem legalna administracja okupowanego państwa polskiego, w tym jej siła zbrojna – Armia Krajowa – szmalcowników i zdrajców ojczyzny eliminowała. Zostając przy tej emocji warto dodać, że Jan Grabowski jest hochsztaplerem – by nie napisać szmalcownikiem – badań naukowych i polskiej pamięci...” – To nie jest najostrejszy wpis prezesa, bywały już grubsze – mówi mi podwładny z oddziału w terenie.

Przeglądam profil Karola Nawrockiego na platformie X, dawnym Twitterze. Jest tam sporo ataków na obecną władzę (m.in. za zorganizowanie uroczystości z udziałem kombatanatów Armii Ludowej, za „proces rekommunikacji i reubekizacji Polski” oraz „związanie polityki historycznej”); jest trochę uszczypliwości pod adresem Niemiec („okazuje się, że można wypłacić reparacje Namibii, ale Polsce już nie”); dalej leci promocja TV Republika, Radia Maryja, Radia Wnet i Marszu Niepodległości; powtarza się endeckie hasło „Jesteśmy Polakami i mamy obowiązki polskie!”.

Sporo również wpisów okolicznościowych – choćby z okazji 80. rocznicy sformowania Brygady Świętokrzyskiej (szef IPN pisze o jej walce „z niemieckim i sowieckim okupantem” oraz jej drodze „w kierunku wolnej, suwerennej, niepodległej Polski”). Znajduję także link do rozmowy pt. „Prezes IPN prezydentem?”, którą przeprowadził z Nawrockim Miłosz Kleczek – wcześniej dziennikarz TVP Jacka Kurskiego, obecnie w Republice. Obejrzyjmy.

Prezes IPN udziela wywiadu w bokserskim ringu, odziany w koszulkę z logo Republiki. Swoją drogę życiową określa jako „skomplikowaną”: – (...) zawsze jednak byłem dobry i – wydaje mi się – szlachetny. Boks, dzielnica i środowisko ukształtowały mnie jako człowieka, który ma jasno określony cel, ale jest także zakochany w nauce, w historii, w chęci kształcenia się. Nie byłem na pewno bananowym chłopcem.

– A miał pan kontakty z półświatkiem? – pyta profilaktycznie Kleczek.

– Jedno jest pewne: boksu nie trenują ministranci, tylko chłopcy z ulicy. I stadion, a byłem kibicem, i sala bokserska Robotniczego Klubu Sportowego „Stoczniowiec” stykały ze sobą różnych ludzi. Jak widać, jeden jest prezesem IPN, a inni poszli w różne strony, ich kartotek nie znam.

Kleczek pyta o zdjęcia z „Wielkim Bu”: – Czy to były relacje tylko na płaszczyźnie sportowej, bo przypadkiem spotkaliście się w ringu, czy jednak były jakieś relacje prywatne... bo trochę taką łatkę próbuje się panu dziś przypiąć.

Nawrocki: – Nigdy nie utrzymywałem prywatnych relacji z nikim, kto był kryminalistą czy przestępcą, natomiast na treningach spotykałem różnych ludzi, a jestem tak wychowany, że gdy ich dziś spotykam, podaję im rękę i z nimi rozmawiam. Przez 12 lat byłem zawodnikiem [piłkarskim], 22 zawodników w każdym meczu, 20 meczów w każdym sezonie... Jeśli sobie wyobrażymy, ilu ludzi spotkałem na boisku, gdybym zaczął sprawdzać im kartoteki kryminalne czy ich przeszłość, to nie mógłbym się skupić na kopaniu piłki.

Ja również chciałem zapytać prezesa o kontakty z półświatkiem. Na rozmowę się nie zgodził, więc przez rzecznika IPN Rafała Leśkiewicza wysłałem Karolowi Nawrockiemu trzy punkty na piśmie: prośbę o komentarz do zamieszczonej w tym tekście relacji starego kolegi o „Olu”, o esbeku z sygnetem ZO-MO i organizowaniu dziewcząt dla gości Grand Hotelu; pytanie o znajomość z neonazistą „Śledziem”; pytanie o to, jak adresat widzi własne atuty w wyścigu o prezydenturę.

Cytuję autoryzowaną odpowiedź: [Relacja dawnego znajomego] nie może być relacją historyka, bo żaden fakt w tej historii się nie zgadza. Po pierwsze, nigdy nie widziałem, nie znałem, nie rozmawiałem z „Olo”, kiedy byłem bokserem Stoczniowca. Myślę też, że twierdzenie, iż „Olo”, „kaptował bokserów Stoczniowca” do jakichś interesów, może być kłopotliwe dla autora relacji i Pana Redaktora, gdyż wielu z nich wybrało drogę służby w Policji. To nieładne pomówienie.

Po drugie, nie dostałem posady w ochronie Grand Hotelu, tylko pracowałem tam, odpowiadając na ogłoszenie o naborze. Swojego bezpośredniego przełożonego widziałem kilka razy – nie wiem, jaki miał sygnet, jaka była jego przeszłość, i z nikim go nie zapoznawałem. Nigdy nie rozmawiałem z tym człowiekiem/przełożonym o żadnych „panienkach”, a „Ola” w czasie mojej pracy w Grand Hotelu nadal nie znałem (podobnie jak w Stoczniowcu), nie mogłem więc wykonać do niego żadnego telefonu, w żadnej sprawie. Mogłem zapalić papierosa, ale nigdy nie paliłem nalogowo.

Grzegorza Horodko „Śledzia” poznałem w zakładzie karnym w Gdańsku podczas moich zajęć edukacyjnych dla 50 osadzonych, które tam prowadziłem jako pracownik IPN, wspólnie z Danielem Wicentym. Grzegorz Horodko był jednym z nich [więźniów]. Miałem wówczas wystąpienie o Sergiuszu Piaseckim. Horodko z kolei był po lekturze wszystkich książek Piotra Zychowicza, więc wywiązała się dyskusja historyczna. Swoją drogą ciekawa.

Jestem Prezesem IPN. Mam wiele atutów, o których możemy porozmawiać w odpowiednim czasie – teraz ich przytaczanie wydaje się bezcelowe. ●

Neo-sędziowie nie istnieją?

Prawnicy tak już mają, że nie dostrzegają rzeczy, których ustawa nie przewiduje

Marcin Matczak



Nie ma czegoś takiego jak „neo-sędziowie” – mówi w Kanale Zero profesor Ryszard Piotrowski, mój szanowny kolega z Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, uzasadniając tę dziwną tezę przez osiemnaście minut. Nie ma takiego miasta „Londyn” – chciałoby się powiedzieć. Bo to powiedzenia podobne. U Barei wynikało z ograniczeń rejestru miejscowości, do których można było kupić bilet w komunistycznej Polsce, albo z czyjejś kulejącej ortografii. U Profesora z czegoś innego, bo na pewno nie z ograniczeń – toż to erudyta, jakich mało. Zatem z czego?

Argument, którego Profesor użył, jest zadziwiający. Nie ma czegoś takiego jak „neo-sędziowie”, bo nasza konstytucja o nich nie wspomina, nie wspomina o nich także prawo o ustroju sądów powszechnych. Prawnicy tak już mają, że nie dostrzegają rzeczy, których ustawa nie przewiduje. To ta-

ki syndrom wieży z kości słoniowej i wiara, że prawodawca jest jak demiurg – powołuje byty do istnienia, a jak nie powoła, to tych bytów nie ma.

Można by się ucieszyć tym argumentem, bo jest pełen optymizmu. W konstytucji i ustawach nie ma wielu złych rzeczy, więc gdyby podzielać wiarę Profesora w prawodawcę-stwórcę świata, żyłoby się lepiej. Nie ma na przykład w konstytucji i naszych ustawach słowa „hejt”. Podobnie jak „neo-sędziowie”, to określenie publicystyczne, więc można zgodnie z tezą Profesora odetchnąć. Jest Łądek, Łądek Zdrój, jest znieślawienie, ale hejtu nie ma, więc nie ma co się nim przejmować.

Co więcej, teza Profesora jest cenna, bo daje poczucie bezpieczeństwa, i to bezpieczeństwa państwowego. Należy bowiem zauważyć, że w konstytucji nie ma czegoś takiego, jak „zamach stanu”. Nie ma czegoś takiego także w kodeksie karnym, bo art. 127 mówi jedynie o „pozbawieniu niepodległości, oderwaniu części obszaru lub zmianie przemoć konstytucyjnego ustroju Rzeczypospolitej Polskiej”. Stąd już jasna konkluzja, że „zamach stanu” to określenie publicystyczne. Skoro tak, to nie istnieje i nie ma się czego obawiać. Możemy więc spać spokojnie.

Smutne to wszystko. Słucham tego profesorskiego wywodu i zdaje się, jakby Profesora nie było tu z nami przez ostatnie 20 lat. Mówi

dwadzieścia minut i ani razu nie wspomina o orzeczeniach sądów europejskich – i Trybunału Sprawiedliwości UE, i Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, które zakwestionowały legalność neo-KRS, a tym samym zakwestionowały legalność rekomendowanych przez nią sędziów, później powołanych przez prezydenta.

Dla Profesora zatem najwyraźniej nie ma czegoś takiego jak Europa – dla niego to pewnie określenie publicystyczne, nie prawne. Co więcej, Profesor broni jak lew trzech neosędziów z Sądu Najwyższego, którzy wydali decyzję w sprawie prokuratora Barskiego, a nie wspomina o uchwale trzech izb SN, która jasno powiedziała, że nie są oni sędziami, ale przebieraćcami. Ale wiadomo, człowiek jest ważniejszy niż izba, nawet taka złożona z ludzi.

À propos! Tak trafiamy na inny argument za tezą, że nie ma czegoś takiego jak „neo-sędziowie”. Nie profesorski, a internetowy. Otóż pojawił się głos, że nie ma żadnych orzeczeń sądowych, które kwestionują status osób rekomendowanych przez neo-KRS. Są tylko orzeczenia kwestionujące status izb Sądu Najwyższego, na przykład Dyscyplinarnej czy Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych.

Orzeczenie Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w sprawie Wałęsa przeciwko Polsce głosi: „Trybunał orzekł, że stwierdzone przezeń naruszenia prawa wewnętrznego, wynikające z nieprzestrzegania zasady praworządno-

ści, zasady trójpodziału władzy i zasady niezależności sądownictwa, w sposób immanentny skaziły kwestionowaną procedurę powoływania sędziów. Procedura powoływania sędziów, uwidaczniająca nadmierny wpływ władzy ustawodawczej i wykonawczej na powoływanie sędziów, była per se niezgodna z art. 6 ust. 1 Konwencji i jako taka stanowiła fundamentalną nieprawidłowość wpływającą negatywnie na cały proces i zagrażającą legitymacji sądu złożonego z tak powołanych sędziów”.

Krytycy twierdzą, że to orzeczenie mówi nie o sędziach, ale o „sądzie” – Izbie Kontroli, bo to przecież ona jest nieprawidłowo obsadzona. To brawurowy argument, który wart jest głębszej analizy. Szczególnie brawurowe jest to, jak argument ten nie widzi ludzi, widzi tylko izby. Ewentualnie inne przedmioty.

Otóż idąc za nim, można śmiało powiedzieć, że w Polsce nie ma już nieprzygotowanych do lekcji uczniów – to klasa jest nieprzygotowana. Nie ma więc komu postawić jedynki. To nie kierowca autobusu szkolnego nie ma ważnych uprawnień do kierowania – to autobus nie może dalej jechać i to on powinien dostać mandat, nie ten Bogu ducha winny człowiek.

Wreszcie według tego argumentu to nie osoba powołana do sądu nielegalnie jest neo-sędzią, przebieraćcem, udawaczem, i to nie ona powoduje, że sąd jest niewłaściwie obsadzony i zamiast wyroków wydaje nic niewarte świstki papieru. Sąd jest niewłaściwie ob-

sadzony nie wiadomo czym. Może paprotkami, może jakimś krzakami. Na pewno nie neo-sędziami, bo to określenie publicystyczne.

I trzeba przyznać profesorowi Piotrowskiemu, że w stosowaniu argumentu z ustawowego niebytu jest konsekwentny. W opinii na temat KRS, którą przedstawił cztery lata temu, 11 stycznia 2020 roku, a która jest dostępna w internecie, ani razu nie pojawia się publicystyczny termin „neo-sędzia”.

Profesor pisze jedynie w konkluzji: „Powołania sędziowskie, dokonane przez Prezydenta RP na wniosek KRS, która nie jest organem konstytucyjnym w rozumieniu art. 186 Konstytucji RP (z uwagi na jej ukonstytuowanie, funkcjonowanie oraz wykonywanie powierzonych zadań w sposób sprzeczny z art. 186 Konstytucji) należy uznać za wadliwe” oraz „Osoby w ten sposób powołane przez Prezydenta nie mają statusu sędziego w rozumieniu art. 179 Konstytucji RP”.

Tych trzech zatem, którzy zdecydowali, że Bodnar niewłaściwie odwołał Barskiego, nie miało statusu sędziego według opinii Profesora Piotrowskiego z 2020 roku. Ale w 2024 według tego samego Profesora już mają i Bodnar jest gorszy niż Ziobro, bo ich nie szanuje.

Ale nic to. Najważniejsze, że nie wolno mówić „neo-sędzia”, bo to określenie publicystyczne. I nie ma takiego miasta „Londyn”. ●

Kulisy konfliktu o sukcesję
imperium Solorza

MÓWISZ
Polsat,
MYŚLISZ
Polska

Kilkoro się bije,
a rząd się
przygląda

Agnieszka Kublik
Wojciech Czuchnowski

W samym środku upalnych wakacji, 2 sierpnia, Zygmunt Solorz, właściciel imperium, na które składa się – prócz telewizji Polsat, z którą jest najbar-dziej kojarzony – m.in. wielki operator teleko-munikacyjny i dostawca internetu Netia, jeden z największych polskich portali, czyli Interia, oraz grupa elektrowni – przekazuje synom pełną kontrolę na fundacjami, które zarządzają jego biznesem. Następnego dnia chce decyzję odwołać. Oświadcza, że 2 sierpnia został „podstępnie wprowadzony w błąd”. Konflikt o kontrolę nad Grupą Polsat przeradza się w otwartą wojnę.

W ostatnich dniach przyjaciele i najbliżsi współpracownicy Solorza odbierają telefony z jego numeru. Ale rozmowę zaczyna nie Solorz, lecz Justyna Kulka, od marca 2024 r. żona biznesmena. Przekonuje, że Zygmunt jest w świetnym stanie, że wkrótce się wszystkim pokaże. Potem przekazuje telefon Solorzowi. Ten mówi, że „dzieci próbują go okraść” i „dzieci go oszukały”. Niektórzy rozmówcy mają wrażenie, że brzmi to, „jakby powtarzał wcześniej przygotowany tekst”.

Takie rzeczy na ogół nie wychodzą na jaw. Opinia publiczna, jeśli o nich się dowiaduje, to po fakcie, gdy obie strony zawarły już porozumienie, kłótnie i spory zostały zażegnane i zaczyna się nowy etap. By negocjacje się udały, a biznes nie ucierpiał, konieczna jest dyskrecja. Zwłaszcza gdy chodzi o biznes wartości prawie 8 mld zł, w którym państwowe banki ułokowały 15 mld kredytu. Biznes ze strategicznymi spółkami telekomunikacyjnymi, energetycznymi, ogólnopolską telewizją oglądaną przez miliony ludzi i jednym z czołowych portali.

Ale wojnie o władzę w imperium Solorza wszyscy mogą się przyglądać.

„Od niemalże dwóch miesięcy kontakt z naszym Ojcem jest utrudniony a w kontekście jego uwarunkowań osobistych i zdrowotnych, połączonych z niemożnością porozmawiania z nim bezpośrednio i osobiście, nie jest jasne czy wydawane przez osoby trzecie w jego imieniu dyspozycje są w istocie jego decyzjami” – to najważniejsze zdanie z listu, który Aleksandra Żak, Piotr Żak oraz Tobiasz Solorz wysłali 23 września do zarządów i rad nadzorczych spółek Cyfrowy Polsat, Telewizja Polsat, Polkomtel oraz Netia. „Wyborcza” jako pierwsza napisała o tym liście, ale nie mieliśmy jego treści. Teraz znamy go w całości. Choć kluczowe nazwisko nie pada, jest jasne, że „osoby trzecie” to Justyna Kulka, obecna żona miliardera, z którą ślub Solorz wziął pół roku temu. To ją dzieci miliardera oskarżają, że kontroluje ich ojca, którego praktycznie ubezwłasnowolniła.

Dwa dni później do 2 tysięcy pracowników grupy Polsat Plus trafia inny list, tym razem podpisany przez Zygmunta Solorza: „W ostatnim czasie zdałem sobie sprawę, iż angażowanie na obecnym etapie moich dzieci w zarządzanie firmami nie przyczynia się do wyższej stabilności w firmach ani do budowania ich lepszej przyszłości. Postanowiłem zatem zmienić tę sytuację i podjąć działania w celu odwołania w najbliższych tygodniach moich dzieci z władz odpowiednich spółek”. Tak naprawdę chodzi o Tobiasza i Piotra, bo Aleksandra nie jest aktywna w spółkach ojca. Starszy Tobiasz jest w radach nadzorczych i zarządach kilku z nich. Najważniejsza funkcja Piotra Żaka, to prezes Telewizji Polsat.

Treść odpowiedzi Solorza jest porażająca. Tylko czy na pewno Solorz jest autorem tych brutalnych sformułowań? To właśnie w tym kontekście pada nazwisko Justyny

Kulki. Ona ma stać i za tym listem, i za całym planem pozbawienia córki i dwóch synów kontroli nad imperium, które przez ponad 30 lat zbudował ich ojciec. I które jeszcze dwa lata temu planował im przekazać.

Istotą konfliktu jest kwestia kontroli nad dwoma fundacjami, które są właścicielami większości udziałów w imperium Solorza: TiVi Foundation i Solkomtel Foundation. Obie zarejestrowane są w księstwie Lichtenstein, gdzie Solorz ma jedną z rezydencji. Pierwsza – TiVi – skupia media i spółki telekomunikacyjne (Telewizję Polsat, Polsat Cyfrowy, Polkomtel, Netię), druga – Solkomtel – spółki energetyczne takie jak Zespół Elektrowni Pątnów Adamów Konin, PAK energia atomowa, Elektrim. Solorz jest beneficjentem rzeczywistym tych fundacji, czyli ich właścicielem i głównym udziałowcem. Dzieci beneficjentami wtórnymi, wpisanymi w dokumenty fundacji jako osoby, które automatycznie przejmują je po śmierci Solorza.

Fundacje powstały w 2012 i 2013 roku. Mają być i są „wehikulem do kontroli całego biznesu”. W 2022 r. Solorz wprowadził do statutów obu fundacji zapis pozwalający przekazać beneficjentom wtórnym zarządzanie majątkiem fundacji jeszcze za jego życia. Nieoficjalnie wiązało się to z pojawie-

zarządzania majątkiem i podejmowania kluczowych decyzji. Skłaniają ojca do wycofania tych pełnomocnictw. Nalegają na spotkanie bez Kulki i Modrzejewskiego.

Dochodzi do tego w dniach 30 lipca – 1 sierpnia 2024 r. w Warszawie. Aleksandra specjalnie na to spotkanie przylatuje razem z dziećmi z USA, gdzie mieszka. Na lotnisku witają ją Piotr, ojciec i mecenas Modrzejewski. Od pierwszych chwil wraca kwestia sukcesji. Solorz mówi, że chciałby wszystko tak podzielić, żeby nie było kłótni między dziećmi a Justyną. 1 sierpnia w biurze Solorza cały dzień trwają dyskusje ojca z synami i córką. Na łączach jest notariusz i prawnicy. 2 sierpnia zostaje podpisane oświadczenie notarialne, w którym Solorz przekazuje zarząd nad obiema fundacjami dzieciom. Zachowuje dla siebie prawo weta, dywidend, zysków itd. Tego samego dnia te postanowienia wchodzi w życie i zostają przesłane do sądu w Lichtensteinie. Jednocześnie Solorz usuwa zapisy o możliwości odwołania sukcesji. Dokument oznacza, że miliarder „aktywuje sukcesję za życia”.

Wszystko zmienia się 3 sierpnia. Synowie dostają telefon, że mają zjawić się w gabinecie ojca na 15 piętrze siedziby Polsatu. Podczas spotkania, na którym obecna jest Kul-

Solorz kocha wnuki, bardzo się nimi interesuje. Aleksandra bardzo przeżywa to, że wraz z synami została na przestrzeni ostatnich kilkunastu miesięcy – półtora roku odizolowana od ojca

niem się u biznesmena objawów dziedzicznej choroby, która dotknęła już jego dziadka i ojca. Jej przejawem są liczne mikroudary, nad którymi można panować tylko w pewnym stopniu. Medycyna nie znalazła na to jeszcze lekarstwa, może tylko ograniczać i kontrolować objawy.

Rok później po raz pierwszy został zastosowany zapis o przekazaniu zarządu nad fundacjami synom. Stało się to 29 maja 2023 r. (z tego dnia pochodzi zapis), z tym że wykonanie wyznaczono na 15 grudnia 2023 r. Nie doszło do tego, bo 17 sierpnia 2023 r. Solorz unieważnia to postanowienie. Zmienił też statut TiVi Foundation, usuwając zapis o prawie dzieci do jej przejęcia w razie utraty przez niego zdolności do działania. Wprowadza też punkt dający mu prawo do odwołania całej sukcesji. Pytany przez synów, co się stało, mówi, że poprawił mu się stan zdrowia i czuje się zdolny do zarządzania. Przy procedurze odwołania postanowienia obecni są Justyna Kulka i wspierający ją mec. Jerzy Modrzejewski. Czyli prawnik, który od lat 90. prowadzi interesy Solorza, a prywatnie jest jego przyjacielem. To on wspiera Justynę Kulkę i jako jedyny z najbliższego grona, które przez lata otaczało miliardera, jednoznacznie opowiada się po jej stronie.

Dzieci Solorza zaczynają się niepokoić. Od grudnia 2022 roku wiedzą, że ojciec ma nową partnerkę. Synowie znają Justynę Kulkę z pracy w Grupie, gdzie od lat zajmuje kierownicze funkcje w spółkach telekomunikacyjnych. Związek z Solorzem (zwieńczony ślubem w marcu 2024 r.) przyjmują spokojnie. Teraz jednak zaczynają postrzegać ją jako zagrożenie dla swojej pozycji. Dociera też do nich informacja, że ojciec wystawił na mec. Modrzejewskiego i na syna Modrzejewskiego pełnomocnictwa do

ka i Modrzejewski, słyszą, że ojciec chce odwołać wprowadzone zmiany. Kulka tłumaczy, że Solorz nie wiedział, co podpisuje, że „to trzeba cofnąć i zrobić inaczej”. Ostatecznie tego dnia o godz. 16 Zygmunt Solorz i synowie podpisują porozumienie, że zamierzają stosować wcześniejsze postanowienia, ale wstrzymują ich wykonywanie do 16 sierpnia. Do tego czasu mają być „prowadzone w dobrej wierze rozmowy mające na celu wyjaśnienie spraw związanych z funkcjonowaniem obu fundacji. Do żadnych wyjaśnień nie dochodzi. 3 dni przed tą datą – 13 sierpnia – Solorz składa oświadczenie o „uchyleniu się od skutków prawnych” oświadczenia z 2 sierpnia o przekazaniu zarządu fundacji dzieciom. W uzasadnieniu pisze, że oświadczenie z 2 sierpnia „zostało złożone przeze mnie pod wpływem wywołanego podstępnie błędu”.

O jaki podstęp chodzi, kto miał ten podstęp zastosować, nie podaje. Jest jednak jasne, że miliarder oskarża dzieci o złą wolę. Obecnie w Lichtensteinie trwa sądowy spór między Solorzem a jego córką i synami o to, czy skuteczne jest oświadczenie z 2 sierpnia, czy wycofanie się z niego 13 sierpnia? Postępowanie zaczęło się 26 sierpnia. 10 września sąd wydał 5 zabezpieczeń tymczasowych, które zamrażają stan obecny. Jest też wniosek, by na czas sporu powołać dla obu fundacji kuratora. Co będzie dalej, nie wiadomo. Żeby skutecznie unieważnić dokument z 2 sierpnia, Solorz musiałby udowodnić „podstęp” i wskazać winnych. Czyli obciążyć córkę i synów.

O tym sporze też można przeczytać w liście z 23 września podpisanym przez córkę i synów miliardera: „zwracamy uwagę, że powstał spór co do reprezentacji TiVi Foundation (...) która jest pośrednim i bezpośrednim akcjonariuszem spółek, do których kie-

rujemy to oświadczenie” – piszą autorzy listu, wymieniając z nazwiska osoby, od których pracownicy mogą przyjmować dyspozycje. Ostrzegają też przed wykonywaniem poleceń „innych osób lub pełnomocników”.

Wersja od osób związanych z dziećmi Zygmunta Solorza

Rozmówca I: Sukcesja była przygotowywana od dawna. Zarządzanie imperium mieli przejąć synowie Solorza: Tobiasz Solorz i Piotr Żak. Synowie – wg koncepcji ojca – mieli przechodzić przez kolejne szczeble zarządzania i poznawać wszystkie aspekty działalności. Córka – Aleksandra Żak o wszystkim wiedziała i nie była odsunięta. Całkiem świadomie, nie chciała zajmować się biznesem. Mieszka razem z mężem i dziećmi w USA i prowadzi fundację pomagającą zwierzętom. Jednocześnie bierze udział w najważniejszych rozmowach i ustaleniach dotyczących sukcesji.

Poza tym ze wszystkich dzieci jest najbardziej związana z ojcem, a ojciec z nią. Solorz kocha też wnuki, bardzo się nimi interesuje. Aleksandra bardzo przeżywa to, że wraz z synami została na przestrzeni ostatnich kilkunastu miesięcy – półtora roku odizolowana od ojca. To ona w ciągu ostatnich tygodni najbardziej intensywnie dążyła do kontaktu z ojcem. Osobiście odwiedzała jego domy, gdzie spodziewała się go zastać, śledziła lokalizację jachtu, na którym mógł być. Od osób z obsługi domów, łodzi i samolotów dostawała informacje, że też mają utrudniony kontakt z Solorzem, a Justyna Kulka pilnuje, by nikt z nim bezpośrednio nie rozmawiał.

Rozmówca II: Początki relacji dzieci z Justyną Kulką nie zapowiadały problemów. Aleksandra jej nie знаła, Piotr i Tobiasz kojarzyli ją ze spotkań w firmie, gdzie pełniła kierownicze funkcje w spółkach telekomunikacyjnych. Nie należała jednak do „ludzi 15 piętra”. Tak nazywany jest najściślej-szy krąg kadry wokół Solorza, zajmujący 15 piętro siedziby Polsatu. To 34 osoby. Kulki wśród nich nie było. Po oraz pierwszy w towarzystwie ojca zobaczyli ją jesienią 2022 r. podczas wyjazdu do Korei w sprawie projektu budowy elektrowni atomowych. Wtedy otwarcie Solorz już był z Kulką, chodzili, trzymając się za ręce. Gdy wrócił z tej delegacji, nie pojawił się już w domu, gdzie mieszkał z ówczesną – trzecią – żoną, prawniczką, Małgorzatą Nawrocką. Zamieszkali razem z Justyną. Oficjalnie Solorz przedstawił ją dzieciom w grudniu 2022 r.

Rozmówca III: Justyna stopniowo ograniczała kontakt dzieci z ojcem. Była przy każdej ich rozmowie, odbierała jego telefon i albo przekazywała go Zygmunтови, albo mówiła, że nie może rozmawiać. Zaczęła odsuwać od niego przyjaciół, zwolniła najbardziej zaufaną asystentkę, panią Bożenę i starych współpracowników. Wreszcie „wprowadziła się” do jego gabinetu, co w grupie jest sytuacją bez precedensu. Solorz zawsze przyjmował tam sam. Teraz przy obiadowym stolicku sąsiadującym z jego biurkiem stała siedzi ona z laptopem Justyna, kontroluje każde spotkanie, to ona decyduje, kto wchodzi, a kto nie, ma pilota do drzwi. Nawet podczas spotkań prowadzonych online ona i Solorz pojawiają się razem w obiektywie kamery.

Czwarta żona Zygmunta Solorza to pierwsza z jego partnerek, która tak mocno weszła w biznesowy świat miliardera. Dzieci Solorza twierdzą, że za mocno i że Justyna Kulka chce przejąć jego imperium.

Świat po raz pierwszy zobaczył ją w kwietniu 2023 r. Na łamach „Super Expressu” ukazała się seria zdjęć z Sopotu, na których Solorz spacerował w objęciach z drobną brunetką. Była to ewidentna „ustawka”. W marcu tego roku wzięli ślub w Lichtensteinie. W maju podczas festiwalu w Sopocie byli już na widowni jako para, choć zawarcie związku małżeńskiego nie zostało oficjalnie ogłoszone. Plotkarski serwis Pudelek relacjonował: „Miliarder pojawił się w Operze Leśnej nie sam, a z piękn-

ną brunetką u boku. Stylizacje zakochanych były naprawdę na czasie. Partnerka Solorza postawiła na modną siateczkową sukienkę, do której dobrała neonowe pomarańczowe buty na obcasie i elegancką torebkę”.

Lecz Kulka nie jest typem kobiety, która zawróciła w głowie bogatemu mężczyźnie, pojawiając się w jego życiu nie wiadomo skąd i której atutem jest wyłącznie uroda. Pochodząca z miejscowości Wtórek koło Ostrowa Wielkopolskiego żona Solorza ma 50 lat, dorosłego syna i jest gruntownie wykształconą ekonomistką. Skończyła poznańską Akademię Ekonomiczną, prestiżowy tytuł MBA uzyskała w ramach programu prowadzonego przez Uniwersytet Warszawski we współpracy m.in. z Harvard Business School. Po studiach pracowała głównie w branży telekomunikacyjnej – kolejno w Netii, PTC Era (dziś T-Mobile) – ale też przez kilka lat w spółce Formus, działającej na rynku usług medycznych.

Biznes Solorza zna bardzo dobrze, w grupie Polsat pracuje od 2012 roku. Zaczynała w Polkomtelu, wielkiej spółce branży telekomunikacyjnej. W tej branży w ramach grupy pokonywała kolejne szczeble kariery: była Dyrektorem Rynku Biznesowego operatora sieci Play, w Polkomtelu i w Cyfrowym Polsacie S.A. pełniła funkcję Dyrektora Zarządzania Ofertą, a następnie Dyrektora Departamentu Strategii Marketingowej. Po raz pierwszy w radzie nadzorczej jednej ze spółek grupy – Netia S.A. – zasiadła w 2018 r., od 2019 jest w zarządzie Polkomtelu, od 2020 r. w radzie Plus Banku.

W roku 2022 jej kariera przyspieszyła. Między marcem a grudniem Kulka znalazła się w radach nadzorczych 6 spółek, w tym tak ważnych, jak PGE PAK oraz Telewizja Polsat i Polsat Media. A rok 2024 r. – czyli czas po ślubie – to już szalony przyrost. Do 9 września Justyna Kulka zasiłowała radę nadzorczą 32 spółek związanych z energią, energią atomową (oczko w głowie Solorza) oraz mediami i telekomunikacją. W radach trzech spółek znalazła się także jej siostra. Według źródeł w grupie Polsat roczne dochody Justyny Kulki wzrosły w ostatnich latach z 400 tys. zł. do 10-11 mln.

W Polkomtelu, gdzie zaczynała, Kulka jest dziś wiceprzewodniczącą Rady. Przewodniczy jej sam Solorz. Tę samą funkcję, co macocha – określenie symboliczne, bo np. 44-letni Tobias jest raptem 6 lat młodszy – pełni tam Tobias Solorz i Piotr Żak.

Kiedy Solorz związał się z obecną żoną? Najpierw były relacje służbowe. – Prezes poznał ją po prostu w pracy, zainteresowało go jej spojrzenie na biznes, mieli wspólne tematy – opowiada jeden z menedżerów grupy. Inni potwierdzają, że „Solorz znalazł partnerkę do rozmowy”. – Potrafiła mu się sprzeżać, potrafiła forsować swoje zdanie. To mu się musiało podobać.

Z „Wyborczą” Justyna Kulka nie chciała rozmawiać. Rozmawiała za to z „Super Expressem”. Odniosła się tam do naszych publikacji: „Nikt nie lubi czytać o sobie takich rzeczy. Większość z nich to nieprawda i nie wiem jakiemu celowi ta publikacja ma służyć”. W artykule dotyczącym konfliktu w rodzinie Solorza pisaliśmy, że Justyna Kulka stoi za tym, że w czasach rządów PiS programy Polsatu nie były krytyczne wobec partii Kaczyńskiego, a wiele nadużyć władzy po prostu pomijały milczeniem. Pisaliśmy też, że Kulka przyjaźni się z Dorotą Gawryluk, jedną z najbardziej rozpoznawalnych twarzy polskich mediów, do końca 2023 r. redaktor naczelną Polsatu, która nie ukrywała sympatii do PiS. To Kulka ma stać za pomysłem, by Gawryluk startowała w przyszłorocznych wyborach prezydenckich. Obecna żona Solorza jest wiceszefową Rady Programowej Stowarzyszenia Lepsza Polska, które – gdyby Gawryluk zdecydowała się kandydować – byłoby bazą organizacyjną dla kampanii. Polsat – najpopularniejsza telewizja w Polsce – w tej układance stanowiłaby bardzo ważny element.

Przygotowując ten tekst, ponownie zwróciliśmy się do Justyny Kulki. Tłumaczyliśmy

jej, że „rzetelność dziennikarska oraz odpowiedzialność przed opinią publiczną, wymaga, żebyśmy poznali Pani stanowisko”. I pytaliśmy: z czego wg Pani wynika konflikt między Panią a dziećmi Pani męża?; czy to prawda, że izoluje Pani Męża od jego dzieci i przyjaciół, staje na przeszkodzie ich osobistym kontaktom, nie chce Pani powiedzieć, gdzie przebywa Pan Solorz?; 13 sierpnia 2024 r. p. Zygmunt Solorz złożył oświadczenie o „uchyleniu się od skutków prawnych” oświadczenia z 2 sierpnia o przekazaniu dzieciom zarządu swoich fundacji. W uzasadnieniu pisze, że oświadczenie z 2 sierpnia „zostało złożone przeze mnie pod wpływem wywołanego podstępnie błędu”. O jaki podstęp chodzi? Kto miał ten podstęp zastosować? Prosimy o wyjaśnienie tego. Czy wg Pani dzieci działają dziś na szkodę Pani Męża?

Na odpowiedzi wciąż czekamy.

Dla Jarosława Kaczyńskiego obecność w dużej ogólnopolskiej telewizji to być albo nie być. Natomiast aby utrzymać – lub odzyskać – władzę, potrzebuje dywersyfikacji przekazu. Czyli wyjścia poza twardy elektorat, gwarantujący utrzymanie się w parlamencie, ale nic ponad to.

Telewizja publiczna przez osiem lat rządów Zjednoczonej Prawicy była pasem transmisyjnym do twardego elektoratu. Dlatego, choć utrata TVP Kaczyńskiego zabolowała, szybko się otrząsnął – wiernego wyborcę przejęła TV Republika, do której przeszły największe gwiazdy pisowskiej TVP. Ten front medialny PiS ma zabezpieczony. Tak naprawdę kluczowy był Polsat, bo – nie

cych znaleźć niszę i przetrwać na kurczącym się rynku telewizyjnym, podgryzanym przez YouTube’a, gdzie przenoszą się kolejne gwiazdy mediów, oraz przez platformy streamingowe w rodzaju Netflixa. Wszystko zmienił rok 1994 i ogólnopolska koncesja, pozwalająca na nadawanie naziemne w całym kraju i skuteczną rywalizację o widza z ogólnopolskimi stacjami TVP. Wtedy po raz pierwszy marka Polsatu spłotła się z wielką polityką. To była ogromna afera.

Czy ktoś jeszcze pamięta, skąd wziął się popularny cytat „Członek to brzmi dumnie”? Te słowa rzucił Marek Markiewicz, gdy prezydent Lech Wałęsa go odwołał z fotele przewodniczącego Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, i pozostała mu tylko funkcja członka Rady. A poszło właśnie o ogólnopolską koncesję dla Polsatu. Gdy Markiewicz ją podpisał, Wałęsa się wściekł, pytając, czy nie można było dać koncesji „komuś normalnemu, kto ma jeden paszport, a nie kilka”. Bo wokół Solorza atmosfera była wówczas gęsta atmosfera, głośno szeptano, że przed 1989 rokiem i transformacją ustrojową współpracował ze Służbą Bezpieczeństwa. O koncesję ubiegały się wówczas konsorcja z udziałem m.in. CNN i Reutersa, więc wygrana lokalnego przedsiębiorcy o krótkim stażu na rynku medialnym, wcześniej kojarzonego z typowych dla początku polskiego kapitalizmu biznesów „eksport-import” w rodzaju importu tanich samochodów, faktycznie mogła dziwić.

Po latach, w 2006 r., media podały, że odkryto w IPN datowane na lata 1983-85 zobowiązanie do współpracy. Właściciel Polsatu wyjaśniał, że dokument podpisał, ale nie współpracował ze służbami PRL. „Podpi-

Markiewicz, w latach 80. represjonowany członek podziemnej „Solidarności”, po wybuchu afery koncesyjnej tłumaczył, że przed podjęciem decyzji koncesyjnej zwrócił się do szefa MSW, a następnie do Urzędu Ochrony Państwa o opinię na temat właściciela Polsatu. Służby nie miały żadnych zastrzeżeń do Solorza. Po odejściu z KRRiT Markiewicz dołączył do ekipy Solorza. Przez lata prowadził programy w jego telewizji, m.in. „Sztukę informacji” i „Bumerang”, kierował TV Biznes – pierwszą w kraju stacją informacyjno-gospodarczą, potem pionem informacji i publicystyki Polsatu. W 2010 r. wstąpił do Prawa i Sprawiedliwości.

A Solorz pozostał w awangardzie medialnego biznesu. W 1999 r., kilka lat po siermiężnym debiucie, uruchomił własną platformę satelitarną – Cyfrowy Polsat. Dziś to największa w Europie Środkowo-Wschodniej pod względem liczby klientów platforma cyfrowa, dająca dostęp do około 200 polskojęzycznych kanałów i bezprzewodowego internetu.

Z badań CBOS wynika, że obecnie programy informacyjne Polsatu najczęściej oglądają widzowie od 35 do 64 roku życia, mieszkańcy mniejszych miejscowości, bez wyższego wykształcenia, z niższymi dochodami, praktykujący religijnie 1-2 razy w miesiącu oraz nieposiadający wyrobionych poglądów politycznych. Trudno nie dostrzec podobieństw do socjologicznego profilu wyborcy PiS.

Jednocześnie to Polsat otwiera listę stacji, z których Polacy najczęściej czerpią informacje. Wskazało go 51 proc. badanych, TVP – 41 proc. i TVN – 40 proc. Dalej są TVP

Sukcesja była przygotowywana od dawna. Zarządzanie imperium mieli przejąć Tobias Solorz i Piotr Żak. Synowie mieli przechodzić przez kolejne szczeble zarządzania i poznawać wszystkie aspekty działalności

tak jednoznacznie identyfikowany z (tą czy inną) linią rządową jak publiczny nadawca, przez większość widzów odbierany apolitycznie, jako skupiona na zarabianiu, informacyjno-rozrywkowa stacja – miał na stawiać pozytywnie do władzy resztę, od której zależał sukces wyborczy: wątpliwych, niezdecydowanych, zdemobilizowanych. Tu propaganda miała unikać przerysowania, przesady i topornego lansowania przekazu władzy, od których specjalistą był Jacek Kurski, polegać bardziej na unikaniu krytyki rządzących i tonowaniu niewygodnych tematów.

Polsat – dziś należący do tzw. wielkiej czwórki z TVP1, TVP2 i TVN – powstał w 1992 r. jako pierwsza prywatna telewizja w Polsce. I od początku – co później dostrzegł, docenił i postanowił wykorzystać Kaczyński – celował w gusta i potrzeby tzw. zwykłego człowieka.

Zaczął od nadawania czterogodzinnych programów nagrywanych w Holandii. Było grzebień i ludycznie: oszczędnie zaaranżowane studio, seriale klasy B w rodzaju „McGyvera”, dziś kultowe, a wówczas po prostu kupowane tanio, latynoskie telenovele oraz disco polo, wcześniej krążące w obiegu gminno-bazarowym, w którym Solorz jako pierwszy dostrzegł wielki rynkowy potencjał. Przez lata w kręgach wśród widzów aspirujących i w kręgach opiniotwórczych stacja uchodziła za obciachową – ale zwykły widz wiedział swoje i głosował pilotem.

Lecz niewykluczone, że dziś Polsat byłby jedną z wielu niedużych stacji, usiłują-

sałem to, co mi SB kazalo podpisywac. Nie czuję się jednak winny, bo na nikogo nie donosiłem i nikomu nie zaszkodziłem”.

W 1994 r., gdy wybuchła afera z koncesją, Solorz w wywiadzie telewizyjnym mówił, że nigdy nie ukrywał, że ma kilka paszportów i nazwisk. Miało chodzić o względy „osobiste i rodzinne”. Gdy wypłynęły papiery z IPN, opowiedział, jak został zwerbowany. „Były lata 80., a ja kilka lat wcześniej, jako 20-letni, chłopak wyjechałem nielegalnie na Zachód. I w 1983 r. chciałem po prostu przyjechać do Polski. Gdy w marcu lub maju zjawilem się w Radomiu, zostałem wezwany do jakiegoś pomieszczenia nad biurkiem paszportowym. Siedzący tam człowiek kazał mi dokładnie spisać, co robiłem za granicą. Miałem opisać, co robiłem, z kim się zadawałem, kogo znam. I to zrobiłem, bojąc się, że zostanę aresztowany za nielegalny wyjazd. A ja chciałem móc jeździć do Polski, bo cały czas ciągnęło mnie do kraju. To było kilka spotkań – cztery, może pięć na przełomie 1983-85 r. Na jednym z nich musiałem podpisać jakieś zobowiązanie. Dla mnie to było wymuszanie. Kazali mi to podpisać, więc podpisywałem. Gdy dali mi zobowiązanie do współpracy to mówili, żebym się nie podpisywał nazwiskiem Krok, tylko tak, aby nikt nie wiedział, że to ja. Spytałem, jak mam to zrobić, a oni powiedzieli, że wszystko jedno, że np. pseudonimem. Spojrzałem na rękę, zobaczyłem swój zegarek i tak powstał pseudonim Żeg jak zegarek. Nie używałem go, gdyż nigdy nie podpisywałem żadnych raportów. Taka to była współpraca”.

Info – 32 proc., TVN 24 – 31 i – znów „solorzowy” – Polsat News z 26 procentami. I to Polsat uchodzi za stację najbardziej wiarygodną. Zebrał najwyższe noty – 32 proc. uznaje programy informacyjne tej stacji za najbardziej wiarygodne. W przypadku pozostałych wielkich nadawców przeważają noty negatywne. Co prawda latem tego roku pierwsze miejsce wśród najpopularniejszych stacji okupowała telewizyjna Jedynka (według Nielsen Audience Measurement jej średni dobowy udział wyniósł 7,96 proc., ale drugi był Polsat z wynikiem 6,10 proc. TVN z 5,65 proc. – trzeci, TVN24 – czwarty.

Solorz romansował z każdą władzą. To nieuniknione, przy takiej skali i zakresie działalności wykraczającej poza czysty biznes i zahaczającej o rację stanu oraz sprawy międzynarodowe – atom, energetyka – wielki gracz musi rozmawiać z rządzącymi o interesach. Tak zresztą – nie żadnymi nieczystymi zagraniami, lecz pragmatyczną polityczną grą – tłumaczył przed laty proszący o anonimowość polityk prawdziwy powód, dla którego to Solorz dostał koncesję. – Decyzja KRRiT była kompromisem. Solorz był jedynym kandydatem, na którego wszyscy mogli się zgodzić. Postępował tak, że każda partia widziała w jego telewizji własną tubę propagandową. Czas pokazał, że wykiwał wszystkich – usłyszał w 2001 r. reporter „Wyborczej” Michał Matys, pisząc obszerny reportaż o młodości i pierwszych interesach jednego z najbogatszych Polaków.

Ale zbieżność interesów ze Zjednoczoną Prawicą wydaje się szczególna. Bo PiS był w sytuacji szczególnej: niby miał media publiczne, ale potrzebował jeszcze jednej telewizji. Takiej, która pomagałaby władzy, nie będąc z nią kojarzona. W myśl uwagi, którą rzucił Adam Hofman, były rzecznik PiS i doradca Kaczyńskiego, później wpływowy konsultant – że nie da się jednym przekazem dotrzeć do wszystkich i partia potrzebuje również prywatnej „telewizji publicznej light”. Nowogrodzka – jak potocznie mówi się o centrali PiS, od nazwy ulicy, przy której ma siedzibę – też miała dane o wiarygodności Polsatu i podobały jej się. Tu był potencjał do zrealizowania maksymy Kaczyńskiego, że „w Polsce za pomocą telewizji można wykreować obraz, jaki się chce, bo społeczeństwo nie analizuje tego, co tam widzi, tylko przyjmuje jako prawdziwe”.

Po paru latach rządów obozu PiS Najwyższa Izba Kontroli dostrzegła ciekawy trend. Kontrolerzy raportowali: „Udział TVN w torcie reklamowym państwowych spółek od 2015 do pierwszej połowy 2017 r. skurczył się z 22,3 proc. do 1,6 proc. Tymczasem Polsatu wzrósł z 15,8 proc. do 33,9 proc”. Zbiegiem okoliczności – co ujawnił branżowy „Press” – Cyfrowy Polsat w 2018 r. zaczął wydawać pieniądze na reklamy w „Sieciach” i „Gazecie Polskiej”, prawicowych tygodnikach prezentujących linię „hard PiS”, od lat związanych ze środowiskiem Kaczyńskiego. Według danych cenikowych Kantar Media (nie uwzględniają rabatów), w 2018 r. wartość reklam spółki w „Sieciach” wyniosła 1,73 mln zł, podczas gdy w latach 2015–17 nie wydała w tym tygodniku ani złotówki. W „Gazecie Polskiej” Cyfrowy Polsat w 2018 r. zostawił 786 tys. zł. Wcześniej był tam praktycznie nieobecny. Od wiosny 2018 r. biuro reklamy Polsat Media jest również brokerem telewizji w Polsce. pl, która – tak jak „Sieci” – należy do Fratrii, spółki związanej z braćmi Karnowskimi, jednymi z najważniejszych postaci na prawicowej medialnej scenie.

Jeszcze jesienią 2017 r., dwa lata po wyborach, wskutek których PiS przejął całą władzę w kraju i zaczął podporządkowywać sobie instytucje państwa, a prywatni przedsiębiorcy dostali jasne sygnały, kto trzymaj i marchewki, Solorz uspokajał pracowników, że nie przejmuje się żadnymi politycznymi naciskami i że Polsat przetrwał już niejedną władzę. – W tym sensie – wspominają ludzie z Polsatu – że się jej nie oddał.

Parę miesięcy później szefową informacji i publicystyki Polsatu została Dorota Gawryluk. Jedna z najbardziej rozpoznawalnych dziennikarek, prezenterek i redaktorek telewizyjnych, miała pokierować „Wydarzeniami”, czyli głównym dziennikiem stacji oraz pozostałymi serwisami informacyjnymi oraz programami publicystycznymi w Polsce i Polsat News. A pożegnał się z nimi Henryk Sobierajski, który pracował z Solorzem od 1997 r. To pokazuje, jak ważna to była zmiana dla biznesmena.

Opinia publiczna nie była specjalnie poruszona, bo co wielkiego w tym, że medialna gwiazda wzbija się jeszcze wyżej, i to nie w ramach sensacyjnego transferu, a w tej samej firmie. Ale w środowisku dziennikarskim i politycznym decyzję Solorza odebrano jednoznacznie: jako ukłon w stronę władzy i krok w realizacji idee fixe Kaczyńskiego – „kreowania obrazu, jak się chce”.

Bo Gawryluk to konserwatystka z wyraźną słabością do PiS. Można wyciągnąć taki wniosek nie tylko z faktu, że od lat przyjaźni się z Joanną Kurską (którą zresztą Solorz przygarnął w Netii jako ekspertkę ds. marki i mediów, gdy straciła pracę w TVP po tym, jak związała się z prezesem Jackiem Kurskim, a wierchuszka PiS uznała, że nie potrzebuje kolejnej afery wizerunkowej z kategorii „nepotyzm”). Ani z tego, że czteroletnią przerwę od Polsatu, w którym pracowała od 20 lat, zaliczyła w TVP w połowie lat 2000, kiedy na Woronicza rzucił PiS. Ani też z faktu, że medialnym promotorem Gawryluk był Marcin Wolski, słynny w PRL

Imperium Polsat

Z 400 tys. zł. do 10-11 mln zł

wzrosły roczne dochody Justyny Kulki
wzrosły w ostatnich latach według źródeł w grupie Polsat

51 proc.

badanych wskazało Polsat jako stacji, z której najczęściej czerpie informacje. Dalej są TVP – 41 proc. i TVN – 40 proc. Szósty – Polsat News z 26 proc.

32 proc.

badanych uznaje programy informacyjne Polsatu za najbardziej wiarygodne

Z 15,8 proc. do 33,9 proc.

wzrósł udział Polsatu w torcie reklamowym państwowych spółek od 2015 do pierwszej połowy 2017 r. – stwierdzili kontrolerzy NIK

0 zł

przez długi czas wydawał Cyfrowy Polsat na reklamy w „Sieciach”. A potem w jednym roku 2018 1,73 mln zł

Na 7,72 mld zł

szacuje „Forbes” majątek Solorza

Na 8. miejsce

w rankingu 100 najbogatszych Polaków spadł Solorz w tym roku

1 mld zł

na samą spłatę odsetek musiał wydać w zeszłym roku koncern Solorza

Ponad 15 mld zł

wynosi zadłużenie imperium Solorza

i pierwszych latach III RP satyryk, który mocno związał się z PiS (dając dobre, rozpoznawalne nazwisko ze świata kultury i mediów partii cierpiącej w tej dziedzinie na poważne niedobory) i był szefem TVP2, gdy PiS kontrolował media publiczne.

To Gawryluk Polsat w czasie kampanii parlamentarnej w 2015 r. oddelegował do debaty Beaty Szydło z ówczesną premier koalicyjnego rządu PO-PSL Ewą Kopacz, choć początkowo miał ją prowadzić Jarosław Gugała. Stało się tak na życzenie PiS. Sympatie dziennikarki były wyraźnie po stronie Szydło. Premier Kopacz dostawała pytania o afery, ale analogicznych pytań – np. o SKOK-i – prowadząca nie stawiała kandydatce PiS. A już po awansie na szefową informacji i publicystyki Gawryluk oceniała, że „do krytyki PiS – czy to kiedy był w opozycji, czy teraz, gdy rządzi – używa się wyolbrzymionych środków”.

Również w programach stacji było wiadać, że Polsat się reorientuje, łagodząc trudne dla rządzących wiadomości, a eksponując te niekorzystne dla opozycji i często pokazując, w neutralnym lub pozytywnym kontekście, polityków partii rządzącej, zwłaszcza premiera Morawieckiego.”Od nastania Gawryluk premier Morawiecki może być spokojny, że Polsat nie zrobi mu krzywdy. Na żółtych paskach Polsat News lądują jego nawet najbardziej banalne zdania. Producenci irytują się, że zawsze i wszędzie muszą wysyłać za Morawieckim wóz transmisyjny. Mają być w gotowości, aby pokazać widzom każde jego wystąpienie” – recenzo-

wał pod koniec 2018 r. tygodnik „Polityka”. Premier zaczął chętnie przychodzić do Polsatu, mało tego, pojawił się tam symbol „dobrej zmiany”, czyli Julia Przylebska. A zaproszeń od drugiej najważniejszej prywatnej telewizji informacyjnej, czyli krytycznej TVN24, prezes dyspozycyjnego wobec PiS Trybunału Konstytucyjnego nie przyjmowała.

Dr Łukasz Szurmiński, medioznawca z UW, tak wyliczał zmiany nasuwające wniosek o reorientacji: – Linia programowa się zmieniła, rozmowy z politykami rządzącymi miewają bardziej dworski charakter i nie pojawiają się tematy, które są obecne w innych stacjach. Nie ma tu nic tak topornego jak w TVP, ale ten przekaz wpływa na to, jak widzowie postrzegają działania rządzących. I to jest dobra informacja dla PiS.

A „Polityka” opisywała choćby, jak Polsat relacjonował aferę w Komisji Nadzoru Finansowego. Jesienią 2018 r. „Wyborcza” ujawniła, że Marek Chrzanowski, szef KNF, szantażował bankiera Leszka Czarneckiego, oferując właścicielowi Getin Banku „spokój za 40 mln zł”, a potem zaprowadził go do prezesa NBP Adama Glapińskiego, jednego z najbardziej zaufanych zauszników prezesa PiS jeszcze z lat 90. i czasów Porozumienia Centrum, pierwszej partii Kaczyńskiego. Tak gruba, łącząca wielkie pieniądze i szantaż na szczytach państwa sprawa, naprawdę mocno uderzała w rządzących. Tymczasem Polsat informował – za pośrednictwem Bogdana Rymanowskiego w „Wydarzeniach”, że „premier Morawiecki uruchomił służby, Zbigniew Ziobro prokuraturę, ale dla opozycji to za mało”, a Gawryluk, że „Według najważniejszych osób w państwie nadzorujących banki, system finansowy jest stabilny”. „Choć te słowa do opozycji nie trafiły, trafiły do inwestorów”.

– Media to biznes szczególnie, wymagający niezależności, i nie jest szczęśliwe łączenie go w jednym portfelu z innymi zupełnie interesami, silnie uzależnionymi od regulacji państwowej. To może wystawić niezależność tych mediów na ryzyko. Ktoś może pomyśleć, że zgoda UOKiK na przejęcie Netii przez Cyfrowy Polsat, miesiąc po tym, jak Gawryluk oficjalnie została dyrektorem informacji i publicystyki Polsatu, to nie jest przypadek – oceniał w „Polityce” niedługo po personalnym gambicie Solorza Krzysztof Luft, były szef KRRiT, jeden z najlepszych znawców rynku medialnego.

Wielu obserwatorów nie uznało za przypadek i tego, że prawnik rekomendowany przez szefa KNF Czarneckiemu został zatrudniony w Plus Banku należącym do Zygmunta Solorza. A jak ujawniliśmy, Komisja Nadzoru Finansowego miała zostawić banki Czarneckiego w spokoju w zamian za zatrudnienie właśnie Grzegorza Kowalczyka (i 1 proc. od kapitalizacji banków za trzy lata). Jesienią 2018 r. Tomasz Lis – w swoim czasie też związany z Polsatem – zaczął: „6 kwietnia – Dorota Gawryluk szefową działu informacji w Polsce. 21 maja – Bogdan Rymanowski odchodzi z TVN do Polsatu. 27 maja – Cyfrowy Polsat kupuje Netię. Lipiec – »rekomendowany« przez KNF Grzegorz Kowalczyk zostaje członkiem Rady Nadzorczej Plus Banku. Tia...”.

Na taryfie ulgową rządzący mogli liczyć prawie do samego końca. Kampania wyborcza przed zeszłorocznymi wyborami październikowymi była na finiszu, gdy Donald Tusk kąśliwie mówił w studiu Polsatu Bogdanowi Rymanowskiemu: „Panie redaktorze, ja wiem, że afera wizowa wydaje się wam tak żenująca, że nie chcecie swoich widzów nią epatować nadmiernie”. Ta afera była fundamentalna z punktu widzenia Kaczyńskiego, bo nie tylko pokazywała pazerność urzędników, w tym wysoko postawionych, rządu PiS, nie tylko obnażała beztroskę lub brak obiegu informacji w służbach, ale też podkopywała kluczową – bo sprawdzoną przy kilku wcześniejszych wyborach – propagandę PiS bazującą na podsycaniu lęku obywateli przed migrantami i ludźmi z innych kultur. Gdy wyszła na jaw, na Nowogrodzkiej przeczuwała – co rychło zaczę-

ło znajdować potwierdzenie w badaniach – że w przeciwieństwie do wielu innych afer ta może odebrać PiS władzę. I rzeczywiście, przyczyniła się do potężnego spadku notowań obozu władzy tuż przed 15 października. Z racji jej kalibru, wagi, ale też atrakcyjności, zajmowały się nią wszystkie liczące się media. Czy raczej – prawie wszystkie. Ówczesny przywódca demokratycznej opozycji pił w studiu Polsatu do tego, że telewizja Solorza poświęcała jej mało czasu.

Stacja wykonywała też gesty w stronę samego lidera obozu rządzącego. 10 listopada 2018 r., w miesięcznicę smoleńską, Polsat News nadawał program specjalny w związku z odsłonięciem pomnika prezydenta Lecha Kaczyńskiego. – Widzowie mogli mieć wrażenie przesady – mówi dziennikarz Polsat News. Przez cały dzień w lewym dolnym rogu wyświetlany był ozdobnik „Lech Kaczyński 1949–2010”.

Dowodem sympatii dla PiS i ukłonem wobec prezesa partii może być też „cenzura kabaretowa”. W zeszłym roku, przed wyborami parlamentarnymi, Polsat wyciął ze swoich kanałów bardzo popularny kabaret Neo-Nówka i ich występ podczas Festiwalu Kabaretu w Koszalinie, najpewniej za skecz o spółdzielni mieszkaniowej, z wyrażeniem aluzyjnym gagiem „Ludzie, co wy robicie? Klękacie przed prezesem”. Potem pod cenzorski nóż poszło kilka politycznych skeczów z odcinka „Letniej Kliniki Skeczów Męczących” Kabaretu Skeczów Męczących. A z występu na żywo, pokazanego 8 października, dosłownie kilka dni przed wyborami, usunięto skecz krytyczny wobec rządu PiS. – Zabrakło dwóch naszych skeczów. Jeden dotyczył premiera Morawieckiego, który wymyślił sobie maszynkę na kółkach do drukowania pieniędzy. Drugi opowiadał o Jacku Sasinie – mówił Wirtualnym Mediom Karol Gołonka z KSM. O co chodziło, mimochodem i ogłędnie przyznał sam Polsat. Rzecznik grupy Tomasz Matwiejczuk wyjaśniał: – Nasza decyzja jest związana z tym, że nie chcemy, żeby nasze programy były wykorzystywane przez jakikolwiek podmiot sporu politycznego w toczącej się obecnie kampanii wyborczej. Nasze programy były, a nie powinny być wykorzystywane w trwającej kampanii.

A Kaczyński okazywał przychyłność, pojawiając się w mediach Solorza, choć nie chadzał do prywatnych telewizji, nie licząc oczywiście „etosowych” niszowych kanałów w rodzaju Republiki (dziś znakomicie się rozwijającej, ale wtedy biedującej). To w rozmowie z portalem Interia potwierdził polityczną bombę – że osobiście stał za nagłą dymisją ministra Piotra Naimskiego, pełnomocnika rządu ds. strategicznej infrastruktury energetycznej, wcześniej przez lata szarej eminencji prawicy w dziedzinie energetyki i bezpieczeństwa. Poszło o likwidację Lotosu przez Orlen, przeforsowaną przez Daniela Obajtka.

Jeszcze anegdota z początków urzędowania Gawryluk. Gościem stacji miał być abp Sławoj Leszek Głódź, jeden z ulubionych biskupów prawicy, od lat głoszący tradycyjalistyczną, bogoojczyźnianą agendę. Gdy przyjechał do gdańskiego studia, bardzo się zdziwił. Myślał, że będzie występował w telewizji publicznej, a nie w Polsce, bo do występu namawiał go prezes TVP Jacek Kurski. Dziennikarze powtarzają sobie tę historyjkę jako może najdobitniejszy dowód na „bliskie związki” Gawryluk z pisowskimi elitami.

Zygmunt Solorz-Żak zbudował potężny konglomerat firm z bardzo wielu branż. „Forbes” szacuje jego majątek na 7,72 mld zł. Ale w tym roku ta fortuna skurczyła się o 26,5 proc. i miliarder spadł na ósme miejsce w rankingu 100 najbogatszych Polaków. Po ostatnim zamieszaniu w rodzinie, czyli wojnie na listy, gazety donosiły o spadku kursu Cyfrowego Polsatu, cyfrowego segmentu imperium, o 7 proc. Cyfrowy Polsat to telewizja Polsat, Polkomtel – czyli sie-

ci komórkowe Plus i „młodzieżowy” Plush – płatna telewizja cyfrowa, telekomunikacyjny operator i dostawa internetu Netia, portal Interia oraz PAK Polska Czysta Energia, firma inwestująca na przyszłościowym, rosnącym za sprawą unijnej „zielonej” strategii rynku OZE – odnawialnych źródeł energii. Solorz ma także udziały w Elektrimie, a tym samym w Zespole Elektrowni Pątnów Adamów Konin. Do tego trzeba dorzucić udziały Solorza w Porcie Praskim – przedsięwzięciu deweloperskim planującym olbrzymie osiedle w jednej z najlepszych lokalizacji w Warszawie, nad dawnym starorzeczem Wisły, nieopodal Stadionu Narodowego i Centrum Nauki Kopernik – oraz w Asseco Poland, czołowej firmie informatycznej naszej części Europy.

Struktura biznesów z punktu widzenia rodzinnego sporu o sukcesję jest bardzo ważna, bo obie strony postrzegają ją jako kartę przetargową w relacjach z władzą państwową, jednocześnie zaś interesy Solorza – a więc i jego sukcesorów – zależą w dużej mierze od decyzji państwa i administracji rządowej.

Na szczycie imperium mamy dziś dwie frakcje. Jako przywiązana do PiS postrzegani są, prócz Gawryluk, Justyna Kulka oraz sam Solorz. Natomiast dzieci miliarda i ich doradcy są w obozie anty-PiS. I uważają, że trzeba dokonać strategicznej zmiany kursu, o wiele bardziej spektakularnej, niż ta z grudnia zeszłego roku, dokonana tuż przed powołaniem rządu zwycięskiego Tuska. Pozbawienie Gawryluk stanowiska nie ma przecież żadnego znaczenia, bo ona i tak, jako jedna z najbliższych współpracowniczek miliarda, ma olbrzymi wpływ na bieg spraw w koncernie. Frakcja anty-PiS liczy na rząd – obstawia, że gdy popłynie mocny sygnał, że to dzieci mają dobre relacje z władzą, nie pozostanie to bez wpływu na stan interesów Cyfrowego Polsatu oraz innych spółek, a przez to na własnościowe decyzje. I ma argumenty, które powinny rząd do wysłania takiego sygnału zachęcić.

Przecież rządzący wiedzą – taki tok rozumowania można podejrzewać – że Cyfrowy Polsat to bardzo ważny punkt na mapie gospodarczej i politycznej Polski. Dla polityków dostęp do tak potężnej telewizji ogólnopolskiej jest bardzo ważny; Solorz ma w swoich zasobach sieć światłowodową (Netia); jest ważnym inwestorem w odnawialne źródła energii, na które stawia obecna ekipa. Sieć komórkowa i przepływ informacji – Plus oraz Interia – to również zestaw niezwykle ważny, także z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa, choćby w związku z wojną – tą w Ukrainie i tą hybrydową, prowadzoną przez Kreml przeciwko Unii Europejskiej i zachodnim demokracjom. Nie przypadkiem już na początku urzędowania gabinetu Tuska z szefami wszystkich telewizji spotkał się szef MSZ Radosław Sikorski.

Zwolennicy dzieci miliarda wskazują, że ekipa rządząca nie może pozostać bierna w sprawie rozgrywki w imperium Solorza, bo jak widać, ona nie jest wcale wewnętrzna – dla państwa ważne jest, kto i jak będzie tymi zasobami gospodarował.

A na stole leży jeszcze karta o dużej, bo wiążącej się z polityką zagraniczną, wadze, czyli atom. Czyli projekt budowy elektrowni atomowej we współpracy z Koreańczykami. ZE PAK Solorza i państwowa PGE stworzyły spółkę PGE PAK Energia Jądrowa. – Budowa elektrowni jądrowej w Koninie powin-

na wystartować około 2030 r. – powiedział niedawno na komisji sejmowej prezes PGE PAK Energia Jądrowa Tomasz Nowacki. Dodajmy – drugiej elektrowni, bo „oficjalną” już zaczęła budować w nadmorskim Choczewie, z użyciem technologii amerykańskiego Westinghouse, spółka skarbu państwa Polskie Elektrownie Jądrowe. Pierwszy „reaktor Solorza”, dla którego technologie dostarczy Korea Hydro & Nuclear Power (KHNP), ma ruszyć w 2035-2036 roku. Projekt powstał dzięki determinacji frakcji ministra aktywów państwowych Jacka Sasina, człowieka z najbliższego otoczenia Kaczyńskiego. 24 listopada, więc w samej końcówce rządów PiS, ministra klimatu i środowiska Anna Moskwa wydała na wniosek PGE PAK Energia Jądrowa tzw. decyzję zasadniczą dotyczącą budowy elektrowni. Wcześniej Sasin patronował rozmowom z Koreańczykami.

Czy nowy rząd będzie kontynuował tę politykę? Nie jest to jasne. PGE może się wycofać albo stwierdzić, że nie jest w stanie finansować przedsięwzięcia w tak znacznym stopniu. Ten flagowy concern energetyczny notuje po rządach PiS niższe zyski, bo ma w portfelu bardzo obciążające aktywa węglowe. Gdy pytamy polityków obozu rządzącego o przyszłość tej inwestycji, nie dają jasnej odpowiedzi. Ale słychać o takiej koncepcji: niech Solorz wyklada jak najwięcej pieniędzy, priorytetem rządu jest to, aby państwo nie dało się ograć biznesmenowi i aby niełożyło na inwestycję, z której zyski będzie czerpać głównie prywatne im-

Kalkulacje antypisowskich spadkobierców Solorza, że ekipa Tuska zaangażuje się w konflikt, nie mają mocnych podstaw. KO uważa, że rozmaite manewry właściciela Polsatu nie mają większego znaczenia

perium. W tych sprawach liczą się analizy zaufanych menedżerów, a na końcu decyzja samego Donalda Tuska. Dlatego jeszcze za rządów PiS Solorz wysyłał emisariuszy do przedstawicieli ówczesnej opozycji, aby przekonywali polityków KO, że niezależnie od tego, kto rządzi, projekt z Koreańczykami powinien być kontynuowany.

Energetyka jądrowa to sektor strategiczny i element polityki zagranicznej, bo dotyczy wyboru państw, z którymi będą nas łączyć poważne interesy. Polska, póki co, koncentruje się na „dużej” elektrowni atomowej z amerykańskim konsorcjum Westinghouse i Bechtel. Z drugiej strony inwestycje Solorza w branży energetycznej – czy to w OZE, czy w projekty jądrowe – są dla kraju korzystne. Cena energii będzie decydować o konkurencyjności naszej gospodarki, trzeba nadrobić liczone w dekadach zaległości w tej dziedzinie, a projekty z udziałem inwestorów prywatnych zazwyczaj są efektywniejsze – szybciej dochodzą do skutku – i racjonalne ekonomicznie.

Solorzowi marzyłoby się bezpośrednie spotkanie z premierem. Za poprzedniej wła-

dy to było możliwe – miliarder spotkał się z Morawieckim, choć nie w jego siedzibie, lecz w warszawskiej Świątyni Opatrzności Bożej. Kancelaria premiera najpierw zaprzeczała, a potem stwierdziła, że rozmowa dotyczyła obchodów stulecia niepodległości Polski. Tak się jednak składało, że w tym czasie należąca do Cyfrowego Polsatu spółka Sferia odebrała decyzję UKE o przyznaniu pasma 800 MHz na kolejne 15 lat. A na początku listopada firma złożyła wniosek o rozłożenie płatności 1,73 mld zł na raty.

Tusk takich zwyczajów nie kultuwyje i nie spotyka się z najbogatszymi Polakami. Do tego między nim a Solorzem chemii nie ma. Rozmawiali w latach 90. i obaj nie mają dobrych wspomnień.

A jeśli już jakieś negocjacje miałyby się toczyć, to premier do rozmów tego typu wysła swoich ludzi. Słynna jest już historia, jak za poprzednich rządów Platformy Obywatelskiej Tusk miał przyjąć laureata pokojowego Nobla, byłego wiceprezidenta USA Ala Gore’a, który przyjechał do Polski w 2008 r. na szczyt klimatyczny w Katowicach. Gdy Gore zmierzał do kancelarii premiera, otoczenie Tuska otrzymało sygnał, że towarzyszy mu miliarder Jan Kulczyk, człowiek stojący za licznymi wielkimi transakcjami prywatno-publicznymi III RP, z prywatyzacją Telekomunikacji Polskiej na czele. Miliarder był wówczas szefem międzynarodowej organizacji Green Cross, ekologicznego odpowiednika Czerwonego Krzyża. Gdy Gore wkroczył do siedziby rządu, ze zdumieniem skonstatował, że wita go nie premier polskiego rządu, lecz wicepremier Waldemar Pawlak. Wybił Kulczyka – bo tak to interpretowano – się nie udał.

Dodajmy też, że Solorz był w 2015 r. w stanie wojny z ówczesnym ministrem cyfryzacji Andrzejem Halickim. Trwała aukcja częstotliwości, którą organizował Urząd Komunikacji Elektronicznej. Niespodziewanie ceny za te częstotliwości poszybowały w górę tak, jakby niektórzy uczestnicy aukcji chcieli wysadzić ją w powietrze. Aukcja trwała już pół roku, a końca nie było widać. Suma zadeklarowanych przez operatorów kwot ponad dwukrotnie przekroczyła pierwotne założenia. „Rzeczpospolita” wskazywała, że przewlekająca się aukcja hamowała konkurencję na rynku (częstotliwości 800 MHz miała tylko Sferia należąca do Cyfrowego Polsatu). Halicki jednak się zawziął i widząc, ku czemu zmierza ta gra, w trakcie licytacji wydał kończące ją rozporządzenie. Innymi słowy, powiedział koncernom komunikacyjnym: „sprawdzam”, a następnie „teraz płacić”. Polkomtel złożył wniosek o unieważnienie aukcji. Toczyło się w prokuraturze mnóstwo śledztw w tej sprawie, przeciwko Halickiemu, a także przeciwko uczestnikom aukcji. Prokuratura badała czy była zmowa dwóch spośród sześciu spółek walczących o częstotliwości LTE i czy Halicki miał rację, zmieniając przepisy, aby zakończyć przedłużającą się aukcję.

Jeśli chodzi o znowę, to zawiadomienie złożył T-Mobile, który wskazał, że mogło dojść do porozumienia między spółką NetNet związaną z Hieronimem Rutą, biznesmenem i bliskim współpracownikiem Solorza, a Polkomtelem. Prokuratura badała, czy między Polkomtelem i NetNet istniały powiązania kapitałowe oraz porozumienie, którego celem było przeciąganie aukcji. Koncern Solorza temu zaprzeczał. Tomasz Matwiejczuk, rzecznik Cyfrowego Polsatu: – Polkomtel nie miał żadnej umowy z innym uczestnikiem aukcji, czy dotyczy to T-Mobile, NetNet, Orange czy Play. Podkreśla, że „Polkomtel formalnie wycofał się z aktywnego udziału w aukcji w kwietniu 2015 r., więc siłą rzeczy oczywiste jest, że nie biorąc w niej udziału, nie mógł jej przedłużyć”. – Co więcej, wycofując się, Polkomtel ogłosił, że robi to, aby umożliwić innym uczestnikom szybsze zakończenie postępowania. W styczniu 2016 r. okazało się, że NetNet wycofał wniosek o rezerwację wylicytowanych częstotliwości 800 MHz, za które miał zapłacić około 2 mld zł. Pojawiło się więc pytanie, po co w tym wysiłek startował. Prezesem NetNet był 36-letni Szymon Ruta,

syn Hieronima Ruty – który w lutym 2014 r. został jednym z dyrektorów łączących się struktur operacyjnych Cyfrowego Polsatu i Polkomtelu. W efekcie operacji Halickiego budżet w 2016 r. zarobił ponad 7 mld zł i zapewnił nowemu rządowi PiS połowę finansowania projektu 500+.

A w Polsce pojawiła się dyrektywa, aby Halickiego nie pokazywać na antenie, nawet w tle. Krążą legendy o mrówczej pracy montażystów i operatorów, którzy musieli eliminować polityka z kadru. Zasada ta obowiązuje cały czas – tyle że dziś Halicki należy do grona zaufanych współpracowników Tuska i jest jego prawą ręką w Parlamencie Europejskim, szefem delegacji KO oraz wiceszefem frakcji Europejskiej Partii Ludowej. Solorz nie za bardzo może więc liczyć na ciepłe uczucia ze strony Koalicji Obywatelskiej.

Jednak kalkulacje antypisowskich spadkobierców Solorza, że ekipa Tuska zaangażuje się w konflikt, nie mają mocnych podstaw. Bo ekipę Tuska sprawa najpewniej bawi. Już grudniowe zabiegi Solorza, Kulki i Gawryluk, by zmontować koalicję PiS-PSL, politycy zwycięskich ugrupowań traktowali prześmiewczo: „jak mały Jasio wyobraża sobie wielką politykę”. Równie lekceważąco podchodzą do ewentualnego startu Gawryluk w wyborach prezydenckich.

W zamyśle Solorza i dwóch jego doradczyń miała to być karta przetargowa, którą można grać na różne sposoby. Jarosław Kaczyński uważał start Gawryluk za zagrożenie dla kandydata PiS, więc Solorz wysyłał na Nowogrodzką sygnał: hej, możemy wam namieszać, ale nie musimy, co proponujecie? Z drugiej strony Gawryluk była nadzieją Morawieckiego, bo jej kapitał polityczny mógłby być fundamentem nowej formacji, powstałej po odejściu Kaczyńskiego, które wieszczono już wiele razy, ale w końcu nastąpi. Formacji opartej na PiS, ale wykluczającej z niej wrogów wewnętrznych premiera-bankiera, czyli przede wszystkim środowisko Zbigniewa Ziobry. Tylko że po wybuchu konfliktu w królestwie Solorza start Gawryluk jest raczej nieaktualny.

KO od początku przyglądała się tym zbiegom z niezmaconym spokojem. Uważa, że rozmaite manewry Solorza nie mają większego znaczenia. A w sprawie konfliktu między ojcem a dziećmi zamierza robić... nic, choć obserwując rozwój sytuacji. Przekonanie, że Polsat ma moc wpływu na wynik przyszłorocznych wyborów prezydenckich, jest uważane za mrzonkę. Dało się wygrać wybory parlamentarne mimo sprzyjania Polsatu PiS-owi i mimo prorządowej, szczującej na opozycję TVP, to i da się wygrać wybory prezydenckie. Takie myślenie dominuje w ekipie rządzącej.

To miliarder musi myśleć o tym, żeby mieć poprawne relacje z władzą. I nie chodzi tylko o to, że PGE może się wycofać z projektu jądrowego. Koncern Solorza jest bardzo zadłużony. W zeszłym roku na samą spłatę odsetek musiał wydać 1 mld zł. Dług: ponad 15 mld zł. W maju zeszłego roku Cyfrowy Polsat podpisał z konsorcjum polskich i zagranicznych instytucji finansowych umowy dotyczące dwóch kredytów rzędu 8 mld zł po to, by spłacać poprzednie zobowiązania. W konsorcjum są banki prywatne, ale także państwowe. Konkretnie: PKO BP, Pekao SA, Bank Gospodarstwa Krajowego, PZU Fundusz Inwestycyjny, Bank Ochrony Środowiska S.A., Alior Bank S.A., PZU, PZU Życie S.A. Długa lista podmiotów zależnych od państwa – i to one w większości biorą na siebie ciężar tych kredytów.

Zadłużenie to efekt zakupu Polkomtela w 2011 r. oraz inwestycji w zieloną energię. Oczywiście wszystkie te instytucje uczestniczą w konsorcjum na bazie profesjonalnych analiz i nikt nie zakłada, że jakiś państwowy bank nagle wyjmie wtyczkę z kontaktu. Zawsze jednak pozostaje to „ale...”. Czas spłaty największej części przypada na 2028 r. Kto wie, w jakiej kondycji będzie dzieło miliarda i czy nie będzie potrzebować bardziej przyjaznego traktowania przez państwowe instytucje? ●

wyborcza | magazyn wyborczej

WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;

ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielinski;
MAGAZYN KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiriński, Łukasz Grzymisławski, Igor Rakowski-Kłos
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Rafał Szczepankowski, Dominik Gajda (Ale Historia)
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11

DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwias
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.


WYBIERZMY NASZĄ EUROPE



SELEKCJA JEST DOBRA

To okropne słowo, ale wszyscy na niej skorzystają: Europejczycy, prześladowani w ojczyźnie uchodźcy, gastarbeiterzy. Stracą prawicowi populiści i przemytnicy ludzi

Z **PROF. RUUDEM KOOPMANSEM**
ROZMAWIA **MAŁGORZATA**
TOMCZAK

MAŁGORZATA TOMCZAK: W ostatnich tygodniach niemiecki rząd zapowiedział zaostrzenie polityki azylowej i zwiększenie liczby deportacji oraz przywrócił kontrole na wszystkich granicach. Czy jesteśmy właśnie świadkami wielkiego zwrotu w niemieckiej polityce imigracyjnej?

PROF. RUUD KOOPMANS: Dotychczasowe działania rządu to w 99 proc. czysta retoryka. Weźmy kwestię kontroli na granicach: wygląda to na radykalny ruch, ale co właściwie zostało wprowadzone? Bo na granicach, przez które faktycznie biegą szlaki nielegalnej migracji – czyli głównie z Austrią, ze Szwajcarią, z Polską i Czechami – kontrole przywrócono już dużo wcześniej [na granicy austriackiej w 2015 r., na polskiej, czeskiej i szwajcarskiej – od września 2023 r.]. Co więc rząd wprowadził teraz? Kontrole graniczne z Danią, Ho-

landią, Francją i Luksemburgiem. Czy migranci docierają do Niemiec z północy i zachodu? To jest całkowicie symboliczny ruch.

Mimo kontroli ludzie ubiegający się o azyl wciąż byli wpuszczani do Niemiec. Teraz pojawiają się pomysły zupełnego zamknięcia granicy i zawracania migrantów.

– Tego domagają się konserwatyści z CDU. Chcą, by migranci – przynajmniej ci, którzy już wcześniej zarejestrowali wniosek azylowy w innym państwie członkowskim – w ogóle nie mogli wjechać do Niemiec. To byłaby faktycznie duża zmiana, ale gdy niemieccy politycy pytali mnie, czy takie rozwiązanie jest możliwe, odpowiadałem, że tylko tymczasowo. Na pewno to nie może być długoterminowa strategia.

Żeby odmawiać wjazdu azylantom, Niemcy musiałyby uzyskać zgodę Unii Europejskiej, a taki wniosek uzasadnić wystąpieniem „sytuacji nadzwyczajnej”. W tym momencie mają ku temu dobre argumenty. W ciągu ostatnich dwóch i pół roku Niemcy przy-

jeli około dwóch milionów uchodźców i azylantów, wliczając w to osoby z Ukrainy. To ogromna liczba, większa niż w latach 2015-16. A jeśli spojrzymy na liczbę uchodźców przypadających na jednego mieszkańca, Niemcy co roku znacznie przekraczają średnią europejską.

Ale jeśli przywróć kontrole na dłużej, inne kraje zaczną robić samo. A to oznacza koniec strefy Schengen.

Przywódcy, m.in. Polski, Austrii i Grecji, już wyrazili sprzeciw wobec nowej polityki Niemiec, którą nazwali nieakceptowalną i naruszającą przepisy europejskie.

– W kwestii porozumień dublińskich regulujących obowiązki państw UE wobec azylantów musimy odróżnić dzisiejszą dżunglę przepisów od pierwotnej idei. A ta idea jest bardzo prosta: za procedurę azylową odpowiedzialny jest pierwszy unijny kraj, w którym migrant złożył wniosek. Gdybyśmy faktycznie się tego trzymali, to do Unii przybywałoby mniej ludzi. Bo wiedzieliby, że nie będą mogli dotrzeć do Niemiec, Szwecji czy Holandii,

a ich stacją końcową musi być Polska czy Bułgaria.

W tym sensie zawracanie na granicy azylantów, którzy złożyli wcześniej wniosek w Polsce, jest zgodne z założeniami porozumień dublińskich. Na granicy z Austrią to bardziej skomplikowane, bo te osoby przebywały wcześniej w innych krajach UE. A dodatkowo wszystko komplikuje inny zapis porozumień dublińskich, który nakazuje najpierw wpuszczenie migrantów do Niemiec, a potem zwrócenie się do władz polskich czy bułgarskich o przyjęcie ich z powrotem.

Ale system readmisji nie działa: ludzi, którzy powinni być odesłani, jest zbyt wielu, a państwa pierwszego wjazdu nie chcą ich przyjmować. I, rzecz jasna, odesłani nie chcą być też sami migranci, więc próbują tego na różne sposoby uniknąć. Niedawno wyszło na jaw, że niemiecki rząd finansował organizację pozarządową, która wydała broszurę dla uchodźców po angielsku z instrukcją, jak uniknąć deportacji: „Wyrzuć dokumenty tożsamości”; „Przebywaj poza domem w godzinach, w których mogą po ciebie przyjść” itp.

• **Policyjny patrol kontroluje imigranta w okolicy Forst we wschodnich Niemczech, niedaleko granicy z Polską (11 października 2023)**

FOT. JENS SCHLUETER
/ AFP / EAST NEWS

Jeśli przywrócenie kontroli granicznych jest pozornym działaniem, to czy wdrażane są jakieś faktyczne? Berlin od miesiący deklaruje usprawnienie deportacji, cięcia świadczeń socjalnych, zawieranie umów z krajami pochodzenia migrantów.

– Nie mam wielkich złudzeń co do działań obecnego rządu w kwestii migracji. Owszem, w umowach koalicyjnych zapowiadali wiele zmian. Jakie efekty widzimy po trzech latach? Kilka dni temu zawarto umowę migracyjną z Kenią, w przygotowaniu są z Uzbekistanem, Kolumbią i Kirgistanem. Tyle że żaden z tych krajów nie ma większego znaczenia dla niemieckich problemów z imigracją. Oprócz kilku istotnych umów, jak te zawarte kilka miesięcy temu z Irakiem i Gruzją, większość porozumień to działania kosmetyczne. Jak możemy mówić o poważnej zmianie, jeśli przez trzy lata rządów nie porozmawiano o migracji z Turcją?

UE, Włochy, Holandia i Szwecja prowadziły też negocjacje z Tunezją. Niemcy odmówiły w nich udziału – co więcej, aktywne się im sprzeciwiały.

Dlaczego?

– Opór jest głównie ze strony Zielonych, którzy są zainteresowani tylko „pozytywnymi” umowami migracyjnymi – zwiększającymi migrację zarobkową, ale bez zwiększania liczby deportacji. Popierają więc np. umowę z Kenią. W teorii wygląda ona zresztą na rozsądne porozumienie – Niemcy obiecali przyjmowanie migrantów zarobkowych z Kenii, a Kenia – swoich obywateli, którzy nie dostali w Niemczech azylu. Tyle że w Niemczech prawie nie ma Kenijczyków, którzy powinni być deportowani. Dla Zielonych taka umowa jest oczywiście bardzo korzystna, bo spełnia ich postulaty niejako za darmo.

Jakie działania pana zdaniem powinny być wdrożone?

– W perspektywie średnio- i długoterminowej jedynym rozwiązaniem, które zadziała, są umowy z krajami trzecimi. Potrzebujemy rozwiązania na zewnątrz granic Unii. Dopóki istnieje zachęta do nielegalnej migracji do Europy – czyli duże prawdopodobieństwo dotarcia do wybranego kraju i pozostania w nim – to pomniejsze rozwiązania nie przyniosą efektów. Cały system azylowy Unii wymaga gruntownej zmiany, bo dziś to zupełnie niefunkcjonalny i chaotyczny konstrukt.

W książce „Loteria azylowa” oskarża pan ten system, że jest nie tylko nieskuteczny, ale również niesprawiedliwy i okrutny – bo nie chroni najbardziej potrzebujących. Najsłabszych i prześladowanych.

– Postuluję powrót do fundamentów, na których po II wojnie światowej miał się opierać międzynarodowy system uchodźczy – czyli zapewnienia maksymalnej ochrony najbardziej potrzebującym, w pierwszym bezpiecznym dla nich kraju. Ten model zakłada wsparcie ze strony innych krajów: pomoc finansową za pośrednictwem UNHCR – Wysokiego Komisarza ONZ ds. Uchodźców – lub krajowych rządów i przyjmowanie kontyngentów uchodźców. To właśnie zrobiła Polska – a poza Europą Kanada – przyjmując bez ograniczeń uchodźców z Ukrainy i to powinien być obowiązek Unii wobec kraju dotkniętego wojną.

Pozostaje pytanie, co zrobić z ludźmi, którzy przybywają z daleka, podróżowali przez wiele bezpiecznych krajów i do wybranego przez siebie państwa docierają nielegalnie. Tu, niestety, musimy być przygotowani na fundamentalną zmianę: takie osoby nie powinny móc ubiegać się o azyl w Europie. Będzie to wymagało zawarcia umów z krajami spoza Europy.

Modelem jest porozumienie, które UE zawarła w 2016 roku z Turcją. Jeszcze lepszym przykładem jest Australia, która eksternalizowała procedury azylowe na wyspy na Pacyfiku. Udało jej się niemal całkowicie zniwelować nie tylko nielegalną migrację, ale także liczbę śmierci na oceanie.

System australijski jest przedstawiany jako bezduszny i okrutny – odcina ludzi od kontaktu z bliskimi, ze społecznościami, koszaruje w warunkach niemal obozowych, poza kontrolą społeczną czy medialną, co sprzyja choćby przemocy strażników.

– Ale jeśli spojrzymy na faktyczną liczbę uchodźców sensu stricto, z najbardziej potrzebujących grup – przyjmowanych przez Australię legalnymi ścieżkami, wspólnie z UNHCR – to radzi sobie lepiej niż Unia Europejska. A jednocześnie mniej więcej połowa osób docierających do Europy nielegalnie ostatecznie nie otrzymuje statusu uchodźców. Po prostu nie udaje nam się odesłać ich z powrotem.

Owszem, w Australii były patologie, ale obecnie robi wiele, by zapewniać ochronę najbardziej potrzebującym. Powtarzam: „najbardziej potrzebującym i prześladowanym”, bo to kluczowe również na poziomie kompromisu politycznego. Migracje są tak delikatną i zapalną kwestią światopoglądową, że żadna ze stron nie powinna oczekiwać całkowitego zwycięstwa jej opcji. Jeśli polityka ma wypracowywać kompromisy, być satysfakcjonująca zarówno dla prawej, jak i lewej strony, to rozwiązaniem nie może być tylko zatrzymanie nieregularnej migracji i powiedzenie, „OK, sprawa załatwiona”. To zadowoliłoby jedynie prawicę. Kluczem jest opracowanie systemu, który oprócz kontroli nielegalnej migracji zakładałby solidarność i pomoc najbardziej potrzebującym.

Model australijski w kontekście Europy zakładałby eksternalizację – czyli wprowadzenie – procedur azylowych do krajów trzecich. Wielka Brytania tego próbowała, ale przygotowywany przez dwa lata plan współpracy z Rwandą jest dziś martwy.

– Jest jeszcze kraj, który jako pierwszy wpadł na ten pomysł – Dania. Tam również projekt jest wstrzymany, ponieważ duńska koalicja rządowa założyła, że spróbuje zmobilizować do zawarcia umowy z Rwandą – a może i innymi krajami – więcej państw Unii. Pewne poparcie dla tego pomysłu jest również w Austrii. O eksterytorializacji procedur azylowych wspomina też umowa koalicyjna obecnego rządu Niemiec. Plan nie jest jednak wdrażany przez opór Zielonych i organizacji humanitarnych.

Ten opór jest dla mnie częściowo niezrozumiały – jest w nim wiele zwykłego konserwatyzmu, niechęci do zmian, kurczowego, motywowanego ideologicznie trzymania się obecnego systemu bez patrzenia na rzeczywiste konsekwencje. Choć w aspektach rozumem ich sceptycyzm. Obawiają się, że zrealizowana zostanie tylko jedna część umowy – nielegalna migracja zostanie ograniczona, partie konserwatywne opędą zadowolone, a na legalnych ścieżkach i humanitarnych kontyngentach nikomu już nie będzie zależało.

Ale nie podzielam tego sceptycyzmu – mamy przykład Australii, gdzie ten model zadziałał, więc dlaczego nie mielibyśmy wdrożyć go w Europie? Zawszeza że w Australii udało się nie tylko realnie poprawić sytuację uchodźców, ale też znacznie zmniejszyć polaryzację w kwestiach migracji. I obecny model wspierają zgodnie zarówno konserwatyści, jak i socjaldemokraci.

W dyskusji wokół umowy z Rwandą pojawiały się argumenty, że to państwo może i jest bezpieczne, nieźle zorganizowane, dobrze sobie radzi gospodarczo, ale nie jest demokracją, dysydenci siedzą w więzieniach, rząd ściga ich nawet za granicą – a wielu uchodźców politycznych z Rwandy znalazło azyl w Wielkiej Brytanii.

– To wszystko prawda. Ale rozwiązanie jest proste – jeśli Rwandyjczycy ubiegają się o azyl w Europie, nie powinniśmy odsyłać ich z powrotem do Rwandy. Tak samo jak nie powinniśmy odsyłać Turków do Turcji. Ale jeśli mówimy o ludziach z krajów trzecich, np. z Syrii lub Afganistanu, to nie ma znaczenia, czy Turcja lub Rwanda są de-



• Statek z imigrantami zatrzymany w małym rybackim porcie Arguineguin na południu hiszpańskiej wyspy Gran Canaria, 27 września 2024 r.

FOT. REUTERS / BORJA SUAREZ

W argumentacie „No ale przecież nie możemy wysłać tych ludzi do Afryki!”, słyszę ton wyższościowo-kolonialny. Jeśli celem jest ochrona ludzi przed wojną i prześladowaniami, to pokój i dobrobyt panują nie tylko w Europie

mokratyczne. Liczy się to, czy przestrzegają zasad określonych w konwencji genewskiej i europejskiej konwencji praw człowieka. A więc czy nie grozi im tam przemoc, głód, czy nie zostaną rzućeni na pastwę losu. To oczywiście musi być podstawą negocjacji z tymi krajami – aby zagwarantowały uchodźcom bezpieczeństwo, podstawy bytowe i nie odsyłały ich dalej, do państw, w których grozi im prześladowanie.

Proszę wybaczyć, jeśli to zabrzmia cynicznie, ale nie musimy czynić z Rwandy demokracji ani pozbywać się Erdogana. Na całym świecie jest około 100 milionów uchodźców. Nie wszyscy znajdują schronienie w zachodnich demokracjach. I wcale nie muszą. Bangladesz nie jest demokracją. Dochodzi w nim do prześladowań dysydentów. A jednak zapewnił schronienie ponad 800 tys. uchodźców Rohingya ginącym w pogromach organizowanych przez buddyjskich fanatyków w Birnie.

„No ale przecież nie możemy wysłać tych ludzi do Afryki!” – w tym pozornie etycznym argumentcie wybrzmiewa ukryty szowinizm. Wielu aktywistów i ludzi dobrej woli domaga się, aby nie traktować państw afrykańskich jako ubogich, upośledzonych krewnych, a jednocześnie ulega obrazowi Afryki jako kontynentu samych wojen, głodu i przemocy.

A dlaczego nie do Afryki albo do Turcji? Jeśli celem jest zapewnienie ludziom ochrony przed wojną czy politycznymi prześladowaniami, to wiele krajów poza Europą może to zapewnić. Polityka azylowa nie jest środkiem do poprawy ekonomicznej sytuacji milionów ludzi. Po prostu nie jest, choć wielu ludzi próbuje ją dziś tak interpretować. W prawie azylowym rozróżniamy „bezpieczne kraje pochodzenia” oraz „bezpieczne kraje trzecie”. Od 2016 roku uznajemy Turcję za bezpieczny kraj dla Syryjczyków. Ówczesne porozumienie Turcji z UE zapewniało Syryjczykom wiele gwarancji ich praw i statusu oraz znaczne poprawiło ich sytuację.

Inna rzecz, że w ostatnim czasie – i tu obrońcy praw człowieka słusznie podnoszą alarm – ani Turcja, ani Unia nie czują się specjalnie zobowiązane do przestrzegania tej umowy. Dlatego konieczna jest jej weryfikacja i odnowienie.

Pomysły eksternalizacji procedur azylowych i zawierania umów z krajami trzecimi są cały czas krytykowane. Trudno się dziwić – dają niepokojący obraz krajów pierwszego świata, które

arbitralnie decydują, że tylko niektórym należy się życie w europejskiej demokracji i dobrobycie. Inni muszą się zadowolić podstawową ochroną przed zagrożeniami życia, ale niczym więcej.

– W pełni bym się zgodził, gdyby chodziło tylko o scedowanie naszej odpowiedzialności na inne kraje. Ale przecież postuluję, by Europa nie unikała swoich obowiązków humanitarnych i zaczęła przyjmować dużą liczbę potrzebujących legalnymi ścieżkami. W ramach takiego modelu moglibyśmy przyjmować rocznie np. 50 tys. Syryjczyków przebywających w Turcji – czyli pół miliona w ciągu dziesięciu lat. To prawdopodobnie więcej niż jest Syryjczyków, którzy dostają się obecnie nielegalnymi szlakami do Europy.

Celem nie jest więc zmniejszenie liczby azylantów, ale przyjmowanie ich w sposób strategiczny i ustrukturyzowany. Rządy narodowe mogłyby wyznaczać wspólnie z UNHCR kryteria udzielania ochrony międzynarodowej. Pierwszeństwo dostałyby przesładowane mniejszości, osoby potrzebujące leczenia, inwalidzi wojenni, rodziny czy osoby starsze.

Selekcja, nawet zgodnie z kluczem „najbardziej potrzebujący”, również wydaje się jakoś niewłaściwa. Dlaczego to my, syty i bezpieczny Zachód, mamy wybierać, co komu się należy?

– W obecnym systemie również mamy selekcję. Nie według moralnych czy normatywnych kryteriów, ale według zasady przetrwania najsilniejszych. Tej selekcji dokonują za nas Morze Śródziemne, Sahara, rynek przemysłowy czy odległość geograficzna – a w takim układzie wielu najbardziej potrzebujących nie ma żadnych szans na dobrą przyszłość w Europie. Uchodźcy Rohingya w Bangladeszu są zbyt biedni, by skorzystać z siatki przemysłowej, więc po prostu do nas nie docierają.

A więc mamy wybór – albo, chociaż dla wrażliwego ucha to brzmi okropnie, selekcja merytoryczna i etyczna ustanowiona według uzasadnionych kryteriów – np. obejmując najsłabszych i najbardziej potrzebujących – albo ciąg dalszy tej „darwinistycznej”, opartej na sile fizycznej, indywidualnych zasobach i przebojowości oraz rynku przemysłowym.

W ostatnich miesiącach w polskiej debacie coraz częściej słychać argument: „Nie wpuszczamy migrantów na granicy,

a nasza gospodarka dramatycznie ich potrzebuje”. Pojawiają się postulaty, by połączyć humanitarne obowiązki z ekonomiczną koniecznością.

– Ten argument często podnosi również niemiecka lewica – czemu walczymy z nie-regularną migracją, skoro potrzebujemy imigrantów na rynku pracy? Sęk w tym, że oczywiście potrzebujemy wykwalifikowanej i do pewnego stopnia również niewykwalifikowanej siły roboczej, ale statystyki rynku pracy pokazują, że bardzo duży odsetek uchodźców nie znajduje żadnej pracy. Częściowo przez brak kwalifikacji, ale również z przyczyn kulturowych, jak w przypadku kobiet z silnie patriarchalnych kultur.

Kompozycja demograficzna migrantów, z jaką mamy do czynienia w przypadku nielegalnej migracji do Niemiec, nie wypełni luki na rynku pracy i nie rozwiąże problemów demograficznych starzejącej się Europy. Raczej tylko je pogorszy, bo niepracujący migranci stanowią dodatkowe obciążenie dla państwa opiekuńczego. Więc oczywiście potrzebujemy imigrantów ekonomicznych. Ale to jest argument za kontrolowaną imigracją, dopasowaną do potrzeb naszego rynku pracy i opartą na ścisłej selekcji. Tej selekcji nie mogą za nas dokonywać przemytnicy ani przypadek. Wpuszczanie każdego, kto pojawi się na naszych granicach, tylko dlatego, że „biznes potrzebuje imigrantów”, to przykład antypolityki i przepis na katastrofę.

Czy imigracja humanitarna – przyjmowanie uchodźców – może być powiązane z imigracją ekonomiczną, czy to powinny być dwa zupełnie różne strumienie migracyjne?

– Powinny być powiązane przede wszystkim przy zawieraniu umów migracyjnych z krajami trzecimi. Łącznikiem powinien być fakt, że w wielu krajach jest duże zainteresowanie legalną migracją zarobkową do Europy. Pieniądże przesyłane przez migrantów rodzinom to w wielu krajach jeden z najważniejszych czynników poprawy poziomu życia. Te transfery są też ważne dla rządów tych krajów, bo pobudzają konsumpcję i inwestycje. Więc i rządowi, i społeczeństwom tych krajów zależy na utrzymaniu migracji do Europy.

Niemcy zawarły wiele umów z krajami pochodzenia migrantów, które w praktyce są martwe. Te państwa nie przyjmują z powrotem swoich obywateli, bo nie mają w tym żadnego interesu. Umowa z Marokiem zawarta w latach 90. nie działa, bo Maroko nie widzi w niej dla siebie większych korzyści.

Dobre porozumienie to „migracja za migrację” – zaoferowanie krajom pochodzenia alternatywnych ścieżek migracji zarobkowej. To będzie korzystne nie tylko dla Europy, która dobierze sobie wykwalifikowanych pracowników, ale też dla krajów pochodzenia, bo osoby zatrudnione legalnie będą przysyłać więcej pieniędzy niż ktoś, kto utrzymuje się z zasiłku lub pracuje na czarno. A przy okazji to będzie również humanitarne i sprawiedliwe, bo taki legalny gastarbeiter będzie cieszył się pełnią praw, nie będzie skazany na szukanie zatrudnienia w półświatku czy wyzysk pracowniczy.

Są głosy, że na budowanie pozytywnego dyskursu o masowej migracji w Niemczech wpływ mają właśnie wielkie przedsiębiorstwa. Z niekoniecznie szlachetną intencją.

– Obserwuję to we własnym środowisku badawczym. Badania nad migracjami w Niemczech bardzo rozwinęły się w ostatnich latach w dużej mierze dzięki grantom z fundacji korporacyjnych. Największe firmy, np. Bertelsmann, Thyssen, Volkswagen czy Bosch, są bardzo aktywne na tym polu. Sponsoringują projekty społeczne i badania akademickie, ale zawsze te proimigracyjne, ukazujące sukcesy integracji, pod parasolem świętowania różnorodności.

Dla wielkiego biznesu imigracja jest zjawiskiem jednoznacznie korzystnym – potrzebują siły roboczej i korzystają na jej dużej podaży, która obniża cenę pracy. To, że

wielu imigrantów nie ma niezbędnych kwalifikacji, nie ma dla przedsiębiorców znaczenia, bo koszt świadczeń socjalnych ponosi państwo. Biznes może więc czerpać zysk z podaży siły roboczej i konkurencji wśród pracowników, nie ponosząc żadnych kosztów. Nawet imigracja azyłowa jest korzystna dla wielkich przedsiębiorstw – bo to one dostają kontrakty na budowę ośrodków dla migrantów i dostarczanie cateringu, a dzięki świadczeniom od państwa migranci stają się nowymi konsumentami.

Podobną, jednostronną, wyłącznie pozytywną narrację budują ekonomiści współpracujący ze związkami pracodawców. Często podkreślają, że „migracja po 2015 roku przyczyniła się do wzrostu gospodarczego”. To prawda, ale tylko jeśli pominiemy fakt, że migracja zwiększyła też populację. Jeśli wykonamy taki rachunek i przełożymy to na sytuację gospodarczą przeciętnego obywatela Niemiec, obraz jest już inny.

Ciekawe, jak postulaty wielkiego biznesu zbiegają się z argumentami lewicy i humanitarystów. Oczywiście motywacje są zupełnie inne, ale lewica często posługuje się argumentem „z rynku pracy”.

– To element szerszego zjawiska neoliberalizacji lewicy, która staje się coraz bardziej wolnorynkowa. To również jedna z przyczyn powstawania partii takich jak Sojusz Sahry Wagenknecht, które sprzeciwiają się migracji na gruncie klasycznych idei lewicowych. Nie jestem zwolennikiem tej partii, ale jej liderka zrozumiała, że – przynajmniej z tradycyjnego, klasowego punktu widzenia – dla przeciętnego niemieckiego pracownika imigracja nie jest tak korzystnym zjawiskiem.

W ostatnich miesiącach nastąpił ostry zwrot, nie tylko w niemieckiej polityce migracyjnej, ale też w mainstreamowym dyskursie o migracji. Politycy socjaldemokracji zaczęli mówić o kwestiach, które jeszcze niedawno były tabu, np. o wpływie imigracji na wzrost przestępczości.

– W ostatnich miesiącach faktycznie odbyła się dyskusja, ale raczej nad problemem niemożności deportacji migrantów, którzy popełnili przestępstwa. Jak w przypadku zabójstw z Mannheim i Solingen, gdzie migranci, którzy ich dokonali, już dawno powinni byli być deportowani.

Bo temat przestępczości wśród migrantów wciąż jest w Niemczech tabu – zwłaszcza wzrost przestępczości spowodowany migracją azyłową po 2015 roku. Rzecz w tym, że ten problem nie ogranicza się do przemocy i terroru motywowanego ideowo, religijnie, jak w przypadku zbrodni w Mannheim i Solingen. Wystarczy spojrzeć na „zwykłe” statystyki, zwłaszcza te dotyczące przestępstw z użyciem przemocy – morderstw, gwałtów, poważnych napaści fizycznych – żeby zauważyć bardzo dużą nadreprezentację osób, które przybyły do Niemiec, ubiegając się o azyl.

W publicznej debacie, w mediach głównego nurtu, od 2015 roku pojawiało się wiele analiz i argumentacji, że nie ma rzeczywistego związku między nieuregulowaną, masową migracją do Niemiec a przestępczością lub że związek ten jest bardzo wyolbrzymiony. Politycy socjaldemokracji zaczęli mówić o relacji nieopanowanej migracji i przestępczości dopiero kilka miesięcy temu. Co budzi podejrzenia, że jest to element wyborczej gry, próby – skądinąd słusznej – powstrzymania rosnącego poparcia dla AfD i jeszcze radykalniejszych ruchów.

– Statystyki policyjne opublikowane w kwietniu są naprawdę jednoznaczne. Pokazują, że cudzoziemcy – którzy stanowią około 12-13 proc. niemieckiego społeczeństwa – są odpowiedzialni za 35-40 proc. przestępstw z użyciem szczególnej przemocy. W grupie cudzoziemców popełniających szczególnie ciężkie przestępstwa jest znaczna nadreprezentacja właśnie migrantów, którzy przybyli do Niemiec nielegalnymi szlakami i złożyli tu wnioski o azyl.

Łączenie imigracji z przestępczością wciąż często przypisuje się strachowi przed obcymi, moralnej panice, niewiedzy. Pojawiają się analizy dowodzące, że „migracja tak naprawdę zmniejsza przestępczość” – tylko że na przykładzie innych typów migracji, jak np. migracja zarobkowa Latynosek do Hiszpanii czy fala uchodźczyń z Ukrainy do Polski. Popularna jest też argumentacja, że „to nie imigracja zwiększa przestępczość, tylko konkretne cechy tych osób – to młodzi mężczyźni, są samotni, popadają w biedę, nie mają perspektyw”.

– W grupach, które najczęściej popełniają brutalne przestępstwa, można wyróżnić konkretne cechy. I właśnie wtedy wielu badaczy społecznych zaczyna wykonywać zniuansowane fikołki argumentacyjne: „No właśnie to nie dlatego, że są imigrantami, tylko dlatego, że to młodzi mężczyźni, słabo wykształceni, z patriarchalnych kultur, mają problem z adaptacją”. To wszystko prawda – taki właśnie profil tej grupy prowadzi do wzrostu przestępczości. Tyle że 70 proc. ubiegających się w Niemczech o azyl to młodzi mężczyźni, często z tradycyjnych kultur. Przyjeżdżają tu sami, ich rodziny zostają w kraju pochodzenia czy, jak w przypadku Syryjczyków, w Turcji.

Rzecz jasna podróż całej rodziny byłaby zbyt trudna, niebezpieczna, zbyt kosztowna, a młody człowiek jedzie do Europy z nadzieją, że w końcu sprowadzi bliskich, albo chociaż z zamiarem wysyłania im pieniędzy. Ale gdy pojawiają się problemy, nierzadko daje znać o sobie podglebie kulturowe, nim zdążą zadziałać edukacja i mechanizmy integracyjne. Więc oczywiście to nie „imigracja” czy „imigranci” jako tacy zwiększają przestępczość. Tylko właśnie imigracja o takiej strukturze, z jaką mamy do czynienia w Niemczech, zwiększyła przestępczość w tym kraju.

W debacie często pojawia się argument, że wzrost przestępczości wynika ze złej polityki integracyjnej, która pogłębia nierówności społeczne, stygmatyzuje i izoluje migrantów.

– Tyle że w kontekście przestępstw seksualnych takie tłumaczenia daleko nas nie zaprowadzą. Musimy przyznać – i niemieckie badania kryminologiczne również to pokazują – że przestępstwa seksualne są silnie powiązane z faktem pochodzenia imigrantów z bardzo patriarchalnych kultur. Nie znają lub nie akceptują europejskich kodów kulturowych, ich kultury cechują się bardzo patriarchalnym podejściem do kobiet, tabu i ścisłą segregacją ze względu na płeć.

Narracje obwiniające kraje przyjmujące za wzrost przestępczości wśród migrantów to element szerszego dyskursu, który jest dość powszechny w Europie Zachodniej i Północnej, czyli postrzegania Zachodu jako źródła wszelkiego zła, a imigrantów jako „dobrych dzikich”. Na poziomie psychologii zbiorowej moglibyśmy przywoływać traumę winy za Holocaust, kolonializm i niewolnictwo. Lecz o ile krytyczny stosunek do własnej historii jest jak najbardziej pożądany, o tyle w pewnych obszarach może pójść to za daleko. Narracja politycznych, medialnych, a często i eksperckich elit o imigracji często sprowadza się do postrzegania Niemców jako jedynych winnych i odpowiedzialnych za fiasco polityki azyłowej. Idea, która powinna być dość podstawowa – że ubiegający się o azyl powinni przestrzegać zasad panujących w społeczeństwie, które ich przyjęło – wcale nie jest w dyskursie tak powszechna.

Natomiast w Polsce zupełnie odwrotnie. Narracja oscyluje od skrajnie ksenofobicznej do umiarkowanej antyimigranczej. Wątki o wartości, wielokulturowości czy dziejowej odpowiedzialności wybrzmiewają na tzw. młodej lewicy, w klasie kreatywnej, wśród wielkomiejskiej inteligencji, ale w politycznym dyskursie głównego nurtu próżno ich szukać. Kwestie, które w Niemczech są tabuizowane – tak jak przestępczość

wśród migrantów – w Polsce byłyby przez klasę polityczną rozdmuchane i użyte jako „polityczne złoto”, i to wcale nie przez skrajną prawicę.

– Myślę, że różnica w poglądach przeciętnego Niemca i Polaka jest znacznie mniejsza, niż mogłoby się wydawać. Jeśli porozmawiasz z takim zwyczajnym Niemcem – i nie mówię tu o zwolennikach AfD, tylko o jakimś nauczycielu, policjancie, urzędniku – to ich stosunek do imigracji będzie zbliżony do tego, jaki ma przeciętny Polak. Różnica jest głównie na poziomie mediów i klasy politycznej.

Zaprzeczanie, że imigracja spowodowała pewne problemy, lub obwinianie za nie polityki integracyjnej Niemiec, jest typowe dla dyskursu politycznych i opiniotwórczych elit. Tak było już podczas pamiętnego sylwestra w Kolonii, gdy media przez kilka dni zwlekały z podaniem jakiegokolwiek informacji o napaściach na kobiety. A potem jeszcze więcej czasu minęło, zanim podano, kim właściwie byli sprawcy.

I to jest jedna z przyczyn sukcesu populistów – bo w mediach i polityce głównego nurtu mówienie o przestępczości wśród imigrantów może być tabu, ale AfD czy inne radykalne ugrupowania nie muszą go przestrzegać. Przeciwnie, AfD prowadzi portale internetowe, w których publikuje przypadki brutalnych przestępstw popełnianych przez migrantów, opatrując każdy ironicznym dopiskiem: „Odosobniony przypadek” – bo mainstreamowe media zawsze opisują je jako „odosobnione przypadki”, na podstawie których „nie można generalizować”.

Spółczesność dostrzega problemy z imigracją i jeśli politycy i media o nich nie mówią, umniejszają je albo obwiniają za nie samych Niemców, to tworzą najlepsze paliwo dla skrajnej prawicy. Po prostu, jeśli przyzwolici ludzie będą unikać tych tematów, to chętnie podejmą je ci mniej przyzwoici. ●



FOT. DAVID AUSSERHOFFER

Ruud Koopmans

• ur. w 1961 r., badacz migracji, profesor socjologii na Uniwersytecie Humboldtów w Berlinie, dyrektor Wydziału Migracji, Integracji i Transnarodyzacji w Berlińskim Centrum Nauk Społecznych (WZB), autor książki „Loteria azyłowa”.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Małgorzata Tomczak

• socjolożka, kulturoznawczyni, dziennikarka freelance. Publikuje w „Wyborczej”, OKO.press, „Newsweeku” i „Balkan Insights”.



Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPEĘ wspófinansowany jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.

• Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany za odpowiedzialność za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

1 RP

eprasa.pl 4ca43d70de

– Jeśli skupimy się wyłącznie na tym, co nas złości, co odbiera nam coś dla nas istotnego, znajdziemy się w sytuacji, w której inni ludzie są tylko przeszkodami do pokonania – mówi słynny historyk.

Timothy Snyder o wolności w XXI wieku

NIE TRZEBA SIĘ ZGADZAĆ W CZYMKOLWIEK

FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCIA WYBORCZA.PL

Hannes Stein

WELT

Timothy Snyder, urodzony w Ohio w 1969 r., należy do najważniejszych amerykańskich historyków naszych czasów. Wykłada na Uniwersytecie Yale, a jego książki „Skrwawione ziemie” i „Czarna Ziemia” są uważane za kluczowe opracowania dotyczące stalinizmu i Holocaustu. Broszura Snydera „O tyranii”, która została opublikowana w 2017 r., szybko stała się bestsellerem w Stanach Zjednoczonych: historyk ostrzegał w niej przed autorytarnym zwrotem władzy w USA. Snyder prawidłowo przewidział m.in., że Donald Trump podejmie próbę zamachu stanu przed formalnym końcem swojej kadencji. Najnowsza książka Snydera nosi tytuł „O wolności”. To próba zdefiniowania, czym dokładnie jest przeciwieństwo tyranii.

Pana nowa książka zaczyna się od wspomnień z dzieciństwa, następnie przechodzi w refleksje niemal metafizyczne, po których następuje regularna analiza historyka- jaki to właściwie gatunek? Autobiografia, traktat filozoficzny?

Timothy Snyder: Jedną z głównych idei tej książki jest to, że to nieprzewidywalność, a nie racjonalność, jest główną cechą wolności. I ta idea znajduje odzwierciedlenie w formie książki. To wszystko zarazem: autobiografia, esej filozoficzny, książka historyczna. W XVIII wieku takie podejście do komponowania książek z wielu gatunków naraz było bardzo popularne. Nie jest to więc nic nowego.

Jedną z głównych kwestii, które pan porusza jest podział na wolność negatywną – czyli wolność od, i pozytywną – wolność do...

– Żeby było jasne: nie ma żadnych negatywnych wolności. Jest tylko po prostu wolność, a ta jest czymś jednoznacznie pozytywnym. Jeśli jednak musimy rozróżniać pomiędzy wol-

nościami pozytywnymi i negatywnymi, to ze względu na mojego nauczyciela Isaiaha Berlina; jego klasyfikacja dwóch rodzajów wolności była bardzo pomocna dla wielu ludzi z politycznego punktu widzenia. Ale intelektualnie nie da się tego utrzymać. Negatywna wolność oznacza wolność od czegoś – wolność od tyranii lub od arbitralnego uwięzienia. Problem polega na tym, że wolność negatywna staje się ważna tylko ze względu na współistniejącą wolność do robienia czegoś. Mur więzienny sam w sobie nie jest zły. Jest zły tylko dlatego, że stoi na nim człowiek, strażnik. Nawet jeśli usuniemy wszelkie mury, musimy zadać sobie pytanie: czym jest wolność? Co trzeba zrobić, by naprawdę uwolnić ludzi?

No tak, ale jak zauważył filozof André Glucksmann, nigdy nie zgodzimy się co do pozytywnych celów. Nigdy nie zgodzimy się co do tego, których bogów powinniśmy czcić lub choćby jak powinniśmy to robić. Możemy jedynie zgodzić się co do tego, czego nie chcemy. Na przykład obozów koncentracyjnych.

– Ależ nie zgadzamy się nawet co do negatywnych rzeczy! Elon Musk uważa, że wolność negatywna oznacza, że to on kontroluje wszystko. Nie zgadzam się z tym. Głębsza odpowiedź jest taka, że nie chodzi o to, byśmy wszyscy zgadzali się w czymkolwiek. Chodzi o nieprzewidywalność. Nie chcę, byśmy czcili tego samego boga. Nie chcę, żeby każdy myślał tak, jak ja. Każdy z nas powinien mieć swój własny zestaw cnót.

Ale czy nie można przeformułować wszystkich negatywnych wolności tak, by wyglądały jak wolności pozytywne? Być może głupi przykład: w mojej okolicy każdej jesieni uruchamiane są spalinowe dmuchawy do liści. Nienawidzę tych urządzeń z całego serca. Chcę być wolny od hałasu dmuchaw do liści. Ale mógłbym to ująć inaczej: chcę móc słyszeć śpiew ptaków, bawiące się dzieci sąsiadów, a w końcu ciszę.

– Martwię się więc o pana. Rzeczy, których doświadczamy jako narzucone – nawet najważniejsze, które nas zabijają – zwykłe

Netanhaju kontra wszyscy

Jak trwale zatrzymać przemoc na Bliskim Wschodzie?

Wystarczyłoby spełnić kilka warunków – trudnych, ale nie niemożliwych.

Robert Stefanicki

Nielatwo sobie wyobrazić trwały pokój w sytuacji, gdy trwająca od roku wojna nie tylko nie wygasa, ale się rozprzestrzenia. Jednak historia daje przykłady szczęśliwego zakończenia nawet bardzo krwawych i długich konfliktów, jak w Irlandii Płn. czy Rwandzie. Nie da się prosto skopiować tych rozwiązań, bo każdy przypadek jest inny – a Ziemia Święta to unikat nad unikatami – ale pozwalają one uwierzyć, że żadne narody nie są skazane na wymordowanie się albo życie w wiecznym strachu.

W Palestynie, inaczej niż w Ukrainie, nie da się bezdyskusyjnie rozróżnić katów od ofiar. Każda ze stron uważa przeciwnika za ludobójcę, a siebie za męczennika – i obie perspektywy da się uzasadnić. Aby wyobrazić sobie pokój oraz drogę do niego, trzeba odebrać się od przeszłości, nawet od

teraźniejszości, i spojrzeć w przyszłość. Klócenie się o to, kto jest bardziej winny i kto ma większą rację jest tak jalone, jak dyskusja o pierwszeństwie jaja i kury. Zaczniemy od Gazy, dojdziemy do Sulejmana Wspaniałego.

Odejście Netanhaju

Zatem jakie warunki musiałyby zostać spełnione, żebyśmy dożyli trwałego pokoju na Bliskim Wschodzie? Pierwszym jest upadek rządu Benjamina Netanhaju.

Po roku wojny jest jasne, że z nim pokój nie jest możliwy. Netanhaju sabotuje każdą możliwość zawieszenia broni. Otwiera kolejne fronty bez planu, jak je zamknąć. Zmasowany atak na Liban przypomina podjętą przez administrację Richarda Nixona próbę zwycięskiego zakończenia wojny w Wietnamie poprzez przystąpienie do bombardowań Kambodży.

Izrael Netanhaju nie ma strategii, jest doskonały tylko w taktyce. Chyba że strategią jest plan sprowokowania Iranu do odwetu, tak żeby wciągnąć USA w naprawę wielką wojnę. To może mu się

udać, jeśli prezydentem zostanie Donald Trump.

Oczywiście nie ma gwarancji, że następca Netanhaju będzie rozsądniejszy, ale jest to prawdopodobne. Na nowego Szimona Peresa nie ma co liczyć, izraelska lewica znalazła się na marginesie, ale przesunięcie z prawa w stronę centrum jest realne. Już samo odejście człowieka symbolizującego wojenną mentalność będzie szansą na nowe otwarcie.

Dogadanie się z gołębiami w Teheranie

Drugim warunkiem pokoju powinno być porozumienie Zachodu z Iranem. Netanhaju i Trump zdołali zaszczerpić swoją narrację na temat tego kraju jako ogólnie obowiązującą. Panuje przekonanie, że Iran jest zaangażowany w zniszczenie Izraela. W rzeczywistości irańscy przywódcy nie mają planu ani zniszczenia Izraela, ani eksportowania rewolucji islamskiej, ani zdominowania Bliskiego Wschodu przez szytów.

Z pewnością istnieje antysemityzm wśród establishmentu irańskiego – jak i na skrajach zachod-

niej lewicy i prawicy – i są tam ludzie, którzy marzą o wymazaniu państwa żydowskiego z mapy. Ale jako państwo Iran nie dąży do tego celu. Pomimo umieszczonego na Placu Palestyny w Teheranie zegara, który odlicza dni pozostałe do przewidywanego zniszczenia Izraela w 2040 r. Irańczycy wyobrażają sobie to albo jako odpowiedź na ewentualny atak Izraela na Iran, albo pokładają wiarę w moc historii: reżim syjonistyczny nieuchronnie sam się załamie, bo Izrael nie ma prawa istnieć, skoro jest zbudowany na imperializmie i grabieży ziemi. To jakby lustrzane odbicie wiary amerykańskich ewangelików, że osadnictwo na okupowanym Zachodnim Brzegu jest wypełnieniem Bożego planu powrotu Żydów do Izraela, a wojna go tylko przybliży.

Drugi mit to przekonanie o bliskich związkach Iranu z Hamasem. Dziś już wiadomo, że Hamas nie uprzedził Teheranu o swoim ataku na Izrael z 7 października 2023. Ta grupa od dekady nie otrzymuje irańskich funduszy – ostatnio dostawała je od państw

arabskich, w tym sojuszników USA, za zgodą Izraela. W Syrii Hamas wspierał rebeliantów próbujących obalić Baszara al Asada, walczących tam z Hezbollahem, bliskim sojusznikiem Iranu.

W 2015 r. potęgi światowe zawarły z Iranem porozumienie o zamrożeniu jego programu nuklearnego w zamian za zniesienie sankcji. Pojawiła się szansa wyjęcie Teheranu z „osi zła”. Mimo że Irańczycy przestrzegali warunków, Trump, pod wpływem Netanhaju, wyrzucił umowę do kosza. Biden obiecywał jej wskrzeszenie, ale nic z tego nie wyszło. Lobbyści widocznie zdołali przekonać właściwych ludzi w Kongresie, że właściwym postępowaniem wobec Iranu jest „maksymalny nacisk”. Efekty sześcioletniego maksymalnego nacisku widzimy: w Iranie nastąpił wzrost nędzy i nastrojów antyzachodnich, opowiadający się za dialogiem reformatory osłabli.

Bliski Wschód płonie w dużej mierze wskutek ponownego zantagonizowania Iranu. Jednocześnie Teheran wskazuje, że jest gotowy na powrót do porozumie-

uważamy za istotne tylko dlatego, że dotyczą nas samych, nie innych. Usunięcie dmuchaw może być pożądane, ale co z wszystkimi innymi rzeczami, które możemy zrobić, a które okazałyby się dla pana dobre i godne wsparcia? Co możemy zrobić, aby nasze życie było pełne śpiewu ptaków i bawiących się dzieci? Jeśli skupimy się wyłącznie na tym, co nas złości, co odbiera nam coś dla nas istotnego, znajdziemy się w sytuacji, w której inni ludzie są tylko przeszkodami do pokonania.

Posługuje się pan w napisanej po angielsku książce niemieckimi słowami, np. aby dokonać rozróżnienia pomiędzy słowami „Leib” i „Körper”, choć oba oznaczają ciało. Zakładam, że większość Niemców powiedziałaby po prostu, że Leib to staromodne słowo, a Körper nowoczesne. Ale nie do tego pan zmierzał, prawda?

– Jest to rozróżnienie, z którego człowiek zdaje sobie sprawę, jeśli spędza dużo czasu ze swoimi dziećmi w Austrii, gdzie słowo „Leib” jest nadal często stosowane w życiu codziennym. Ja używam go ze względu na filozofkę Edytę Stein, która twierdziła, że możemy zrozumieć siebie tylko dlatego, że istnieją inni ludzie – a możemy ich wysłuchać tylko dzięki naszej empatii. Przy czym przez empatię Edyta Stein nie rozumie bycia miłym dla innych ludzi, tylko znacznie więcej: uświadomienie sobie, że inni znajdują się w takiej samej sytuacji jak my. Tylko wtedy, gdy to rozumiemy, traktujemy poważnie innych i zyskujemy świadomość o sobie, której nie moglibyśmy mieć jako odizolowane od bliźnich istoty.

Co to ma wspólnego z wolnością?

– Oznacza to, że wolność nie zaczyna się od abstrakcyjnej idei jednostki odciętej od swojego ciała. Ale od uświadomienia sobie, że mamy „ciało” i jesteśmy połączeni z innymi, którzy również mają „ciała”.

Z tym że ciałem w fizyce może być wszystko: kula bilardowa czy kamień. Jeśli rozumiemy ludzkie ciało jako „ciało fizyczne”, to tracimy z oczu specjalną aurę, która je otacza. Ludzkie ciało jest ciałem, ponieważ podlega prawom fizycznym, ale jest czymś więcej: ma zdolność rozpoznawania innych obiektów, które są do niego podobne. Kamień czy kula bilardowa tego nie potrafią. Stąd moje rozróżnienie, w którym pomaga niemiecki.

Podczas pandemii w Niemczech i Austrii odbyły się duże demonstracje przeciwników godziny policyjnej i obowiązkowych masek, a ostatecznie także przeciwko szczepieniom. Ci ludzie demonstrowali w imię wolności. W tym czasie Stany Zjednoczone były rządzone przez Donalda Trumpa, który krytykując gubernatora stanu Michigan, Demokratę, napisał na Twitterze: „WOLNOŚĆ DLA MICHIGAN!”.

– Po owocach ich poznać. Dokąd to wszystko doprowadziło? W przypadku Michigan doprowadziło to do przemocy politycznej: próby porwania i zamordowania demokratycznie wybranej gubernator stanu.

Intelektualny błąd polega na uznaniu, że inni ludzie są dla nas barierami. Jeśli wolność jest rozumiana jako wolność negatywna, to zawsze chodzi tylko o mnie – o moje uczucia i moją zdolność do ich nieskrępowanego przeżywania w każdej chwili. Tylko że jeśli wszyscy będziemy tak myśleć, nikt z nas nie będzie wolny.

Ale jeśli powiem: wolność polega na dokonywaniu wyboru między różnymi moralnościami i zobowiązaniami, a inni ludzie także podejmują wybory i muszę traktować ich poważnie, ponieważ są tacy jak ja w fundamentalnym sensie – wtedy nie mogę ich zabić w imię wolności. Wtedy muszę ich wysłuchać w imię wolności. Ma to również wpływ na decyzję, czy założyć maskę na twarz, gdy wyjdę na zewnątrz podczas pandemii, choć mi się to nie podoba.

Pana zdaniem to jest podstawowa wada libertariańskiego światopoglądu, tak popularnego na amerykańskiej prawicy? Postrzeganie innych ludzi jedynie jako ograniczenia w osiągnięciu indywidualnego szczęścia?

– Na bardzo abstrakcyjnym poziomie zgadzam się z libertarianami: myślę, że wolność jest wartością ponad wszystkimi wartościami. Oczywiście na świecie jest wiele dobrych rzeczy: uczciwość, wdzięk, piękno, lojalność – ale cały czas musimy między nimi wybierać. Wolność natomiast oznacza, że potrafimy dostrzegać alternatywy, a następnie dokonywać wyboru.

Dziecinny błąd libertarianiskiego myślenia jest twierdzenie, że jedynym problemem jest opresyjny rząd. A przecież można obalić rząd, a zarazem porzucić dziecko. I to dziecko nie będzie w swo-

jej zależności od traumy porzucenia wolne. Rodzimy się bezradni i potrzebujemy sieci społecznej. Współpraca społeczna wymaga istnienia polityki. Libertarianie są pod jednym względem podobni do komunistów: wierzą, że jeśli tylko stworzymy odpowiedni system gospodarczy, wszyscy będą wolni. To głupie gadanie, wolność pochodzi od ludzi, a nie od systemu gospodarczego. Nawet nie z „wolnego rynku”, który libertarianie gloryfikują niemal jak boską istotę.

Mówi pan jak filozof, ale dlaczego uważa pan, że libertariańska teoria nie sprawdza się w praktyce?

– Ponieważ władza jako taka nie pozwala na próżnię. Jeśli zmniejszyśmy rozmiar omnipotencji państwa – jeśli nawet przestanie ono funkcjonować – to władza wcale nie znika. Jest tylko przejmowana przez oligarchów.

„O wolności” kończy pan apelem na rzecz państwa opiekuńczego. Jednak w przeciwieństwie do socjaldemokratów wywodzi pan państwo opiekuńcze nie z postulatu równości czy braterstwa, ale z postulatu wolności. Dlaczego?

– Wierzę, że wolność to miejsce, w którym każdy ma rację. Konserwatyści mają rację, że cnota istnieje we wszechświecie. Liberalowie mają rację, że istnieje wiele różnych cnót, a wybór między nimi wymaga pracy. A socjaldemokraci mają rację, gdy mówią, że potrzebujemy instytucji, by uczynić świat bardziej przewidywalnym i sprawiedliwym, byśmy mogli być wolnymi ludźmi. Dlatego właśnie wolność jest głównym uzasadnieniem państwa opiekuńczego.

Jako młody człowiek poznałem pisma anarchistycznego myśliciela Kropotkina i byłem zafascynowany. Potem czytałem Bakunina – duże wrażenie. Jako dorosły czytałem badania anarchistycznego historyka ekonomii Davida Graebera. Teraz jestem zbyt stary i zmęczony, by machać czarną flagą anarchii, czuję jednak wielką sympatię do tego nurtu myśli lewicowej, który w przeciwieństwie do myśli socjaldemokratycznej i komunistycznej jest antypaństwowy. I wierzę, że podstawowe spostrzeżenie anarchistów jest słuszne: każda forma sprawowania władzy jest naganna. Ludzie nie powinni mieć władzy nad ludźmi. Co pan na to?

– Krytyka Marksa sformułowana przez Bakunina była słuszna: jeśli ludzie wyobrażają sobie, że wiedzą, w jakim kierunku rozwija się historia – wtedy ci spośród nich, którzy wierzą w ten schemat, stają się nową elitą i rządzą wszystkimi innymi. Ta krytyka jest skierowana nie tylko przeciwko ludziom, którzy wierzą w gospodarkę planową, ale przeciwko wszystkim tym, którzy są przekonani, że wiedzą, w jakim kierunku potoczy się historia. Napisałem swoją książkę przeciwko wszystkim tym, którzy twierdzą, że istnieje jeden sposób, w jaki wszystkie elementy ludzkich działań do siebie pasują – czy to sposób komunistyczny, czy kapitalistyczny. Tymczasem nie wiemy, w jakim kierunku potoczy się historia. Ale co robimy z tą świadomością w praktyce? Musi istnieć społeczeństwo, w którym jest miejsce na samoorganizację. W mojej książce nie cytuję Kropotkina ani Bakunina – ale cytuję Václava Havla, czeskiego dysydenta, działacza na rzecz praw obywatelskich i późniejszego prezydenta. A ściślej jego ideę społeczeństwa obywatelskiego.

Ładny termin, ale co on właściwie oznacza?

– Przez „społeczeństwo obywatelskie” rozumiem horyzontalną organizację ludzi, którzy gromadzą się wokół rzeczy, które kochają. To nie państwo mówi im, co mają robić, ale oni sami organizują się z własnej inicjatywy, ponieważ to czy tamto jest dla nich ważne, książki, lasy czy opery. Havel, na przykład, był bardzo zainteresowany jakością piwa w jego kraju.

Jesteśmy wolni, kiedy jesteśmy nieprzewidywalni w naszej samoorganizacji. Państwo opiekuńcze nie jest celem samym w sobie. Jego zadaniem jest minimalizowanie nieprzewidywalności w bardzo konkretnych obszarach życia: jeśli jest zbyt wiele chorób, zbyt wiele nierówności, zbyt wiele zmian klimatycznych, zbyt wielu ludzi kontrolujących dyskurs publiczny, wówczas przyjazny świat, o którym marzyli Kropotkin i Bakunin, staje się niemożliwy. Jeśli odsuniesz państwo na bok w trzeciej dekadzie XXI wieku, w efekcie dostaniesz inne: imperium ludzi pokroju Elona Muska. ●



LENA
LEADING — EUROPEAN
NEWSPAPER — ALLIANCE

nia. Wznowił program nuklearny, ale nie zdecydował się zbudować bomby atomowej. Powściągliwie reaguje na ataki Izraela. Ponownie wybrano na prezydenta reformistę – w miejsce zmarłego w wypadku lotniczym jastrzębia – aby słał po jedynawcze sygnały do Zachodu.

Bufor w Libanie

Aktualny układ sił między Izraelem a Iranem jest kluczowy dla rozwoju sytuacji w regionie. W ciągu ostatniego roku przewaga przechylała się na stronę Teheranu. Izrael przyjął taktykę polegającą na eliminowaniu zagrożeń uderzeniami z powietrza. Zabija kolejnych wrogów razem z okolicznymi cywilami, w efekcie jest coraz bardziej odizolowany, coraz bardziej rozgoryczony niezrozumieniem ze strony sojuszników i coraz bardziej zamknięty w mentalności obłożonej twierdzy.

Irańczycy budują mosty ze światem arabskim, poza regionami szyickimi, które z powodzeniem starają się kontrolować. Izrael też tego próbował – w ramach tzw. porozumień Abrahamowych nawiązał relacje z kilkoma państwami arabskimi, licząc że uda się trwale usunąć Palestyńczyków z regionalnej agendy i uzyskać od sąsiadów de facto zgodę na okupację Gazy. Atak Hamasu zniweczył ten plan.

Porozumienie z Iranem mogłoby zażegnać zagrożenie ze strony Hezbollahu, ma który Iran ma duży wpływ. Teheran nie chce go utracić, ale też nie chce inwestować więcej zasobów w pełnomocnika, który wydaje się przegrywać wojnę z Izraelem. Chameinei ogranicza się do pustych pogroźek.

Drugą nogą powinno być porozumienie Izraela z Libanem, państwem podupadłym, ale wciąż istniejącym. Należy stworzyć bufor między terenami kontrolowanymi przez Hezbollah a północną granicą Izraela, z wojskami i gwarancjami międzynarodowymi, które uniemożliwią ataki rakietowe na północny Izrael, a także zapobiegną naruszaniu przez Izrael suwerenności Libanu. Iran mógłby w tym pomóc.

Nie wiadomo, czy po zabójstwie Hasana Nasrallaha będzie to jeszcze możliwe. Hezbollah nie jest tylko „organizacją terrorystyczną”, lecz potężnym ruchem polityczno-społecznym będącym częścią państwa libańskiego i szkodnikiem psującym to państwo od środka. Choćby nie wiem ile pagerów eksplodowało w kieszeniach jego funkcjonariuszy, to nie zniknie ani jego wojskowe, ani polityczne skrzydło.

Jak wskrzesić rozwiązanie dwupaństwowe

Nie znikną też Palestyńczycy, pomimo wysiłków Netanjahu. Wciąż nie ma pomysłu na to, co ma się stać ze Strefą Gazy po wojnie. Ale na ustach wszystkich (poza Izraelczykami) jest tzw. rozwiązanie dwupaństwowe. Wskazują na nie Joe Biden i Kamala Harris. W czerwcowej rezolucji o zawieszeniu broni Rada Bezpieczeństwa ONZ ponownie je wskazała jako drogę do pokoju. Podczas ostatniego szczytu ONZ powstał zarys międzynarodowego sojuszu, którego celem jest rozwiązanie konfliktu izraelsko-palestyńskiego w oparciu o utworzenie dwóch państw. Filarami porozumienia są na razie Arabia Saudyjska, UE i Norwegia. Ustupający szef uniijnej dyplomacji Josep Borell zapytany przez Euractiv czy można spodziewać się jakichkolwiek namacalnych rezultatów tego procesu bez zaangażowania Izraela, rozsądnie odparł, że „to złożony proces, w którym będzie musiało uczestniczyć także izraelskie społeczeństwo obywatelskie”. Czytaj: czekamy na koniec Netanjahu.

Bo Netanjahu i jego skrajnie prawicowi partnerzy koalicyjni zobowiązali się nie dopuścić do powstania państwa palestyńskiego. Nawet liderzy opozycji dystansują się wobec tego pomysłu, świadomi braku dłań poparcia izraelskiej opinii publicznej. Izrael nie chce

oddać kontroli nad Zachodnim Brzegiem i Strefą Gazy, nie chce przesiedlać setek tysięcy osadników ani budować fizycznej granicy dzielącej Jerozolimę, która była by stolicą obu państw.

Z tych i innych powodów (również błędów kierownictwa palestyńskiego) rozwiązania dwupaństwowego nie udało się zrealizować w ciągu trzech dekad, jakie minęły od podpisania porozumień z Oslo. Jednak wciąż pozostaje ono najmniej złą opcją doprowadzenia do trwałego pokoju, a nie tylko do kruchego zawieszenia broni. W jednym wspólnym państwie albo Palestyńczycy obywatelami drugiej kategorii. Utrzymanie zubożonych enklaw w Strefie Gazy i na Zachodnim Brzegu, gdzie Palestyńczycy nie mają podstawowych wolności politycznych ani ekonomicznych to zaproszenie do kolejnej wojny w przyszłości.

Pozostaje przewyciężyć opór Izraelczyków, którzy obawiają się, że państwo palestyńskie będzie przyczółkiem do ataków terrorystycznych (choć brak tego państwa ich przed tym nie chroni), a może nawet nowej Zagłady. Oraz opór Palestyńczyków, którzy nie wyobrażają sobie jakiegokolwiek układu z „ludobójczym reżimem” i którzy pielęgnują krzywdę Nak-

by, masowego wygnania po pierwszej wojnie izraelsko-arabskiej. Pominać szermierzy jajo-kurzych racji, takich jak Tareq Baconi, szef palestyńskiego think-tanku Shabaka, który napisał w „New York Timesie”, że podział na dwa państwa jest nieosiągalny i nielegalny jako „układ narzucony Palestyńczykom bez ich zgody w 1947 r.”, a koncepcja rozwiązania dwupaństwowego „znormalizowała codzienną przemoc wymierzaną Palestyńczykom przez izraelski reżim apartheidu”.

Warunków pokoju nie wolno narzucić Izraelczykom i Palestyńczykom, ale nie obejdzie się bez wewnętrznej pomocy. Może być konieczna międzynarodowa administracja przejściowa z władzą nad Zachodnim Brzegiem i Gazą, ułatwiająca przekazanie władzy przez armię izraelską w ręce palestyńskich instytucji. Ta administracja powinna być upoważniona przez Radę Bezpieczeństwa ONZ, współpracować z rządami Izraela i Autonomii Palestyńskiej oraz mieć jasne zapisy o wygaśnięciu mandatu. Można mieć nadzieję, że przez ten czas wyklują się nowe elity palestyńskie, gotowe patrzeć w przód. Okupacja izraelska już nie będzie wymówką dla korupcji i braku demokracji. A rozwiązanie konfliktu odbierze tlen ekstremistom po obu stronach. ●



Magda Gacyk

Jak to możliwe, że Dolina Krzemowa wspiera Trumpa

TRAWNIK MUSI BYĆ PRZYSTRZYŻONY

Jeszcze kilka lat temu statystyczny programista wierzył w liberalno-lewicowe ideały

Owierknęło wieczorem. „Jakoś nikt nie próbuje zabić Bidena/Kamali”. Na końcu: emotikon zamyślonej buźki. Wpis Elona Muska, właściciela X, dawnego Twittera, a jednocześnie najaktywniejszego politycznego trolla własnej platformy, pojawił się w kilka minut po tym, gdy media zaczęły informować o drugiej – udaremnionej przez służby specjalne – próbie zamachu na Donalda Trumpa.

Przez portal natychmiast przetoczyła się nawałnica. Krytykowano głównie z lewej strony sceny; prawa dyplomatycznie milczała. Do akcji włączył się Biały Dom, potępiając tweeta, który mógł zostać odebrany jako wezwanie do politycznego zabójstwa. Zawiadomiono służby odpowiedzialne za bezpieczeństwo prezydenta Joego Bidena oraz wiceprezydentki Kamali Harris.

Przesada? Niekoniecznie – jedno aluzyjne zdanie jednego z najbardziej wpływowych miliarderów i baronów technologicznych świata, który wciąż rośnie w siłę i ma szansę stać się pierwszym trylionerem (według obliczeń: już w 2027 roku), może zostać potraktowane dosłownie. Jeden tweet może doprowadzić do tragedii.

Jeszcze kilka lat temu Musk, coraz głębiej nurzający się w odmętach radykalnych ideologii i teorii spiskowych alt-rightu i skrajnej prawicy, wydawał się wstydliwym wyjątkiem w Dolinie Krzemowej. Takim kłopotliwym odstępstwem od oficjalnie progresywnej agendy tech korporacji i start-upów.

Bardziej umiarkowani zwolennicy szefa Tesli i SpaceX tłumaczyli jego coraz ostrzejsze poglądy trudnym dzieciństwem, szkolidowym wpływem ojca, klasycznego samca alfa, wreszcie szokiem związanym z transplciowością jednego z dwanaściorga dzieci. Zagorzali fani wychwalali natomiast za walkę z wokeizmem, tą – ich zdaniem – niebezpieczną lewacką, antywolnościową

doktryną „przebudzonych”, która całkowicie zaanektowała dyskurs publiczny w USA, doprowadzając do karykaturalnej poprawności politycznej i cenzury. Nie dodawano już, że limitowanie owej wolności w wyrażaniu poglądów wiąże się na ogół z niezgodą i zakazywaniem mowy nienawiści czy podżegania do przemocy.

Inna rzecz, że przeciwnicy też nie przebiegali w słowach. W ich opinii Musk światopoglądowo już dawno odleciał poza orbitę ziemską wraz ze swoją flagową rakiętą Falcon. Podkreślali coraz dziwniejsze wypowiedzi, coraz częstsze zmiany nastroju podczas wystąpień, coraz poważniejszy problem z narkotykami.

I przypominali logiczne akrobacje, jakich dokonuje, próbując usprawiedliwić nałóg, jak np. w wywiadzie w CNN, gdy twierdził, że to inwestorzy naciskają, by brał mikrodawkę psychodelików. Podczas rozmowy z Donem Lemonem zapewniał, że ketaminę, najmodniejszą obecnie substancję halucynogenną w Dolinie Krzemowej, oficjalnie stosowaną do tzw. znieczulenia dysocjacyjnego, dostał nie od dilerów, ale od „prawdzi-

wego lekarza” jako antidotum na „negatywne stany mózgu”.

Krytycy techwizjonera uważają, że ktoś tak labilny emocjonalnie nie powinien w ogóle zarządzać żadnym przedsiębiorstwem. A jednak Elon Musk nie tylko kieruje kilkoma firmami, ale stał się też jednym z filarów trumpizmu, najważniejszą osobą po samym Trumpie, być może niezbędną, by ponownie wprowadzić kandydata Republikanów do Białego Domu.

David French, prominentny publicysta „New York Timesa”, uważa, że Musk stał się dla Trumpa klasycznym korporacyjnym „gatekeeperem”, kimś, kto decyduje o dostępie do informacji do dotychczasowych bądź potencjalnych wyborców oraz jej przepływie. To w jego mocy jest teraz rozstrzygnięcie, do kogo dotrze przekaz ruchu MAGA – Make America Great Again.

W jego rękach jest bowiem X, czyli słynny Twitter, którego kupił dwa lata temu za 44 miliardy dolarów (a obecnie jest wart zaledwie 12 miliardów). Platforma, którą

przekształcił w propagandową tubę skrajnej prawicy, przywracając kilkanaście tysięcy kont zablokowanych wcześniej za publikowanie nazistowskich, rasistowskich i antysemitowskich treści. Triumfalny powrót natychmiast odrąbili m.in.: Andrew Anglin, wschodząca gwiazda amerykańskich neonazistów; Marjorie Taylor Green, altprawicowa polityczka z Georgii, słynąca z promowania rozmaitych teorii spiskowych; James Lindsay, homofobiczny i transfobiczny publicysta; Patrick Casey, jeden z najbardziej znanych białych suprematystów głoszących wyższość białej rasy.

A Musk, który ma 197 mln obserwujących, chętnie udostępnia i podbija ich wpisy. Jest niezwykle aktywnym użytkownikiem własnego portalu społecznościowego, w ciągu dnia wypuszcza od kilkudziesięciu do stu kilkudziesięciu tweetów. Coraz więcej z nich dotyczy polityki, a nie technologii. Bardzo szybko linia ideologiczna serwisu stała się jasna dla wszystkich jego użytkowników, bo jeśli coś „wygląda jak kaczką, pływa jak kaczką i kwacze jak kaczką, to jest to kaczką”.

Szefowie na prawo, podwładni na lewo

17, czyli wszystkie

technologiczne mega-jednorożce tzn. firmy wyceniane na ponad 100 miliardów dolarów, opowiedziały się za Joe Bidenem

98 proc.

pracowników Netflix'a,

93 proc.

pracowników Nvidii oraz Adobe,

90 proc.

pracowników Intela,

89 proc.

pracowników Google'a wspierało finansowo Demokratów

60 proc.

tylko tyle mieszkańców San Francisco chce głosować na Kamalę Harris. Tylko, bo na Bidena głosowało 86 proc.

197 mln ludzi

obserwuje na platformie X, czyli dawnym Twitterze Elona Muska

• **Wiec zwolenników Donalda Trumpa w Los Angeles. Napis na plakacie: „Pomóż Kalifornii znowu rozbysnąć”, to nawiązanie do wyborczego hasła Trumpa „Uczyńmy Amerykę znowu wielką”**

Mimo to Musk uparcie zaprzecza zarzutom o propagowanie prawicowych radykałów i szerzenie fałszywych informacji wspierających ultrakonserwatywną agendę. Jednocześnie jako „absolutysta wolności słowa” nieustannie powołuje się na pierwszą poprawkę do konstytucji zakazującą ograniczania wolności prasy i wypowiedzi.

• Wydawałoby się, że Musk pozostaje ideologicznym wynaturzeniem Doliny Krzemowej, gdzie szefowie największych firm albo noszą wpięte w klapy marynarek – czy raczej w wyluzowane kampusowe bluzy – pin-upy z lewicowymi hasłami, albo polityczne czapki niewidki, by wyrazistymi poglądami nie zrazić sobie żadnej ze stron.

I gdzie szeregowi pracownicy technokorporacji głosują portfelem, przekazując spore dotacje na rzecz lewicowych polityków. Cztery lata temu większość wspomagała prezydenckie kampanie wyborcze Demokratów Joego Bidena oraz ulubieńca lewicowej młodzieży i wielkomiejskich intelektualistów Berniego Sandersa.

Pozarządowa organizacja OpenSecrets informująca o przepływie kampanijnych pieniędzy opublikowała w 2020 r. dane wyraźnie ukazujące finansowe zaangażowanie Silicon Valley w demokratyczne cele. Z raportu wynikało, że pokaźne sumy Partii Demokratycznej przelało: 98 proc. pracowników Netflix'a, 93 proc. Nvidii Adobe, 90 proc. Intela, 89 proc. Google'a. Ogółem, oprócz jednego najbardziej konserwatywnego (Qualcomm, gdzie środki rozłożyły się prawie idealnie po połowie między Demokratami a Republikanami) wszystkie 17 amerykańskich technologicznych mega-jednorożców, czyli firm wycenianych na ponad 100 mld dolarów, opowiedziało się za demokratycznym szefem państwa.

Tak więc jeszcze kilka lat temu statystyczny programista wierzył w liberalne

ideale. Co innego statystyczny technokratyczny bogacz.

Na najwyższych piętrach ultranowoczesnych, wyluzowanych firmowych kampusów prezesi widzieli już nadciągające chmury, aż ciężkie od wyższych podatków i regulacji prawnych, które skrepywałyby ich niekontrolowany globalny rozwój. Burzowy front nadciągał właśnie od strony Partii Demokratycznej.

Zmieniała się pogoda dla bogaczy – na gorszą.

• – Z tą przynależnością polityczną elit Doliny Krzemowej to jest trochę szemrana sprawa – uważa Jeremi Kalkowski, politolog związany z Univeristy of California. – Bo nigdy nie były prawicowe. Ale też – en masse – nigdy tak naprawdę nie były liberalne ani otwarcie lewicowe. Dominujący był zawsze nurt libertariański o charakterystycznym, technologicznym zabarwieniu. Ponieważ jednak w Stanach Zjednoczonych libertarianizm stanowi bardziej politologiczne kuriozum niż realną polityczną siłę, technokraci od początku istnienia Silicon Valley podpinali się pod jedną z dwóch dominujących partii. Przyświecał im pragmatyzm. W końcu ich założeniem było mnożenie pieniędzy i mnożenie władzy, a kasa i wpływy to coś, co wiązało się z Demokratami i Republikanami, a nie z niszową Partią Libertariańską.

Tożsamość polityczna Doliny Krzemowej nigdy nie była łatwa do sklasyfikowania.

Obszar między San Francisco na północy, San Jose na południu, górami Santa Cruz i Pacyfikiem na zachodzie a Zatoką Świętego Franciszka na wschodzie też nosił niegdyś oficjalną nazwę Doliny, lecz Zachwytu Serca, i też słynął jako zagłębie Ameryki – ale owocowe. Kwitły jabłonie, śliwki i brzoskwinie, niedaleko wybrzeża farmerzy uprawiali karczochy, bliżej pustynnego serca Kalifornii rosły migdałowce. Rolnicy hołdowali tradycyjnym wartościom, głosowali na Republikanów. Tuż po II wojnie światowej w niecce przy cieśninie Golden Gate zaczęły powstawać pierwsze firmy technologiczne, wówczas jeszcze ściśle związane z rządem produkujące dla armii, bardzo konserwatywne w podejściu do przedsiębiorczości i polityki.

Klimat zmienił się w czasie wojny w Wietnamie. San Francisco w 1967 roku przeżyło słynne Summer of Love, Lato Miłości, podczas którego w rejon ulic Ashbury i Haight zjechało ponad 100 tys. młodych ludzi z hasłami „rewolucji miłości”, zakończenia wojny w Wietnamie, swobodnego dostępu do psychodelików, życia we wspólnotach i odwrótu od konsumpcjonizmu. „Największa migracja młodzieży w historii Stanów Zjednoczonych” – okrzyknęły to zjawisko mainstreamowe media. Lecz lokalne i federalne władze nie były zachwycone inwazją hipisów i bitników z ich kontrkulturowymi sloganami, bo tych parę letnich miesięcy trwale zmieniło mentalność nie tylko San Francisco, ale w ogóle całego regionu.

I właśnie dlatego Dolina Krzemowa powszechnie kojarzy się z kontrkulturowym podglebiem, kwestionowaniem tradycyjnych autorytetów, indywidualizmem i postępem obyczajowym. Ale...

– Jej skręt w prawo to nie kwestia ostatnich miesięcy. Ten proces trwał dekady. Patrząc na tę transformację również przez pryzmat geografii miejsca. Rzecz w tym, że była ewidentna, nie tylko wyczuwalna, różnica między zachodnią a wschodnią stroną zatoki San Francisco – mówi Agnieszka Ilwicka, doktorantka na University of Florida, od dziesięciu lat zawodowo związana z wieloma organizacjami non-profit w Silicon Val-

ley. – Na zachodzie rozciągała się ta pierwotna Dolina Krzemowa z Uniwersytetem Stanforda i coraz potężniejszymi technokorporacjami, a na wschodzie było liberalne Berkeley z progresywną filią University of California i Parkiem Ludowym, centrum protestów studenckich w latach 60., który do tej pory jest miejscem symbolem radykalnego politycznego aktywizmu.

Lata 60. stały się zarzewiem zmian, ale to 70. i 80. ukształtowały Dolinę Krzemową. Choć hipisi i bitnicy starzeli się i gorzknieli, to wciąż ważne były ideale, które przyniosła rewolucja kontrkulturowa: antykapitalizm, nonkonformizm, pacyfizm, feminizm. Równie istotne stawało się jednak to, co nieśli ze sobą nowi przybysze, młode wilczki z biznesów Wschodniego Wybrzeża: ambicję, materializm, pracoholizm, hedonizm.

Jeśli rok 1967 był rokiem dzieci kwiatów, to 1984 został ogłoszony przez „Newsweek” rokiem yuppies. Między jedną a drugą datą wykuwała się tożsamość Doliny Krzemowej będąca hybrydą etosu hipisa i japiszona.

W latach 90. Silicon Valley przeżywała kolejną dekadę nieustającej prosperity, w mediach od nauseam powtarzano termin „kalifornijska ideologia” definiujący sposób myślenia technokratów. Wszyscy wiedzieli, że chodzi o neoliberalne podejście do ekonomii połączone z technologicznym determinizmem. Miało być światowe, globalnie i progresywnie, technologie miały rozprawić się ze wszystkimi największymi problemami ludzkości – ale żeby tak się stało, rząd musi trzymać się na dystans. Nie ingerować, nie przeszkadzać, nie wlażyć z butami w innowację.

Młode krzemowe elity zamierzały natomiast trzymać się z dala od waszyngtońskiej gerontokracji. Ich zdaniem starcy z Kongresu i Białego Domu nie rozumieli techrewolucji.

• Od tamtych czasów sporo się zmieniło. Technokorporacje rozwijały się w postępie wykładniczym i skutecznie monopolizowały kolejne nisze rynku IT. Który powoli przestawał być IT, a stawał się po prostu rynkiem, wkraczał w kolejne dziedziny życia i codzienności zwykłych ludzi. Bogaciły się, zyskiwały zasoby, władzę oraz wpływ większe lub równe niektórym krajom. Dolina Krzemowa rosła w siłę, a jej apetyt był nieopanowany. Budziło to coraz większy niepokój wśród federalnych decydentów. W relacjach rząd – IT zaczynało się robić nerwowo.

W pierwszej dekadzie XXI wieku technokraci ostatecznie przeprosili się z Waszyngtonem, wysuplując rokrocznie dziesiątki milionów dolarów na działalność lobbującą, sponsorowanie prestiżowych think tanków oraz wkładanie się w łaski grubych ryb od regulacji antymonopolowych. Te mogłyby bowiem chcieć wprowadzić w życie niebezpieczny pomysł podziału poszczególnych techgigantów na mniejsze kawałki, by dać pole konkurencji. Takie zakusy były na całkiem zaawansowanym etapie wobec Microsoftu, takie wracają co rusz wobec Google'a, Apple'a i Mety – czyli koncernu, w który przekształcił się Facebook po przejściu Instagrama i WhatsAppa.

Aby być skutecznym, trzeba było nauczyć się dogadywać z ustawodawcami. Czyli stracić polityczne dziewictwo. Oraz jakoś to zakamuflować.

W ostatnich dwóch dziesięcioleciach Silicon Valley zmieniała nie tylko sposób myślenia, ale także wygląd. Byłe jakie, byłe były funkcjonalne, budynki korporacji ustępowały miejsca potężnym firmowym kampusom wybujałym jak ego ich prezesów. Manii

wielkości nie mogli się oprzeć także najważniejsi członkowie techbractwa, w miejsce dotychczasowych względnie zwyczajnych domów stawiali krezusowe rezydencje. Tak zrobił Mark Zuckerberg, który – by pozbyć się sąsiadów – wykupił ich domy i działki, a ogród kilka tygodni temu udekorował monumentalną statuaą żony Priscilli. Rzeźba przypominająca postać z ludu Na'vi w filmie „Avatar” miała odwolywać się do „najlepszych tradycji starożytnego Rzymu” zamałowania u artystów figur bliskich osób.

W gorącym przedwyborczym okresie, gdy media czujnie sondują nastroje wśród graczy Doliny Krzemowej, twórca Facebooka, któremu bardzo zależy, by oficjalnie zachować neutralność polityczną, skutecznie ogniskuje zainteresowanie opinii publicznej na tym, czy zielono-srebrny pomnik jego małżonki jest właściwym elementem ogrodowego decorum.

– A ja poglądy wyczytuję właśnie z ogródków. Tych przydomowych – zapala się Agnieszka Ilwicka, która zajmuje się również historią mówioną, zbierając opowieści mieszkańców regionu. – Czy można politycznie interpretować ogródki? Poniękad. Można założyć, że właściciel posesji, na której plenią się krzewy, kwiaty, zioła i chwasty, czyli wszystkie te rośliny, które przyciągają owady, ma bardziej liberalny światopogląd. A ja w ostatnim czasie widzę inwazję konserwatywnych, gładko przystrzyżonych trawników. Nawet w rebelianckim San Francisco.

San Francisco – ze swoją ostentacyjną progresywnością i konsekwentnym obstawianiem Demokratów w wyścigu do Białego Domu (już od dziesięciu cykli wyborczych) – zawsze było solą w oku Republikanów. Lecz w ostatnich miesiącach ataki zwolenników Trumpa na to miasto wyjątkowo przybrały na sile. Trzeba przyznać, że powodów nie brakuje, metropolia zmaga się z tak poważnymi problemami, jak kryzys bezdomności, epidemia fentanylu i deficyt dostępnych cenowo mieszkań. Lecz czapki trumpistów mają podłoże polityczne.

Na czele natarcia jest – a jakże! – Elon Musk, który twierdzi, że w mieście dokonuje się „apokalipsa zombiaków”, i który w programie Joego Rogana, najpopularniejszego amerykańskiego podcastera, dodał jeszcze, że tak naprawdę zdecydował się na kupno Twittera, by uchronić Kalifornijczyków przed epidemią „niebezpiecznego wirusa umysłu, jakim jest wokeizm”. Zaraza ta jego zdaniem najbardziej szerzy się właśnie na północy stanu.

• – Jakby się przejąć tą polityczną konserwą, to już zdechliśmy, gryzą nas robaki i do tego nie pójdziemy do nieba. Mają tak sprane te swoje konserwatywne mózgi, że są przekonani, że to właśnie tu znajduje się Sodoma i Gomora – Phil Salt macha ręką. Stoi, cały ubrany w lateks, na rogu Folsom Street, gdzie poprzedniego dnia odbył się najbardziej znany na świecie festiwal dla fetyzystów. Wystawcy gadżetów dla fanów sadomaso zwijają stoiska, ekipy sprzątające czyszczą chodniki. Zniknęły stanowiska, w których wciśnięte w skórzane kostiumy dominy oferowały chętnym bezpłatne chłosty, a mistrzowie shibari – erotycznego wiązania ciała – dawali pokazy swojej sztuki.

Phil rozgląda się wokół. – No dobra, rzeczywiście, na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że tu ruja i poróbstwo, ale od 30 lat funkcjonowania Folsom Street Fair nie mieliśmy poważniejszych incydentów. A przecież co roku przyjeżdża tu ćwierć miliona ludzi! Mieszkam w San Fran już kilkadziesiąt lat. W tym czasie prawacy już kilka razy uśmiercili miasto...

Bo w prawicowych mediach San Francisco umierało cztery razy. Pierwszy raz tuż przed wybuchem II wojny światowej, gdy w prestiżowym magazynie literackim „American Mercury” napisano, że miasto cierpi na „komercyjną niestrawność oraz kolkę” i jak tak dalej pójdzie, to będzie musiało ogłosić bankructwo. Gazety podjęły trop bez sprawdzania, jak sprawy napraw-

FOT. JIM NEWMERRY / ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

dę się mają. Gdyby bowiem zweryfikowały podstawowe fakty, wiedziałyby, że miejska gospodarka ma się świetnie. Drugi raz mówiono o ostatecznym upadku, gdy w rejonie parku Golden Gate rozpoczęły się protesty przeciwko wojnie w Wietnamie i zaczął rozwijać się ruch hipisowski. Trzeci raz wizję umierającej metropolii wywołała telewizja CBS w 1987 roku. Reportaż alarmował, że wieżowce downtown to jedynie fasada, a w środku wszystko gnije. „Frisco znane jest teraz tak samo z AIDS, jak z tramwajów linowych” – recytował prezenter, a inne media natychmiast podchwyciły temat, choć „gejowska grypa” – jak mówiono na objawy związane z zakażeniem HIV – nie stanowiła zagrożenia dla gospodarki miasta.

Czwarty raz San Francisco ma umierać teraz. Trąbią o tym i trumpistowski Fox News, i liberalne media, choć problemy, z jakimi się zмага miasto, dotyczą wielu innych aglomeracji. Te same kłopoty z konsekwencjami rosnącego rozwarstwienia ekonomicznego i społecznego mają choćby Los Angeles, Nowy Jork i Honolulu.

– Niewątpliwie zmienił się pejzaż demograficzny – ocenia Agnieszka Ilwicka. – Wschodnia część Doliny Krzemowej: dla akademików i hipisów. Zachodnia: dla tradycyjnych rodzin, najlepiej z dwójką dzieci, szybkim samochodem dla niego i stylowym samochodem dla niej. To tam mieszkają ludzie, którym się powiodło finansowo, których stać na własną nieruchomość w regionie, w którym ceny za stopę kwadratową poszybowały w kosmos. Bo widzisz, to właśnie ludzie megazamożni zaczęli zawiązywać coraz większe obszary wokół zatoki San Francisco. Więc i zaczęli zmieniać mentalność tego miejsca. Jak to na jaką? Na bardziej zachowawczą, oczywiście. Widać to choćby w strukturze zatrudnienia. Dominują biali i Azjaci, a Afroamerykanie... jak-by ich nie było.

Duże pieniądze stały się katalizatorem zmiany już pół wieku temu – twierdzi badaczka. – I, niestety, nie idą w parze z rozwojem lokalnej kultury w postaci muzeów czy klubów muzycznych, szczególnie tej alternatywnej – dodaje. Jej spostrzeżenie może wydawać się niszowe, akademicko-pięknoduchowskie, ale nic z tych rzeczy. Kultura alternatywna od dekad była wizytówką i specjalnością San Francisco, rozślawiała miasto w świecie.

Rzecz w tym, że rozwój lokalnej kultury zależy w dużej mierze od prywatnych darczyńców. A tu polityka nie wkrada się, ale wchodzi z drzwiami.

Dla bogatych mieszkańców miasteczek z Doliny Krzemowej, niezależnie od opcji politycznej, kwestia wspomagania kultury wbrew pozorom nigdy nie była priorytetowa, chyba że wiązała się ona z możliwością przefinansowania własnych interesów. Sztukę wspomagają chętnie, jeśli wiąże się to z wyrzyciem ich nazwisk na ścianach kolejnych sal, bibliotek czy galerii – albo gdy zdoła ona ich prywatnie posiadłości. Symptomatycznym przykładem jest jedna z najbardziej znanych prawicowych lobbystek Silicon Valley.

Florence Fang jest Amerykanką chińskiego pochodzenia, właścicielką fortuny mediowej oraz kolekcji metalowych dinozaurów, mamutów oraz gigantycznych plastikowych grzybów, które stoją w jej ikonicznym „domku Flinstone’ów” zbudowanym z serii retro-futurystycznych kopuł. 91-letnia bizneswoman związana jest od półwiecza z Republikanami i działa na ich rzecz wśród technokratów. A związała się z nimi tylko dlatego, że wydawali jej się bardziej antykomunistyczni niż demokratyczni. Sztukę dotuje, jeśli przydaje się ona do rozwoju przyjaznych stosunków z – tak, komunistyczną i totalitarną, ale to nic nie szkodzi, bo w myśleniu o społeczeństwie bardzo konserwatywną – Chińską Republiką Ludową lub gdy sztuka wspiera prawicowe cele.

A jednocześnie Fang, choć pragmatyczna, jak gros przedsiębiorców w Dolinie Krzemowej, wydaje się szczerą, gdy tłumaczy, że

przełamywanie monopolu Partii Demokratycznej w północnej Kalifornii nie jest powodem do paniki, lecz przejawem działania demokratycznego społeczeństwa, które nie musi być homogeniczne światopoglądowo.

Tak czy inaczej krzemowa twierdza Demokratów wydaje się kruszyć, bo choć w San Francisco w ostatnich wyborach na Bidena głosowało 86 proc. mieszkańców, to – jak podaje sondaż popularnego lokalnego portalu Information – 5 listopada tylko niewiele ponad 60 proc. badanych zamierza oddać głos na Kamalę Harris. To nadal większość, ale ewidentny spadek.

– Czuje się tu te bardziej konserwatywne nastroje. Ale też nie jest tak, że nagle cała Dolina Krzemowa zwróciła się w prawo – studzi emocje Patryk Brożek, przedsiębiorca, szef Fudo Security. – W prawo zwróciła się jej część.

Istotniejsze niż sam zwrot jest to, że sympatycy alt-rightu i Republikanów przestali się wstydić. Wyszli z szafy. – Ci ludzie jeszcze cztery lata temu skrzętnie ukrywali swoje zachowawcze poglądy, bojąc się krytyki czy ostracyzmu. Teraz obwieszczają je głośno i oficjalnie. Kiedyś byli za Demokratami, teraz są trumpistami. Mówią o tym bez wstydu – opowiada Brożek. Po czym dodaje, zupełnie jak nestorka Fang: – I jeśli mam być szczery – wydaje mi się to zdrową zmianą dyskursu. Bo, jak zauważają nie

Dolina Krzemowa polubiła Trumpa, gdy Biden poparł regulacje badań nad sztuczną inteligencją, a Demokraci zaczęli mówić o praktykach monopolistycznych technokorporacji

tylko prawicowi komentatorzy, dyskurs niewątpliwie w ostatnich latach faworyzował tych, którzy trumpizmem się brzydzą i nie wahali się dawać temu głośno wyraz.

Silicon Valley ewidentnie miała na pieńku z prezydentem Trumpem. Bo ksenofobia, bo populistyczny nacjonalizm, bo denializm klimatyczny, bo pseudonaukowe bzdury. A czare goryczy przepełnił prezydencki dekret zakazujący wjazdu do USA obywatelom z siedmiu muzułmańskich krajów mających problemy z terroryzmem. Firmy IT traciły w ten sposób wielu świetnych specjalistów, którzy – jeśli akurat byli za granicą – nie mogli już wrócić do pracy.

Więc Dolina Krzemowa obraziła się na prezydenta – a prezydent obraził się na Dolinę Krzemową, ogłaszając, że praktycznie wszystkie największe technokorporacje projektują swoje algorytmy tak, by wycinały konserwatywne treści.

– Kiedy przyjechałem tu osiem lat temu, wsząd słyszałem, jak nadzwyczajna jest Dolina Krzemowa w swojej gotowości na dyskusje, na starcia odmiennych poglądów – opowiada Patryk Brożek. – Podkreślano, że tu nie ma głupich czy zakazanych tematów. A ja miałem wręcz odwrotne wrażenie. Zamiast otwartości – polityczna poprawność. Sam wpadłem swego czasu w sidła takiej „jedynie słusznej” polemiki, kiedy poruszyłem temat bezdomności w San Francisco i natychmiast usłyszałem, że najwyraźniej jestem skrajną prawicą, skoro krytykuję to zjawisko. Tak powiedzieli, skrajna prawica! Długo nie mogłem się z tego otrząsnąć. Że tak łatwo przypinają łatkę. A teraz? Teraz przynajmniej można się sprzeczać.

Ale inni obserwatorzy obserwują odwrotny proces: wizerunek Doliny Krzemowej jako egalitarnej agory, na której można swobodnie debatować, w ubiegłych latach od-

szedł do lamusa. Nadal to tygiel, w którym buzują różne pomysły, nadal można czerpać inspirację z rozmów, ale nie ma już wcześniejszej otwartości w dzieleniu się opiniami.

– Na zmianę status quo wpłynęła transformacja samych partii – zwraca uwagę Jeremi Kalkowski. – Weźmy Partię Republikańską, która od trzech ostatnich cykli wyborczych porzuca dotychczasową politykę laissez-faire na rzecz trumpizmu. Ta zmiana wektora początkowo nie robiła wrażenia na technologicznych decydentach. Trzymali się Demokratów, bo ci dowozili to, na czym Dolina Krzemowej zależało: kontrakty i pozwolenia na relatywnie nieskrępowaną działalność.

Romans technokratów z lewakami i centrystami kwitł.

Ale zakończył się dwa lata temu, kiedy przerwany został trwający dekadę ciągły i imponujący wzrost rynku technologicznych start-upów. Nagle stanęło i nie chciało ruszyć. A winnym w optyce wielkich przedsiębiorców okazał się prezydent i jego polityka podatkowa, nie postpandemiczna stagnacja.

Biden podpadł technokratom również w innych kwestiach. Uznano, że za bardzo czepia się swobodnego rozwoju AI, popierając regulacje sztucznej inteligencji, co może utrudnić Dolinie Krzemowej dalszą ekspansję. Silicon Valley stanęła też okoniem, kiedy Demokraci zaczęli mówić o praktykach monopolistycznych technokorporacji. Coraz częściej zerkano w kierunku Trumpa, który obiecywał złote góry i podatkowe nizin.

– Nawet proponowana przez Trumpa wersja kolesiowskiego kapitalizmu już wcześniej kusila techbractwo, to 45. prezydent Stanów Zjednoczonych zbyt często był niebezpiecznie nieprzewidywalny, by łączyć z nim szyki – tłumaczy politolog. – Wystarczy przypomnieć atak na Kapitol, kiedy zwolennicy Trumpa, podżegani jego przemówieniami po przegranych wyborach, szturmowali siedzibę Kongresu. Trumpa traktowano jak śmierdzące jajo, bo Dolina Krzemowa chciała utrzymać reputację rozsądnej merytokracji, a nie bandy nieobliczalnych rebeliantów.

Zgodnie z maksymą amerykańskich biznesmenów: „Działaj w ciszy, niech jedynie sukces będzie twoim głosem”. Tymczasem Trump był nieznosnie głośny cały czas, obojętnie, czy chodziło o sukces, czy o porażkę. I parł do przodu. Na tyle skutecznie, że niektórzy z największych graczy w Dolinie Krzemowej uznali, że należy włączyć się w rozgrywkę.

Tak w otoczeniu Trumpa pojawił się J.D. Vance. Młody senator z Ohio, autor głośnej autobiograficznej powieści „Elegia dla bidoków” o wyrastaniu z biedy rejonu Appalachów, przedstawiciel tzw. white trash, „białych śmieci” – zdeklasowanej wskutek globalizacji przemysłu, osuwającej się w patologię klasy robotniczej i niższej średniej, raczkujący kapitalista inwestycyjny, współautor apki medytacyjnej i posiadacz udziałów w alt-prawicowym kanale internetowym Ramble. Oraz – co najważniejsze – podopieczny Petera Thiela, założyciela PayPala, jedynego z techbractwa, który już w 2016 r. wspierał Trumpa.

Potencjalny wiceprezydent Stanów Zjednoczonych natychmiast został namaszczonej również przez kolejnych techgigantów, którzy nagle uznali, że warto trzymać się republikańskiego fartuszką: Davida Sacksa, jednego z najbardziej liczących się przedsiębiorców Silicon Valley, Marca Andreessena i Ben Horowitza z najważniejszego dla IT funduszu inwestycyjnego oraz bliźniaków Winklevoss, potentatów w świecie kryptowalut.

To oni właśnie – podczas słynnej już kolacji w San Francisco, w której udział kosztował od 50 do 300 tys. dolarów – za jednym zamachem wystawili swojego politycznego konia w wyścigach i zebrali 12 mln dolarów na republikańską kampanię prezydencką.

W Silicon Valley te wszystkie szachowe posunięcia technologicznych oligarchów obser-

wowane są na ogół bez nadmiernych emocji. Pozostali mieszkańcy – znikająca klasa średnia i biedniejsi prekariat z sektora usługowego – są zbyt rozczarowani wielką polityką i kierunkiem, w jakim rozwija się stolica światowych innowacji, by wykrzesać z siebie ten wyjątkowy optymizm, jaki cechował to miejsce dekady temu. Są zmęczeni.

– To, co obserwuję od lat w Dolinie Krzemowej, bez wątpienia wpłynęło na moje poglądy – wyznaje Patryk Brożek, który prowadzi swój biznes prawie od dekady. – Nie na wartości. Tu jest stabilnie. Ale poglądy... Ewoluuja. Nie podchodzę już tak idealistycznie do tego miejsca, drażnią mnie ekstrema, tu jest pełno skrajności i sprzeczności. Coraz rzadziej dają się porwać jakiemuś ideologicznemu zapalowi, coraz częściej szukam sensownego centrum. Wydaje mi się, że równowaga została niebezpiecznie zachwiana choćby w kwestiach obyczajowych. Ale też nie dba się wystarczająco o poczucie bezpieczeństwa zwykłych mieszkańców.

– Stąd ta ewolucja poglądów – tłumaczy przedsiębiorca. – Od kogoś, kto był przekonany o zwolennictwie Partii Demokratycznej, do kogoś, kto ma poczucie, że to ugrupowanie nie adresuje jednak jego potrzeb. Społecznie nadal bliżej mi centrolewicowej frakcji Demokratów, gospodarczo bardziej mi po drodze z Republikanami.

Brożek nie jest jedynym Polakiem, który ma takie przemyślenia. W Dolinie Krzemowej, gdzie mieszka ponad 100 tys. rodaków, wielu podobnie eklektycznie łączy elementy prawicowej i lewicowej tożsamości. Tak jak łączą je trumpiści. I w ten sposób bycie „trampkiem” staje się coraz bardziej społecznie akceptowalne.

Dolina Krzemowa jest jak heraklitowa rzeka; ciągle płynie, wciąż się przekształca, nieustannie adaptuje się do zmieniających się warunków brzegowych. Wysła obronną ręką z paru ekonomicznych kryzysów: po panice z Y2K, czyli tzw. pluskwie milenijnej, która miała doprowadzić do globalnej awarii komputerów, po pęknięciu dotkomowej bańki i po ogólnoswiatowym kryzysie finansowym 2008-09. Równie dobrze powinna poradzić sobie z zawirowaniami politycznymi.

A jeśli nie? Jeśli sprawy przybiorą zły obrót? Jeśli nowy prezydent nie uchroni Ameryki przed jakimś kataklizmem?

Na czas politycznego chaosu techgiganci Silicon Valley mają już plan awaryjny. Gdy świat zacznie tonąć w anarchii, oni ewakuują się do swoich schronów. Zuckerberg właśnie kończy budowę luksusowego bunkra na ranczu na Hawajach, Sam Altman, szef OpenAI, start-upu, który wypuścił słynnego ChataGPT – zamierza przetrwać apokalipsę w nowozelandzkim schronie Petera Thiela. Larry Page, jeden z założycieli Google’a, ma podziemną rezydencję na jednej z wysp Nowej Zelandii.

Większość schronów produkują i budują firmy, których właściciele są od lat wielbicielami Trumpa. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Magda Gacyk

• dziennikarka i tłumaczka, z wykształcenia socjolożka, od dwóch dekad obserwuje i opisuje nowe zjawiska na styku techniki, ekonomii i kultury w Dolinie Krzemowej. Autorka książki „Ścigając Steve’a Jobsa. Historie Polaków w Dolinie Krzemowej” oraz opowieści o najgorętszym trendzie tam panującym czyli technologicznym tuningu człowieka i próbach osiągnięcia nieśmiertelności – „Zabawy w Boga. Ludzie o magnetycznych palcach”.

OBYCZAJE KULTURANAUKA

SZCZURA SIĘ JE BEZ OGONA

Niektórzy faceci uwielbiają
winić kobiety za swoje błędy
i nieudane życie

Z **GENERAŁEM
ROMANEM POLKO**
ROZMAWIA **KRYSTYNA
ROMANOWSKA**

Twardziel nie płacze i nie prosi po pomoc, stroni od lekarzy, za to myśli o seksie i marzy o władzy, ale ilu mężczyzn naprawdę pasuje do tego schematu? W „Wyborczej” i „Wysokich Obcasach” przyglądamy się współczesnym facetom, pokazujemy wszystkie odcienie męskości. Męskości na nowo.

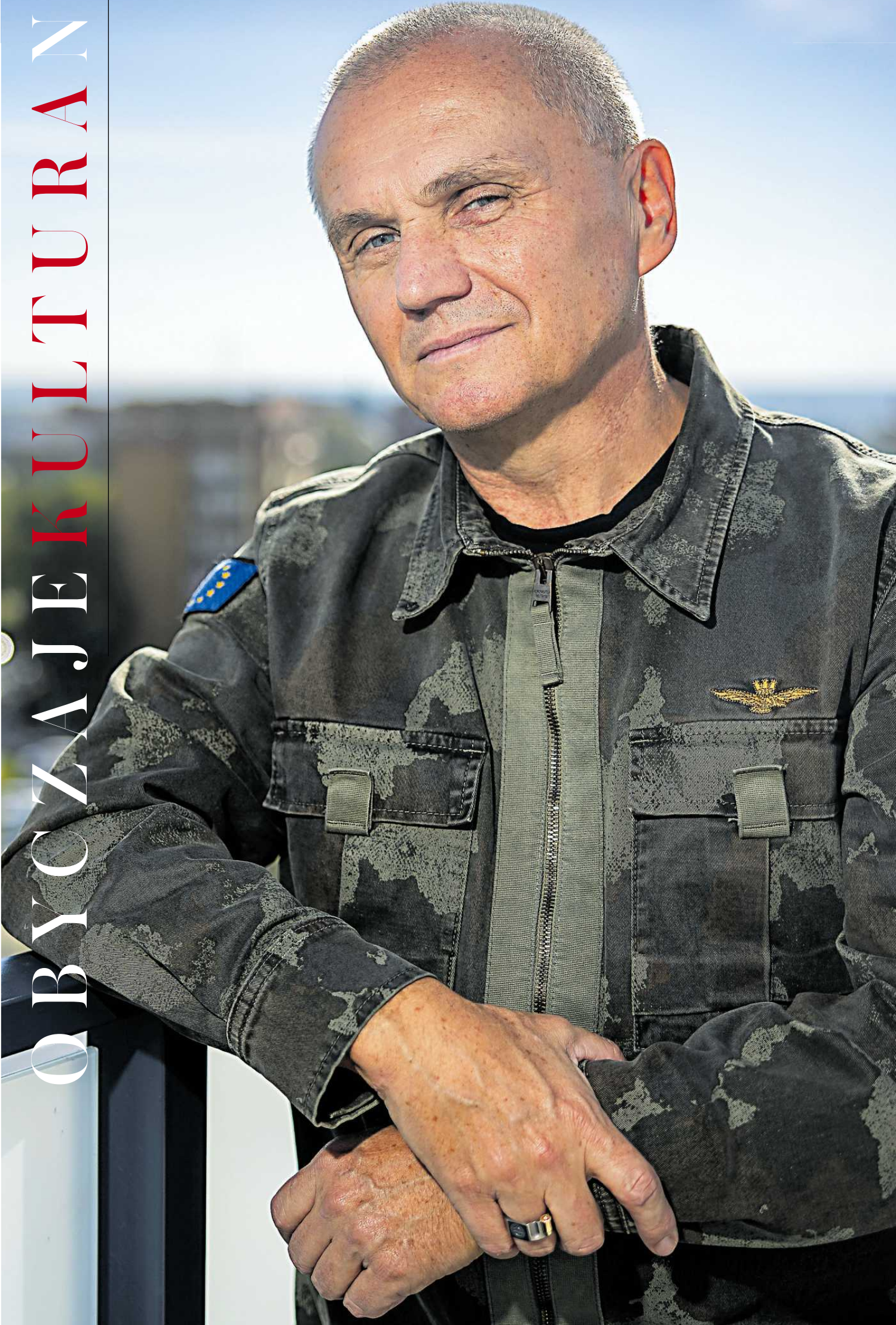
Co pan uważa za najmniej męską cechę?
– Rozmemlanie. Malkontenc-two. Brak odpowiedzialności. Zrzucanie winy na kobiety.

Czy współcześni 20-latkowie są mniej męscy niż pańskie pokolenie?
– Odpowiem historią z życia. Kiedy byłem dowódcą GROM-u, dostałem kandydata do jednostki. Był w pierwszej trójce najlepszych absolwentów szkoły oficerskiej. Bardzo dobrze się uczył. Że-lazo w rękach. Jego podcią-gnięć na drążku człowiek by nie zliczył.

Byłem stuprocentowo pe-wien, że proces przyjmowa-nia, czyli tę słynną GROM-owską selekcję, przejdzie śpiewająco, ale już w pierw-szych dniach podjął próbę samobójczą, bo go dziewczyna rzuciła. Kurczę – mówię sobie – każdy człowiek zasłu-guje na drugą szansę, aczkol-wiek trzeba by go gruntow-nie przebadać i sprawdzić, co się z tym dzieje.

Nie doszło jednak do tej drugiej szansy. Z prostego powodu: tydzień później dzwonek do domu, w któ-rym mieszkalem. Przyszła ja-kaś dziewczyna wstawić się za nim. I to nie ta, „dla któ-rej” próbował popełnić sa-mobójstwo, tylko całkiem in-na, którą zdążył poderwać po pobycie w szpitalu psychia-trycznym.

Wysłał ją do mnie, że-by mnie przekonała, bym go nie wyrzucał z wojska. Wte-dy wszystkie wątpliwości mi odeszły. Wiedziałem, że go nie chcę. I naprawdę nie cho-dziło o to, że przeżył załama-nie, bo to różnie bywa, ale on wyręczał się innymi – po prostu tak funkcjonował.



FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Taki jest, niestety, sposób działania niektórych młodych mężczyzn. Matki zapisują ich na studia i szukają im pracy. Oni idą na randkę z dziewczyną, ale nie wiedzą dokąd ani kto będzie płacił.

Ale to nie jest charakterystyczne tylko dla Polski, że akurat tutaj jest wielu maminsynków. Kiedy rozmawiam z kolegami z sił specjalnych z Norwegii, Wielkiej Brytanii, widzimy, że wszędzie młodzież jest słabiej przygotowana do życia pod względem fizycznym i psychicznym. Stąd to zmniejszanie wymogów i norm. Natomiast przerastają nas o głowę, jeżeli chodzi o zdolności technologiczne.

Pan też – proszę mi wybaczyć – do dryblasów nie należy.

– To prawda. Nie mam postury Schwarzeneggera, ale zaliczyłem ileś tam misji, byłem na tyłach wroga, trochę udało mi się osiągnąć.

Pamiętam, jak prezydent Lech Kaczyński popatrzył na mnie krytycznie, mierząc mnie od stóp do głów, i zapytał ze zdziwieniem: „I pan nimi dowodził?”

Chodziło o jednostkę GROM, a ja wtedy poczułem pewnie to, co czuły i czują nadal kobiety w armii, kiedy kwestionuje się ich kompetencje.

Bo kobieta musi być słabsza, gorsza i tak dalej... Żołnierki z GROM-u przebijały ileś tam szklanych sufitów i przekraczały siebie, aby udowodnić, że są lepsze. I naprawdę były lepsze i wytrwalsze od niektórych żołnierzy. A przy tym można było liczyć na ich bezinteresowne wsparcie, nie panikowały.

Kiedy przejąłem dowodzenie GROM-em, pojawiły się koncepcje jego rozwiązania, część ludzi odeszła. Zastanawiałem się wtedy, w jaki sposób walczyć o tę jednostkę, zmobilizować ludzi, jak ratować „firmę”. Pamiętam taki dzień, że wyszedłem z gabinetu, bo nie chciałem pokazywać zdenerwowana czy przygnębienia przy żołnierzach, a emocje mną targaly, i szedłem trochę przed siebie, żeby ochłonąć.

Zobaczyła mnie wtedy Nikita, świetna instruktorka przetrwania. Podeszła do mnie, poklepała po ramieniu: „Pan się nie martwi, panie pułkowniku, będzie dobrze”. Pomyślałem sobie: „Mój Boże, to przecież ja powinienem ją pocieszać, a nie ona mnie!”

Ale w działaniu zespołowym mężczyźni i kobiety powinni się wspierać i maczyzm wtedy należy schować głęboko do kieszeni i użyć się ducha bojowego od kobiet.

Czy fakt tej słabości odbiera mi męskość? Podobnie jak to, że zasuwam w domu z mopem na równi z moją żoną? Wcale nie odbieram tego jako ujmę na męskości.

W domu rodzinnym było jednak raczej patriarchalnie?

– Było typowo. Ojciec – geodeta górniczy w pracy od rana do wieczora. Miałem być sztygarem po Akademii Górniczo-Hutniczej, bo ojciec wymarzył ten zawód dla mnie.

Ale ja chciałem po swojemu. Dla mnie pójście do wojska było pożegnaniem z domem rodzinnym i z pewnym modelem rodziny, ale wtedy nie wiedziałem jeszcze, jaki będzie model rodziny, który ja stworzę. Czulem jednak przez skórę, że ten stary układ re-

lacji między kobietą i mężczyzną mocno się zestarzał. Natomiast prawdą jest, że niektórym mężczyznom wciąż jest na rękę, że to kobieta zaszuwa z mopem, a on siedzi z piwem i ogląda mecz.

To przecież jednak zasadnicza służba wojskowa sankcjonowała patriarchalny układ w rodzinach.

– To zależy, co kto z tego wziął. Ja wziąłem z wojska samodzielność. Zżymałem się, kiedy słyszałem, że wojsko wychowa. „To dom ma wychowywać” – mówiłem sobie, ale prawda jest taka, że jeżeli w domu ma się opiekuńczą mamę, która dorosłemu facetowi codziennie robi śniadanie i pierze skarpetki, to nie ma szans, żeby nauczył się samodzielności.

Raczej zostanie w domu i jeżeli nie wbije się w okienko czasowe między swoim 18. a 20. rokiem życia, w którym mężczyzna musi się dowiedzieć, kim jest – nic mu się nie będzie chciało w swoim życiu robić.

Musi mieć wielkie serce, zbuntować się przeciwko systemowi – jakkolwiek by on był. I – jak to mówią Amerykanie – „popływać z rekinami”, żeby odkryć w sobie pokłady odwagi i to, na co go stać.

Napisał pan na FB, że kiedyś promocje w wojsku odbywały się w pełnym bojowym umundurowaniu, a dzisiaj – „w pantofelkach”, czyli w mundurach galowych. Czy to oznacza, że – przepraszam za słowo – wojsko straciło jaja?

– Szczerze? Na pewno jest w nim dzisiaj więcej marudzenia. Kiedyś podczas mianowania na pierwszy stopień oficerski żołnierze byli w hełmach – nikomu by nie przyszło do głowy, żeby nim rzucić do góry, tak jak dzisiaj z rogatywkami robią to świeżo upieczeni porucznicy.

Prawdopodobnie maszerują też gorzej od nas. Ale może się czepiam? Niektórzy mówią, że w wojsku pobudka jest o szóstej rano, bo to jest taka pora, że każdy obudzony najchętniej by wszystkich pozabijał. I rzeczywiście, armia kiedyś mocno hartowała ludzi. Odpowiednie przygotowanie, wymusztrowanie wymagało wewnętrznej dyscypliny.

I jasne, że liczą się intelektualne predyspozycje psychofizyczne, ale to, czego naprawdę nie znoszę w wojsku, to narzekanie i skargi. Media często rozpisują się o złym traktowaniu młodych żołnierzy w wojsku, że są zmęczeni, bo muszą biegać kilka kilometrów w słońcu!

Trudno to nawet skomentować – może po prostu warto powiedzieć, że służba w wojsku wiąże się z jakimś ryzykiem. Przed kursem ranger czy innymi szkoleniami, głównie w USA, podpisywałem zgodę na udział w szkoleniu o wysokim stopniu ryzyka.

Podobno odmówił pan stanowiska rzecznika do spraw wojska, bo nie był pan w stanie czytać skarg od żołnierzy.

– Świętej pamięci Janusz Kochanowski, kiedy był rzecznikiem praw obywatelskich, rzeczywiście zaproponował mi takie stanowisko, ale nie przyjąłem go, bo miałem wrażenie, że będę się zajmował sprawami mało istotnymi, takimi jak to, że w jakiejś jednostce kadra je z porcelanowych tale-



rzy, a zwykli żołnierze z melaminowych.

Zresztą w rozmowie z prof. Kochanowskim powołałem się na ten przykład. – Panie ministrze – powiedziałem. – Jak ja bym miał w jednostce takich żołnierzy, to bym ich wypieprzył do lasu na tydzień, nie dał jeść, tylko zostawił odpowiednią instrukcję bytowania.

A co by w niej było?

– To standardowa instrukcja wojskowa mówiąca o tym, że szczura można zjeść, byle nie ruszać ogona, bo jest tam strychnina, a dzdżownice nadają się do zagęszczania zupy. Że świnie najlepiej się kradnie „na haczyk”, bo wtedy nie kwiczy.

Instrukcja przetrwania dla żołnierza, którego zostawia się w środku niczego bez jedzenia i musi sobie jakoś poradzić. Spotykałem się do tej pory z szeregowymi, z którymi tę instrukcję realizowałem, i miło nam się wspomina stare czasy.

Teraz musielibyscie uważać, żeby żadne zwierzę nie ucierpiało. Pamiętam, że do szkoły oficerskiej przyjmowano w roczni-

ku 400 chłopów, a kończyło najwyżej 200. Połowa odpadała podczas ciężkiej służby i – uważam – że to było dobre, bo zostawali silniejsi.

A fala też jest OK? Tam często jest sadyzm. Albo sadystyczni przełożeni.

– Nie mieszajmy więziennej patologii z wojskową dyscypliną. Nie jestem zwolennikiem armii feudalnej, ale tej z wyboru.

Gdy kończyłem kurs ranger, testowano mnie na wszystkie sposoby: od głodzenia, pozbawienia snu do uderzania w kwestie godności. W każdej chwili mogłem zrezygnować i to ode mnie zależało, czy dam sobie poniewierać czy się postawię instruktorom. Prowokowali, testowali, a nie oczekiwali uległości.

To poniewieranie miało sens – było częścią programu szkoleniowego przygotowującego do przetrwania na terenie wroga.

Powtarzam, nie tylko fizycznie, ale także psychicznie. Teraz mniej więcej tyłu, ile rozpoczyna, tyłu kończy. I żeby nie opowiadać, że tak się działo tylko w komunistycznym wojsku w PRL-u, te same metody spotkałem na amerykańskim kursie rangersów czy kursie spadochronowym. Pani sierżant wówczas przepompała mnie, choć byłem oficerem.

Za co?

– Bo się głupio uśmiechałem, kiedy kilkakrotnie zwracała mi uwagę. Nabrałem do niej szacunku po sporej liczbie pompek. Kilka lat temu jedna z polskich pań podporucznik została ukarana sądowo za to, że przepompała maryna-

rza, który wykazał się wobec niej niesubordynacją i ją lekceważył.

Moim zdaniem to już nie jest służba wojskowa, tylko zwykły zakład pracy z odpowiednim kodeksem. Tylko nie nazywajmy tego armią.

Może ten przepompowywany marynarz uznał, że słuchanie rozkazów kobiet jest po prostu niemęskie?

– Jestem przekonany, że tak właśnie było. Pamiętam, kiedy wysłałem moją instruktorkę z GROM-u, żeby robiła kursy przetrwania dla pilotów, żołnierze skarżyli się na nią, że ich strasznie wymęczyła: „Po co nam jakieś kursy? Są uciążliwe i szkodzą naszemu zdrowiu”. Nie wiedząc o tym, że pilot bojowy po katapultowaniu się na terytorium wroga musi się nauczyć na nim przetrwać.

Co ciekawe, Amerykanie wtedy też krzywo patrzyli, że wysyłamy kobiety do akcji bojowych. Byli oburzeni. Ja wiedziałem, że dziewczynom się to należy za ich ciężką pracę, chociaż dalej miały ciężko, bo w czasie misji też nie były traktowane po partnersku.

Dlatego mocno wierzę w ideę równouprawnienia, a pierdolowatych mężczyzn pozbawiałbym stanowisk, także w armii. Denerwuje mnie najbardziej brak odpowiedzialności i nieumiejętność ponoszenia konsekwencji u obecnych generałów.

W szczególności, gdy zamiast generować rozwiązania, podrzucają problemy cywilnym przełożonym, bez wojskowego przygotowania. Stąd mamy żołnierzy na granicy pracujących jako żywe tar-

Dobrobyt jest zgubny dla męskości. Pierdołowatych mężczyzn pozbawiałbym stanowisk także w armii



Prezydent Lech Kaczyński popatrzył na mnie krytycznie, mierząc mnie od stóp do głów, i zapytał ze zdziwieniem: „I pan dowodził GROM-em?”. Poczulem to, co czują kobiety w armii

gen. Roman Polko

- komandos, dwukrotny dowódca GROM-u (2000-04 oraz luty-wrzesień 2006) doktor zarządzania. Kierował misjami wojennymi i stabilizacyjnymi m.in. w Kosowie, Afganistanie i Iraku. Doradzał prezydentowi Warszawy oraz szefowi MSWiA w sprawach zwalczania terroryzmu i bezpieczeństwa. Był zastępcą szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego.
- Aktualnie zaangażowany w prace prezydenckiej Rady Bezpieczeństwa i Obronności. Edukator i wykładowca akademicki. Współautor razem z żoną dr hab. Pauliną Polko książek o zarządzaniu: „Szefologia, czyli logika szefowania”, „Rozgromić konkurencję”, „Bezpiecznie już było, czyli jak żyć w świecie sieci terrorystów i ciągłej niepewności”, „Rozgromić kryzys” – o pandemii, wojnie, przewidywaniach na przyszłość i o tym, jak żyć.
- Ma czworo dzieci. Hobby: maraton, hokej i triathlon.

1. **Lubliniec, 12.08.2007. W czasie Biegu Katorżnika – ekstremalne 12 km przez wodę, bagna, rowy i błoto.**
2. **Od lat jest w Hokejowej Reprezentacji Artystów Polskich, z którą rozgrywa mecze w ramach akcji charytatywnych.**
3. **27.02. 2007. Na poligonie w Wędrzynie (Lubuskie) przed wylotem do Afganistanu.**
4. **Jest miłośnikiem kotów**

cze i ruską rakietę w Bydgoszczy znalezionej przez amazonkę.

Nie ma już pana w wojsku, ale widzę, że obserwuje pan uważnie wszystkie ruchy polskiej armii. Może po prostu w czasie pokoju wydawane decyzje nie muszą być aż takie ryzykowne. – Ale my nie żyjemy w czasie pokoju, a w korytarzach wojskowych między Polską a Ukrainą nie latają wyłącznie awionetki.

Przykład z ostatnich miesięcy: jeżeli jakiś wysoko postawiony generał w imieniu ministra obrony narodowej odpowiada za obronę powietrzną, to nie idzie się wypłakiwać w rękaw mediom, mówiąc: „Ale ja przecież mówiłem ministrowi”, tylko bierze odpowiedzialność za skutki swoich zaniechań, brak decyzyjności.

Uważam, że w takich sytuacjach jak ta z ruską rakietą pod Bydgoszczą, lepiej jest podjąć samodzielnie decyzję ze wszystkimi jej późniejszymi konsekwencjami, niż prosić przełożonego o zgodę.

Pierdołowatość powoduje, że ludzie nie robią tego, co jest słuszne. Obojętnie, czy to jest czas wojny, czy pokoju. Asekuranctwo nie popłaca, zawsze się zemści.

Przyznaję, że czasami – podczas misji w Afganistanie – łamałmy wojskowe procedury, żeby chronić cywilów. Przypominam sobie teraz odprawę z pewnym generałem amerykańskim, którego nazwiska litościwie nie wspomnę. Koniecznie chciał, aby priorytetem naszej misji była ochrona sił własnych, i domagał się informacji, jak ten cel będziemy realizować.

Ale my jesteśmy tu nie po to, żeby chronić własne siły, tylko żeby pomagać lokalnej ludzkości – powiedziałem mu i natychmiast otrzymałem poparcie pozostałych amerykańskich dowódców, którzy nie bali się powiedzieć czegoś prosto w oczy, w kontrze do oczekiwań swojego przełożonego.

I to jest dla mnie prawdziwa męskość. Każdy ma prawo się bać, ale nie można unikać odpowiedzialności i trudnych decyzji. Można sobie popłakać, ponarzekać i pomarudzić, ale w trudnych sytuacjach trzeba dawać ludziom w swoim otoczeniu poczucie bezpieczeństwa.

I może to być oddział na misji specjalnej, ale równie dobrze jest to rodzina w kryzysie, z chorym dzieckiem czy w innej trudnej sytuacji.

Skąd się wzięło to współczesne męskie rozmemlanie?

– Nie jestem psychologiem, mam jednak wrażenie, że we współczesnym świecie mężczyźni mają złudne poczucie wielości wyborów, ale tak naprawdę nie mierzą się realnie ze światem. Faceci nie przekraczają siebie w realny sposób. Zatrudniają się w jakiejś firmie, trochę zarobią, potem się zwolnią, idą do następnej pracy, nie myślą strategicznie o swoim życiu.

Pani uważa, że wojsko umacniało patriarchalny system, bo żołnierze, wracając z armii, tworzyli nierównościowe związki, ale może w tym współczesnym wojsku, na razie w czasie względnego pokoju, chodzi przede wszystkim

o walkę z samym sobą, ze swoimi ograniczeniami, przeciwnościami losu, narzekaniem, lenistwem.

Mężczyzna musi stanąć wobec wyzwań, pójść w świat, przetrwać, zasmakować obecności towarzysza broni. Dlatego ten wojskowy „buddy”, którego się miało w wojsku u boku, był tak ważny. Nawet w malowanej PRL-owskiej armii relacje między mężczyznami były niesłuchanie ważne.

Ludzie po prostu polegali na sobie, budowali poczucie bezpieczeństwa. Ja bardzo mocno cenię sobie dyscyplinę. Mam wciąż mój kapitański dziennik, w którym pisałem wszystko to, co mówiłem moim żołnierzom na odprawach. Lata minęły, a on ciągle jest aktualny.

Chyba szalenie trudno jest być wojownikiem w czasach prosperity ekonomicznej?

– Jak komuś się za dobrze żyje, to nie chce nic zmieniać w swoim życiu.

Dobrobyt jest zgubny dla męskości.

Uważam, że wystarczy pojechać za granicę, np. bez znajomości języka i pieniędzy, i spróbować tam sobie poradzić.

Niedawno spotkałem mego starego znajomego z podwórka. Był liderem, Boką z „Chłopców z Placu Broni”. Nie powiodło mu się w życiu, krótko mówiąc: stoczył się. Miał ogromne możliwości i wiele wyborów, ale nie miał pomysłu na siebie. Unikał wyzwań, szedł na skróty. Skończył na ławce z papierosem w zębach.

A propos podwórek: może to one zapewniały pokoleniowy trening życiowy?

– Mam dokładnie taką diagnozę. Moje całe życie upłynęło na podwórku. Organizowałem olimpiady podwórkowe, wybijałem piłką szyby w oknach, za które płacili wtedy rodzice. Wyobraża pani sobie teraz taką sytuację na strzeżonym zamkniętym osiedlu?

Podwórko uczyło nas wszystkiego: podejmowania ryzyka i licyzowania się z jego konsekwencjami, nawiązywania relacji i ich podtrzymywania (lub kończenia), dowodzenia i bycia podwładnym, kłamania i mówienia prawdy, układania się z innymi, ale także buntu i wolności. Wiele z tych dziecięcych zabaw zaimplementowałem potem w wojsku.

Moje dzieci nie rozumieją już np. narracji wspomnianych „Chłopców z Placu Broni”, dramatu Nemeczka czy nawet przygód Mikołajka. Musiałem im tłumaczyć, że my naprawdę na podwórku musieliśmy się bronić, np. przed okradaniem nas przez dzieci z sąsiednich podwórek.

Miałem trening podwórkowe go bicia się i dlatego, kiedy pojechałem do USA, miałem spory problem z Amerykanami, którzy po prostu nie umieli się bić. Byli z Teksasu, pewnie świetnie strzelali z rewolweru, ale w walce na pięści byli słabi.

Dzisiaj w przestrzeni wirtualnej toczą się między dziećmi o wiele bardziej – bo są multiplikowane i trwają w nieskończoność – groźne bitwy.

Mają o wiele groźniejsze konsekwencje niż guz na głowie czy zakrwawiony nos.

I to oczywiście wina nas, dorosłych. Nie jesteśmy w stanie znieść dzieci grających na podwórku w piłkę, ale nikomu nie przeszkadza

dzają nocne libacje przy głośnej muzyce czy grill na balkonie.

Owszem, czasem nasze podwórkowe zabawy nie były zbyt mądre. Skakaliśmy nad kozłem z ostrym mieczem. To, że się nikt nie poślizgnął i nie nadział na ten miecz, uważam za cud.

Klucza do domu na szyi nie nosilem, po prostu wspinałem się na trzecie piętro. Pamiętam też, że mama jednego z kolegów w ósmej klasie zabroniła mu zabawy z „chuliganami”. Zakładała mu na szyję szaliczek, żeby się nie przeziębził. Mężczyzna, który nie zdejmie tego szaliczka, nigdy się nie wyzwoli.

No dobrze, bunt buntem, szaliczek szaliczkiem, ale kiedyś – jako dorosły, odpowiedzialny facet – trzeba wejść w system.

– To prawda. I to jest kolejna część historii, bo jeżeli ma się 30 lat i jako mężczyzna nie umie się funkcjonować w systemie rozumianym jako społeczeństwo, to znaczy, że nie ma się rozum.

Ja wykorzystałem mój energetyczny młodzieńczy bunt w szkole oficerskiej do zbudowania podmiotowości, znalezienia sposobu na swoje życie, ale ta potrzeba zbudowania swojej perspektywy pojawiła się u mnie gdzieś w trzeciej klasie liceum.

Zadalem sobie wtedy pytanie: „Co ja będę robił, kiedy będę dorosły?”. Obawiam się, że dzisiaj na zadawanie takich pytań jest... zbyt bezpiecznie. Ludzie nie muszą się martwić o przyszłość, bo mają niezłą sytuację materialną.

Trudno im w związku z tym wziąć odpowiedzialność za siebie, nie mówiąc już o drugiej osobie. Dlatego trudno też młodym ludziom wchodzić w długoterminowe związki.

Może dlatego, że nie stać ich na mieszkanie

– Po przeniesieniu Jednostki Komandosów z Dziwnowa do Lublińca kadra mieszkała w salach żołnierskich z kaflowymi piecami. Żadnych wygód. Ale to nas motywowało. Nie stać mnie na mieszkanie, to szanuję swoją pracę, bo ona pozwoli mi wynająć godne lokum, a w perspektywie lat kupić i je wyposażyć.

Nie ma pan wrażenia, że sporo mężczyzn niepotrzebnie pakuje swoją energię, szczególnie w przestrzeni wirtualnej, w dowanie kobietom i kreowanie siebie jako najbardziej szego i osoby dyskryminowanej przez matriarchat.

– Mężczyzna, który jest pierdołą, nadal chce, żeby to kobieta mu służyła, i nie ma w tym nic nowego jak tylko ogrzewanie na nowym ogniu starego kotleta patriarchy. W dodatku niektórzy faceci uwielbiają oskarżać kobiety o swoje błędy i nieudane życie. I to jest zjawisko powszechne. Brak męskości jest szukaniem dokoła winnych tego, że mnie się nie udało.

Najczęściej – oczywiście – winna jest kobieta, a nie on sam i jego kiepskie decyzje. Kobiety – w przekonaniu niektórych mężczyzn – są też winne temu, że mężczyźni mniej zarabiają. Nawet jeżeli facet jest w związku z taką kobietą i korzysta z tych zasobów, i tak jest niezadowolony.

Trudno jest się pogodzić z myślą: „Kobieta jest ode mnie lepsza”.

Mężczyzna jest więc na nią wściekły, a że zwykle jest od niej fizycznie silniejszy, mamy wciąż wiele przemocy wobec kobiet.

Dobra rada dla mężczyzn, jak – nic nie tracąc ze swojej męskości – uznać, że kobieta jest od nich lepsza?

– W partnerskim układzie, z równowagą sił, naprawdę żyje się o wiele lepiej niż w takim, w którym jest potrzeba ciągłego udowadniania, kto jest lepszy. Jeżeli chce się w nim dobrze funkcjonować, trzeba być odpowiedzialnym i wspierać drugą stronę. Kobiety oczekują od facetów poczucia bezpieczeństwa i oni są im zobowiązani je dać.

A może dziś już nie oczekują? Może i kobiety, i mężczyźni oczekują tego od siebie nawzajem?

– Bezpieczeństwo ma wiele wymiarów, nie tylko ten najpopularniejszy, fizyczny, którego zapewnianie tradycyjnie przypisuje się mężczyznom. Chociażby bezpieczeństwo ekonomiczne – dziś w większości związków budują je obie strony, bo zazwyczaj obie pracują.

Więc tak – oczekiwanie zapewnienia bezpieczeństwa jest dzisiaj wzajemne, ale to nie zwalnia mężczyzn z odpowiedzialności.

Założmy, że ma pan w drużynie 20 współczesnych nastolatków. Co by pan z nimi zrobił, żeby chociaż otarli się o poczucie męskości?

– Najlepsze zasada to „follow me”. I to bym doradzał współczesnym rodzicom. Dzieci naśladują starszych. Widzę po moich dzieciach: ja się dużo ruszam i dużo pracuję, one także mają podobne nawyki. Przecież w wieku 50 lat nauczyłem się jeździć na łyżwach, żeby brać udział w charytatywnych meczach hokejowych.

Szkoliłem żołnierzy i wiem, że bardzo ważny jest dobry przykład. Dlatego nauczyciel WF-u wymagający wymyku na drażku sam musi zrobić takich co najmniej dziesięć.

Ważne jest w kontaktach z młodymi ludźmi, żeby nie być drobiazgowym, nie czepląc się mocno indywidualnych elementów, bo siła teamu tkwi także w różnorodności, o czym się wielokrotnie przekonałem.

Nie jestem zwolennikiem zamordyzmu, każdy ma prawo do zachowania swojej tożsamości. Niesłuchanie ważna jest także komunikacja – niestety, grzechem pokolenia, które mnie wychowało, było traktowanie nas przedmiotowo (dziecko jest głupsze od dorosłego).

Tymczasem ja się od swoich dzieci bardzo dużo uczę – i to też uważam za bardzo dobrą cechę. Ostatnio miałem z moją nastoletnią córką długą dyskusję o tym, że wcale nie jestem taki otwarty, jak mi się wydaje.

Przyjąłem z pokorą. Oboje z żoną dużo rozmawiamy z dziećmi. Przyjętą przez nas zasadą jest, że kiedy dzieciaki przychodzą do nas, natychmiast odkładamy całą elektronikę, którą mamy przy sobie, a na rozmowy wykorzystujemy każdą wolną chwilę.

Wracając do tego teamu 15-latków: ważne jest zachęcanie ich do podejmowania wyzwań, ale umiejętnie. Ma to wynikać z ich inicjatywy, a nie być boomerskim wierceniem dziury w brzuchu. ●

Wszyscy jesteście Aryjczykami

EUROPEJCZYCY SĄ WYJĄTKOWI



Nikt nigdzie indziej na świecie nie naruszył tak bardzo tego fundamentu naszej biologicznej i kulturowej natury

Marcin Ryszkiewicz

Indie jako alternatywna Europa to brzmi jak oksymoron, bo z Europą zupełnie się nie kojarzą – wręcz przeciwnie. Trudno o większe przeciwieństwo.

Indie to setki przeróżnych języków (nikt nie wie, ile ich jest; wyspecjalizowana instytucja Ethnologue wymienia 460 z sześciu głównych rodzin językowych). Dla porównania: w Europie, poza baskijskim i ugrofińskimi, jest właściwie tylko jedna rodzina językowa. Podobnie wygląda sprawa religijności Hindusów – sześć głównych (i ogromna ilość pomniejszych) religii plus idąca w tysiące liczb

ba czczonych w hinduistycznym panteonie bóstw. W Europie można mówić o absolutnej dominacji jednego Boga, również jeśli włączymy do „nas” muzułmanów z Bośni i Albanii, aszkenazyjskich i sefardyjskich Żydów oraz wyznających islam świeżej daty migrantów.

To samo dotyczy narodów i grup etnicznych. W Indiach dokładna ich liczba jest nie do ustalenia, ale można mówić o setkach, jeśli nie tysiącach, należących do kilkunastu etnolingwistycznych kategorii. Nadzwyczaj zróżnicowany jest też poziom kulturowy tej populacyjnej mozaiki – od Adamańczyków z wyspy Sentinel, którzy w zasadzie nie zmienili się od tysięcy lat, po najbardziej zaawansowane technologicznie na świecie enklawy Bengaluru.

Indie to też niepojęty dla nas system kast, których liczba jest, znów, nieokreślona i waha się od czterech do kilkunastu tysięcy – tę sprawę, jako kluczową, zostawimy sobie na później. Za to politycznie (to kolejny paradoks) Indie stanowią jeden kraj z jedną stolicą, gdy w Europie jest tych krajów (i stolic) kilkadziesiąt.

Najludniejszy kraj świata (Indie właśnie przeskoczyły Chiny) i jeden z najbardziej zaawansowanych technologicznie na

• **Indie. Kalie puja, czyli święto ku czci bogini Kali. Tradycyjnie obchodzone podczas nowiu 31 października. Ręcznie kolorowany drzeworyt z XIX w.**

FOT. AKG / NORTH WIND PICTURE ARCHIVE/EAST NEWS

świecie to zarazem kraj o niewyobrażalnych różnicach między biedą a bogactwem i największą pod względem ludności demokracją na świecie. Trudno o większy kontrast z ustawkowaną, sytą, racjonalną i trochę nudną Europą. Ale przy tym Indie to alter ego czy może raczej alternatywna wersja Europy.

Jesteśmy jak jednojajowe bliźnięta rozdzielone po narodzinach i niepamiętające nawet o wspólnym poczęciu. Co z tego dla nas wynika?

Zacznijmy od podobieństw i geografii. Europa i Indie to w istocie ogromne półwyspy Eurazji – my na zachodzie, one na południu. Oba – porównywalnej zresztą wielkości – oddzielone są od Azji górami: Uralem i Kaukazem lub Himalajami. Te góry stanowią szwy, wzdłuż których oba półwy-

spy przyłączyły się kiedyś do Azji, bo przez długi czas stanowiły odrębne geologicznie byty.

Narodziny koncepcji tej wspólnoty losów można wyznaczyć na rok 1786 (choć były wcześniejsze próby), kiedy to William Jones, angielski filolog, orientalista i sędzia sądu najwyższego w Kalkucie ogłosił, że sanskryt, greka i łacina wykazują wiele uderzających podobieństw. Starożytna łacina i sanskryt już wymarły, ale mają bogatą spuściznę pisaną i przetrwały do dziś jako języki sakralne. Ich porównywanie dla kogoś, kto zna oba, nie jest więc trudne, ale odnalezienie tylu podobieństw musiało być szokiem: starożytne hinduskie teksty mówiły do współczesnego Europejczyka językiem, który we wszystkim – słownictwie, gramatyce, składni – wydawał się dziwnie znajomy.

Aby zrozumieć zaskoczenie Jonesa, porównajmy tylko brzmienie liczebników od 1 do 10 w sanskrycie i łacinie:

- 1: *éka* – *unus*
- 2: *dvi* – *duo*
- 3: *trí* – *tres*
- 4: *catúr* – *quattuor*
- 5: *pañcan* – *quinque*
- 6: *sás* – *sex*

7: *saptán* – *septem*

8: *astá* – *octo*

9: *návan* – *novem*

10: *dása* – *decem*

i na dodatek:

sto – *śata*

Jones pisał: „Sanskryt ma cudowną strukturę; jest bardziej doskonały niż greka, bogatszy niż łacina i bardziej wyrafinowany niż te dwa, a przy tym tak wyrażnie spokrewniony z oboma, że nie sposób sprowadzić tego do przypadku. To podobieństwo jest tak wielkie, że każdy filolog musi przyznać, że wszystkie kiedyś wyłoniły się ze wspólnego źródła”. Mamy więc trzech potomków i wspólnego przodka – to jawnie ewolucyjne stwierdzenie znalazło, po z górą półwieczu, niemal lustrzane odbicie w rozumowaniu Darwina i Wallace’a!

Jones wskazał nawet tego przodka – co prawda nie dla sanskrytu i łaciny, ale dla wszystkich języków, które z sanskrytu ewoluowały. To Ariowie, o których Wedy – prastare sanskryckie święte pisma hinduizmu – nieraz wspominają i którzy mieli podbić północno-zachodnie Indie, a potem podporządkować znaczną część subkontynentu. Jones nazwał to wydarzenie „aryjską inwazją”. I choć w jego czasach musiało brzmieć to nieprawdopodobnie (a po latach złowróźnie), niedawno okazało się, że nad wyraz dobrze opisywało nie tylko narodziny indyjskiej cywilizacji, ale też jej bliźniaczego odpowiednika w Europie. A już zupełnie niedawno, bo w XXI wieku, to samo potwierdziły badania genów – tych współczesnych i tych kopalnych. Tak wyłonił się kolejny element puzzla: nie tylko „sfosylizowane” słowa, ale także kopalne geny ukazywały wspólnotę tak odmiennych dziś ludów.

Ale podobieństwo słów to nie wszystko, równie ważne są historie, które moż-

Łańcuch Uralu nie odcina w pełni Europy, gdyż nie sięga gór Azji Środkowej – na południu wypłaszcza się, pozostawiając bramę łączącą obie części superkontynentu. Ekologicznie to miejsce szczególne – na północ rozciąga się tajga z jej bezkresnymi lasami szpilkowymi, na południe – góry i wyżyna Tybetu, prawdziwy dach świata, dwa niezwykle trudne dla ludzi ekosystemy. A pośrodku rozciąga się Wielki Step, coś jak gigantyczna autostrada łącząca Mongolię na wschodzie z Kotliną Panońską już na terenie Europy Środkowej, zamieszany przez tysiące lat przez bardzo mobilne ludy pasterskie, które odegrały kluczową rolę w zasiedleniu obu subkontynentów. I to właśnie jeden z tamtejszych ludów spaja jak klamrą początki naszej historii w jedną indoeuropejską całość. Wtedy jeszcze te dzieje mogły się potoczyć niemal równoległymi szlakami.

Step to teren otwarty, porośnięty trawami i pod tym względem przypomina naszą afrykańską kolebkę – sawannę. Ludzie zawsze takich terenów poszukiwali lub je tworzyli. Tyle że ten azjatycki step jest skrajnie suchy, a ludzie bez wody żyć nie mogą. Nie docierają tu masy wilgoci znad oceanów, zatrzymywane po drodze przez góry lub po prostu ogromne odległości. Ten brak wilgoci sprzyja z kolei skrajnym temperaturom: lata są tu upalne, zimy mroźne. A roślinność jest uboga – brak drzew, a nawet krzewów owocowych, przeważają trawy rosnące na zasolonych glebach.

Dla dużych ssaków to warunki skrajne, na które ewolucja znalazła odpowiedź tylko w kilku przypadkach. Przykładem jedyna azjatycka antylopa zwana suhakiem (sajgą) o charakterystycznym wybrzuszonym nosie czy mongolskie wielbłądy dwugarbne. Dla zwierząt hodowlanych (owiec, kóz, bydła) to warunki nie do zniesienia, dla ich opiekunów też. Step więc z jednej strony

ści ekspansji. Zasiadziali na swoim rolnicy przeobrazili się w pozostających w wiecznym ruchu nomadów.

W literaturze anglojęzycznej ci pierwsi stepowi koczownicy nazywani są Yamnaya, podobnie jak ich kultura zwana po polsku kulturą grobów jamowych, gdyż swych znaczących zmarłych grzebali w prostych dołach przysypanych pagórkami ziemnymi – kurhanami. Słowo „yamnaya” używane jest jednak także w znaczeniu przymiotnikowym i w odniesieniu do ludu, co już na polski nie da się łatwo przełożyć („jamowcy”?), dlatego zostaniemy przy tym już dobrze ugruntowanym w literaturze określeniu.

Ta zwielokrotniona mobilność ludzi pociągnęła za sobą zasadnicze przemodelowanie struktury społecznej, sposobów sprawowania władzy, wierzeń, stosunków między płciami i różnymi kategoriami wiekowymi.

Jak to się jednak stało, że jeden niezbyt liczebny lud stepowy, w dodatku oddalony od dzisiejszej Europy i Indii, dał początek niemal wszystkim narodom europejskim i wielu indyjskim i irańskim, kładąc kres rozwijającym się tam od tysiącleci bogatym i zasobnym populacjom, budowniczym monumentalnych megalitów na Zachodzie, twórcom wyrafinowanej sztuki na Wschodzie (Cucuteni-Trypole na terenie dzisiejszej Rumunii i Ukrainy) oraz cywilizacji doliny Indusu na pograniczu Indii i Pakistanu? Co pchnęło ich do tak zuchwałych podbojów, jaka potężna broń zapewniła im tak oszałamiające sukcesy?

Odpowiedź mieści się w jednym słowie: *kóryos*.

W starych podaniach i mitach indoeuropejskich – germańskich, celtyckich, słowiańskich, litewskich, greckich, rzymskich,

podbojów, mogła przekierować zagrożenie na zewnątrz i obrócić obecność tej stałej kohorty młodych buntowników na swoją korzyść. Tak narodziła się idea i praktyka *kóryos*, ludzkich wilków, z którymi ci groźni młodzieńcy zostali utożsamieni i z którymi sami się identyfikowali.

Pomysł, nie całkiem oryginalny, bo obecny też u współczesnych (także koczowniczych) Masajów, polegał na usunięciu młodzieńców na okres ich dojrzwania poza obręb – rozumiany dosłownie i w przenośni – ich własnych społeczności, by mogli się wyszaleć. Byli nie tylko wyrzucani poza granice aktualnie zajmowanego przez grupę terytorium, ale też zdejmowano z nich obowiązujące „w domu” ograniczenia: mogli, a nawet powinni, kraść, zabijać (zwierzęta, ale też ludzi), gwałcić.

W przekazach mitologicznych, ale i tekstach pisanych Indoeuropejczyków, motyw wilków (i psów) utożsamianych z brutalnością, agresją i śmiercią jest powszechny, by wspomnieć tylko o Cerberze strzegącym świata umarłych. Jak bardzo owe hordy wyjętych spod prawa, ale na swój sposób użytecznych *kóryos* budziły grozę pomieszaną z podziwem, ukazuje lęk wzbudzany do dziś u mieszkańców Europy przez wilki, w gruncie rzeczy niezbyt groźne dla ludzi drapieżniki. Opowieści o ludzkich wilkach – wilkołakach – to stały i powszechny motyw u wszystkich właściwie Indoeuropejczyków. Jak pisze Razib Khan, amerykański genetyk i bloger, „*Kóryos* to najdzikszy element w dziejach, jaki został spuszczone ze smyczy, by podbijać świat”.

Nie mogąc poskromić niezaspokojonych popędów na swoich, *kóryos* wyladowywali je na obcych. Nie mamy oczywiście bezpośrednich dowodów, ale w ostatnich latach dużo potrafi o tym powiedzieć archeogenetyka. To niesłychana kariera męskich chromosomów Y w Europie – dziś te indoeuropejskie (R1a i R1b) absolutnie zdominowały te lokalne, zwłaszcza na terenach wschodniej i północnej Europy, dokąd lud Yamnaya przybył najwcześniej.

Dane ze wczesnych szkieletów indoeuropejskich i w Europie, i w Indiach pokazują, że o ile zdobywcy zawsze wykazują genetyczne związki ze stepem, o tyle ich żeńskie towarzyszkis są zwykle miejscowe. Opublikowana w 2015 roku praca pokazuje, że – po pierwsze – ekspansja zarówno R1a, jak i R1b była na zajmowanych terenach Europy i Indii błyskawiczna, tak że w obu tych chromosomach brakowało czasu na gromadzenie się nowych mutacji; i że – po drugie – z porównania chromosomu Y i mtDNA (matczynego) wynika, że przez pierwsze dziesiątki pokoleń po podbojach na każdego z przybywających na nowo zdobywane tereny wojownika przypadało średnio ponad 10 kobiet rodzących jego dzieci.

Ta niezwykła asymetria – dominacja bardzo nielicznych haplotypów chromosomu Y i ogromna mnogość ich żeńskich odpowiedników – jest uderzająca i wskazuje na asymetrię stojących za nimi płci. Przybyli z zewnątrz, stosunkowo nieliczni najeźdźcy płodzili dzieci z nieporównanie liczniejszymi, miejscowymi kobietami, a ślad owych podbojów do dziś jest czytelny w chromosomach Y i mtDNA mieszkańców obu subkontynentów.

Ale o ile najeźdźcy ze stepu gustowali w miejscowych kobietach, o tyle los lokalnych mężczyzn był nie do pozazdroszczenia. W opublikowanej w 2019 roku pracy duńskiego archeologa Kristiana Kristiansena dotyczącej paleogenów ze stanowisk na terenie Jutlandii wynika, że już pierwszy kontakt miejscowych i najeźdźców skończył się dla tych pierwszych prawdziwym ludobójstwem – chromosomy Y i ich geny znikają nagle z zapisu, jakby ich w ogóle nie było.

Badane przez Kristiansena groby ujawniają coś jeszcze: owe wczesne mieszanne społeczności w Jutlandii były nie tylko patriarchalne, ale także patrylinearne, oparte na pozostających „w domu” mężczyznach

Pomysł polegał na usunięciu młodzieńców na okres ich dojrzwania poza obręb ich własnych społeczności, by mogli się wyszaleć. Zdejmowano z nich obowiązujące „w domu” ograniczenia: mogli, a nawet powinni, kraść, zabijać, gwałcić

na z nich ułożyć. Indoeuropejczycy wytworzyli nieskończoną liczbę mitów, a niektóre z nich, dzięki pisanim tekstom lub ludowym przekazom, przetrwały do naszych czasów. Indoeuropejska mitologia porównawcza, oparta na świętych księgach wedyjskich i irańskich, celtyckich i normańskich sagach, germańskich pieśniach czy słowiańskich podaniach, stanowi niewyczerpane źródło wspólnych motywów i założeń czerpiących z jakichś odległych w czasie wzorców.

Struktura niektórych mitów jest tak podobna, że nie sposób uciec od przekonania o wspólnocie ich pochodzenia. Tak jest z mityczną figurą bóstwa związanego z piorunem, walczącego z wielogłowym wężem, którego śmierć uwalnia powstrzymywane wcześniej wody, czy z wiarą w istnienie Innego Świata lub Świata Umarłych, do którego dostęp wymaga przeprawy przez rzekę w miejscu strzeżonym przez psa.

Skąd się wzięli Ariowie? Czy dotarli też do Europy? Tu trzeba wrócić do geografii. Izolacja Indii i Europy w jednym tylko miejscu ulega zatarciu i ono jest kluczem dla tej opowieści.

kusi, z drugiej – odstrasza.

Przez wiele tysiącleci na Wielkim Stepie nie było więc ludzi, bo nie mogliby tam przeżyć. Mieszkaliśmy jednak w dolinach rzek przepływających przez step z północy na południe. Na żyznej glebie (słynne ukraińskie czarnoziemy) uprawiali żyto i proso i hodowali zwierzęta – owce, kozy, krowy. Wśród tej ludności byli protoindoeuropejczycy, którzy później zawładnęli połową świata.

A stało się tak za sprawą dwóch wynalazków, które całkowicie odmieniły możliwości bytowania ludzi na stepie. Jednym było udomowienie koni, drugim – wynalezienie poruszających się na kołach wozów.

I choć prawdopodobnie oba nie wywodzą się ze stepu, tam zostały szybko przejęte i zrobiły oszałamiającą karierę. To dzięki nim niedostępne obszary stanęły przed ludźmi otworem, a Wielki Step stał się autostradą, po której w obie strony zaczęły przemierzać niepoliczalne zastępy jeźdźców i ich dobytku. Przed ludźmi, których świat ograniczony był brzegami rzecznych dolin i którzy w ciągu życia rzadko je przekraczali, otworzyły się nieograniczone możliwości

ormiańskich, w Wedach i irańskiej Aweście – znaleźć można ślady tego pojęcia, oznaczającego bandy młodych mężczyzn i chłopców, zjednoczonych więzami ślepego posłuszeństwa, wyjętych spod praw społeczeństw, z których wyszli, kierujących się zwierzęcymi instynktami, o wilczej naturze, nieznających strachu ani bólu. To oni, jak się zdaje, stanowili budzącą grozę osiadłych mieszkańców Europy i Indii forpocztę idących za nimi zastępów.

Kłopoty z dorastającymi młodymi mężczyznami wynikają z naszej biologii nie dostosowanej do wymogów społeczeństw. Osiągamy dojrzałość płciową (u obojga płci) sporo wcześniej, niż dojrzwamy społecznie i zakładamy rodziny. Te kilka lat „po między” to okres szczególnie groźny i niebezpieczny – biologia pcha młodych mężczyzn do często ryzykownych, awanturniczych, burzących ustalony porządek zachowań, które w dużej mierze określić można jako „godowe”. Takie zachowania w przyrodzie są niemal zawsze domeną samców, tyle że tylko u nas przypadają one na ów feralny okres, gdy stają się groźne dla społeczeństw, w których młodzieńcy dojrzwewają.

Ale społeczność, przed którą step właśnie otworzył wrota do nieskończonych

i przychodzących z zewnątrz kobietach. Badania izotopowe zębów pokazują, że o ile mężczyźni wychowywali się w miejscach, w których znajdują się ich groby (i wszyscy w danej społeczności mieli te same warianty Y), o tyle kobiety pochodziły z oddalonych obszarów, w dodatku bardzo zróżnicowanych. Co więcej, obie płcie różniły się też dietą – kobiety odżywiały się na modłę rolników, ze znacznym udziałem skrobi, mężczyźni pozostawali przy przywiezionej ze stepu mięsnej diecie.

Choć i Indie, i Europa doświadczyły najazdów z Wielkiego Stepu, to najeźdźcy nie byli do końca ci sami, a i najazdy nie odbywały się w tym samym czasie. Lud Yamnaya ruszył najpierw na zachód i do Europy zawitał około roku 2800 p.n.e. Tu spotkał rozliczne osiadłe społeczności rolnicze, a efektem tych spotkań były niemal zupełna anihilacja lokalnych kultur (Khan nazywa to zagładą neolitycznej Europy) i powstanie mieszanej genetycznie i kulturowo społeczności, która w materiale archeologicznym określana jest jako kultura ceramiki sznurowej.

Genetycznie dominują w niej męskie wpływy stepowców i żeńskie rolników, kulturowo to kontynuatorzy Wielkiego Stepu, co wiązać zapewne trzeba z patrylinearną, patrilokalną i patriarchalną strukturą Yamnaya, w której to mężczyźni pozostawali na miejscu, tworząc struktury klanowe, a przychodzące z zewnątrz i z różnych okolic kobiety nie były w stanie stworzyć równorzędnej pod względem językowym i kulturowym przeciwwagi. Efekty odczuwamy do dziś – genetycznie jesteśmy konglomeratem trzech faz i fal kolonizacji (najstarszej – i najbardziej zróżnicowanej – łowców i zbieraczy, pośredniej – rolników przybyłych z Anatolii, i najmłodszej – koczowników ze stepu), ale pod względem językowym wszyscy, z wyjątkiem Basków i ludów ugrofińskich, jesteśmy Indoeuropejczykami. Dawne języki Europy, zapewne bardzo liczne, zanikły zupełnie.

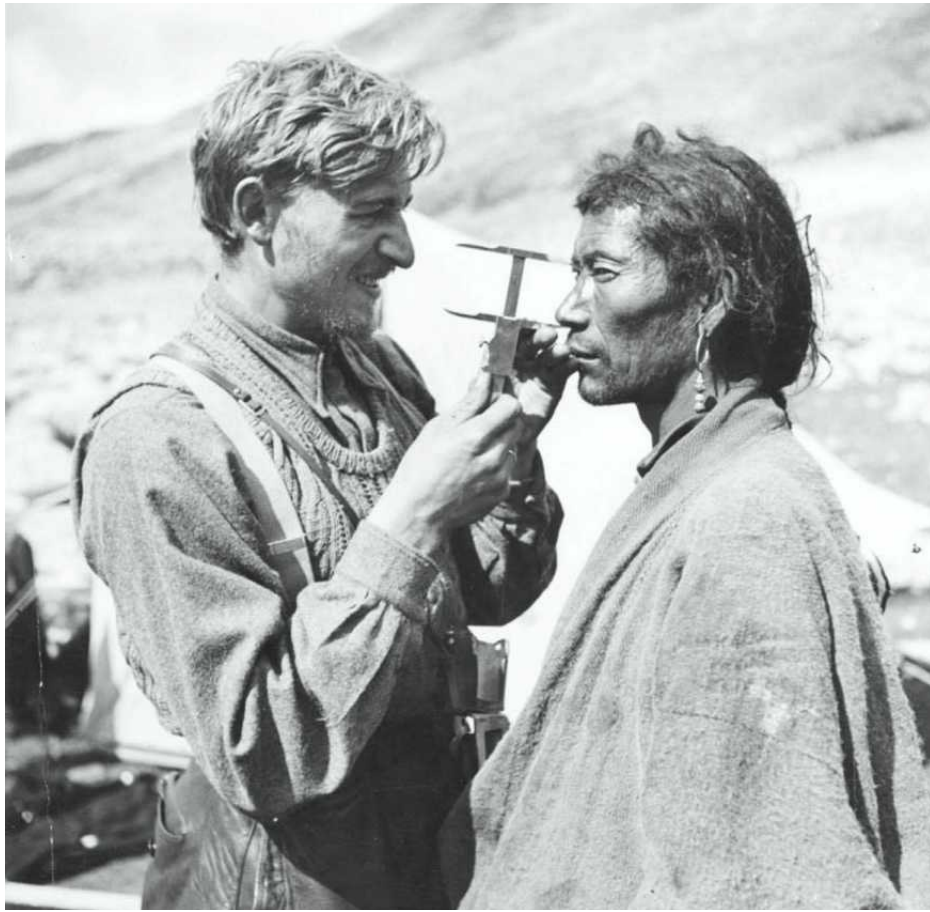
Do Indii i Iranu nie przybyli jednak Yamnaya, ale Ariowie, których kolebką na stepie był spokrewniony z Yamnaya, lecz odrębny lud kultury nazywanej Sintaszta. Zaszło to też o cały tysiąc lat później niż w Europie, zapewne dlatego, że do „nas” prowadziła owa stepowa autostrada, a Indie i Iran oddzielały od stepu wysokie i trudne do przebycia pasma górskie.

Ta kilkusetletnia zwłoka pozwala tłumaczyć trudne do zrozumienia zjawisko, jakim jest bliższe podobieństwo do sanskrytu języków słowiańskich i bałtyjskich niż pozostałych języków indoeuropejskich Europy. Otóż lud Sintaszta nie wywodzi się wprost od Yamnaya, ale od tej ich części, która przybyła wcześniej do Europy, zmieszala się z tutejszymi rolnikami, a później niektóre jej populacje wróciły na wschód, gdzie na terenie Kazachstanu dały początek kulturze Sintaszta – a w końcu nielicznymi przełęczami dotarli do Indii i Iranu.

Dlatego nie tylko bliższe podobieństwo sanskrytu do języków północno-wschodniej Europy niż tych zachodniej i południowej, ale też większe powinowactwo męskich chromosomów Y – R1a – u wschodnich Europejczyków i Indusów (zwłaszcza braminów), a dalsze R1b u mieszkańców Europy Zachodniej i Południowej.

A skoro o braminach mowa, pora przyjrzeć się największej osobliwości Indii – kastom.

Ile jest kast w Indiach? Na to pytanie nikt nie zna dokładnej odpowiedzi, a ta, którą można najczęściej usłyszeć, jest fałszywa. Zwyczajowo pada: cztery. To bramini, kszatrija, wajśja i śudra, co z grubsza odpowiada pozycji społecznej i zawodom: bramini to duchowni i osoby „dobrze urodzone”, kszatrija to wojownicy, wajśja to kupcy, rzemieślnicy i – zwykle – mieszkańcy miast, a śudra to chłopci i osoby utrzymujące się z pracy na roli. W tym sensie to podział przypominający do złudzenia struk-



• **Niemiecki antropolog i kapitan SS Bruno Beger (1911-2009) prowadził w Tybecie w latach 1938-39 badania antropometryczne. Zgodnie z nazistowską ideologią na podstawie takich pomiarów określano czystość rasową**

turę społeczną w Europie, przynajmniej w ujęciu historycznym.

Georges Dumézil, francuski historyk i wielki znawca indoeuropejskiego dziedzictwa, głosił tak zwaną hipotezę trójfunkcjonalną, wedle której tak rozumiany system kastowy był właściwy dla wszystkich Indoeuropejczyków (i tylko dla nich), nawet jeśli w Europie nie mówi się o kastach, a ich odpowiedniki nazywa się duchowieństwem, szlachtą, rzemieślnikami i chłopami. Dumézil tę trójczłonową strukturę widział też w mitach indoeuropejskich – Germanów, Celtów, Rzymian, Greków, ale także Osetyjczyków, Ormian i – oczywiście – Indusów i Irańczyków, a więc wszystkich posługujących się językami indoeuropejskimi i indoiraniskimi i wywodzącymi się od wspólnych przodków.

Ten podział na sferę sakralną, wojskową i wytwórczą (te trzy kasty łączy się z Ariami, czwarta – śudra – została włączona później z miejscowych rolników, a poza systemem kastowym pozostali inni miejscowi, „niedotykalni”, czyli dalici), tak charakterystyczny dla społeczeństw indyjskiego subkontynentu, jest więc zupełnie zrozumiały dla ludności Europy, co zresztą wykorzystali Brytyjczycy, którzy podbiwszy Indie, nie tylko uznali panujący tam system, ale wręcz go wzmocnili i na nim oparli swe rządy, faworyzując w szczególności braminów.

Jasne, Anglikom mogło zależeć na utrzymaniu w Indiach systemu kastowego, zwłaszcza że u siebie mieli bardzo podobny. Nie znaczy to jednak, by to oni za niego odpowiadali, jak wielu dziś twierdzi, lub byli winni jego wynaturzeniom. Dopiero badania genetyczne, możliwe od niedawna, mogły rozstrzygnąć ten spór, pokazując, czy endogamia (wsobność) w obrębie kast to kwestia ostatnich stu, czy raczej wielu setek, a może wręcz tysięcy lat. I ten spór zo-

stał rozstrzygnięty – akurat w tym przypadku Anglicy niczemu nie zawiniли.

A zresztą osobliwością Indii nie są te cztery kasty, tak podobne do europejskich. Indie są zupełnie wyjątkowe, bo liczebność ich kast sięga tysięcy!

Jak to możliwe? Otóż cztery wymienione – od braminów po śudra – to tak zwane warny, wspominane już w Wedach i – jak widzieliśmy – wspólne ludom indoeuropejskim. Wyznaczają one raczej status społeczny, a ich mityczny czy sakralny charakter to późniejszy naddatek. Ale poza warnami w Indiach każdy (prawie) jest też członkiem jednej z niezliczonych kast zwanych dżati, wyróżniających się zwykle językiem lub dialektem, miejscem zamieszkania (czasem to tylko kilka wiosek lub wręcz jedna), wykonywanym zawodem, ubiorem, kuchnią i wielu innymi elementami nadającymi ludziom odrębną tożsamość i miejsce w społeczeństwie.

A przede wszystkim zapewniającym społeczności trwanie i stabilność – małżeństwa zawierane są niemal wyłącznie w obrębie dżati (nawet gdy różne dżati należą do tej samej warny), a endogamia jest, a w każdym razie była do niedawna, niemal stu-procentowa. Możesz być wajśja, kszatrija lub braminem, lecz należysz też do określonej dżati, i to w obrębie niej toczy się twoje życie, i to ona w pełni określa twoją tożsamość.

Liczebność dżati jest trudna do ustalenia po części dlatego, że jest ich tak wiele, po części – bo same bywają jeszcze dzielone na mniejsze struktury (subdżati). W oficjalnych cenzusach liczbę dżati określa się na blisko 3000, ale wraz z niewiele różniącymi się od nich subdżati ta liczba rośnie do dziesiątków tysięcy.

Jeśli porównamy trzy wielkie populacje i cywilizacje euroazjatyckie: chińską, indyjską i europejską na najbardziej ogólnym, genetycznym poziomie, zauważymy oczywiście, choć mylące podobieństwo: każda wykazuje wyraźny gradient genetyczny na kierunku północ-południe. Chińczycy z północy są genetycznie odmienni od Chińczyków z południa i dokładnie tak samo jest z mieszkańcami Indii i Europy. Ma to odzwierciedlenie w fenotypach (wyglądzie) tych ludzi. Ludzie z północy mają względnie jaśniejszą skórę, co tłumaczy się zwykle ekspozycją na promienie słoneczne – jasna skóra łatwiej pochłania promieniowanie, przez co wydajniej produkuje wita-

minę D, ciemna, a więc bogata w melanocytę, działająca jak krem z filtrem przeciwsłonecznym, chroni przed nadmierną ekspozycją na promienie UV, sprzyjające powstawaniu nowotworów.

Pozostałe osobliwości Europy i mieszkańców Indii są trudniejsze do wyjaśnienia. Z porównania ich genotypów wynika, że mają związek z migracjami, a dokładnie domieszką genów „stepowych” – na północy Europy i Indii ludzie są wyżsi niż na południu obu subkontynentów, bo i najeźdźcy ze stepu byli znacząco wyżsi od miejscowych rolników.

Za to kolejna osobliwość jest już właściwa tylko Indiom. Jest nią genetyczna odrębność między kastami, a ta jest zadziwiająca. Jak pisze Khan, kastowe zróżnicowanie genetyczne w Indiach, na poziomie zarówno warn, jak i dżati, dorównuje temu w Europie, gdy porównuje się odmienne i często oddalone od siebie kraje. W praktyce wygląda to tak, że dwie położone tuż koło siebie wioski w Indiach, zamieszkane przez różne dżati, różnią się genetycznie tak samo (lub bardziej) jak mieszkańcy Skandynawii i Sycylii. Tego nie da się wyjaśnić klimatem ani perfidią Anglików, to musi być wynikiem trwającej przez tysiąclecia endogamii.

Ogólnie biorąc, im wyższa kasta, tym więcej stepowych genów. Najwięcej jest ich u braminów, najmniej u dalitów. W południowych regionach Indii dalici praktycznie w ogóle nie wykazują wpływów stepowych, na północy tylko w niewielkim stopniu. Północni genetycznie dalici bardziej przypominają Tamilów z oddalonej o 3 tys. kilometrów Sri Lanki niż braminów lub kszatrija mieszkających po sąsiedzku. Długotrwałe społeczne i rytualne wykluczenie stanowiło najwyraźniej potężną barierę dla przepływu genów.

Analizy genetyczne pokazują, że stopień endogamii sięgającej głęboko w przeszłość jest w Indiach zdumiewający i wynosi średnio od 90 do 98 proc. na pokolenie. Efektem jest ogromny stopień wsobności – u wielu dżati pokrewieństwo pomiędzy dwoma dowolnie wybranymi jego członkami jest porównywalne z kuzynami drugiego lub trzeciego stopnia.

Z jednej strony dla genetyków to wymarzona sytuacja – Dawid Reich mówi, że „Indie są najlepszym miejscem na Ziemi do badania genetyki człowieka”. Z drugiej ta wsobność ma złowróżbne oblicze – Indie to też miejsce, gdzie liczba chorób dziedzicznych nie da się porównać z żadną inną populacją na świecie.

Jak to się więc stało, że te dwie wielkie cywilizacje – indyjska i europejska – choć zaczęły z tego samego niemal punktu, tak bardzo się rozeszły i dziś wyglądają nie jak bliźnięta, ale jak całkowite przeciwieństwa? I która z nich jest tą bardziej prawdziwą, która zachowała najwięcej ze wspólnego dziedzictwa?

Odpowiedź jest oczywista – Indie. To my jesteśmy dziwni, dziwaczni nawet. Jesteśmy weird. A może raczej WEIRD, czyli Western, Educated, Industrialized, Rich & Democratic.

Jak pisze wybitny amerykański antropolog i ewolucjonista Joseph Henrich w książce „The WEIRDest People in the World”, cywilizacja europejska przeszła niezwykłą, choć w dużej mierze nieuświadomioną – bo tak długotrwałą – rewolucję, która wytrąciła ją zupełnie z pierwotnej drogi, pogrzebała wcześniejsze dokonania, struktury społeczne i sposób patrzenia na świat i pchnęła na nowe ścieżki, którymi dotąd nie podążał żaden inny lud na Ziemi. A Indie pozostały sobą – zachowały, a nawet spetryfikowały kastowe lub wręcz plemienne struktury (dżati to wedle niektórych po prostu dawne, niejako zakonserwowane przez kulturę plemiona lub klany), utrzymały wiarę w swych starych bogów i swój tradycyjny sposób patrzenia na świat. Jasne, z czasem wszystko ulegało zmianom, z hinduizmu wyłoniły się nowe religie (buddyzm, sikhizm, dżinizm

i nie tylko), ale to były zmiany ewolucyjne, a nie rewolucje. Hinduizm wciąż zresztą pozostaje dominującą religią (80 proc. indyjskiej populacji), a te nowe są bardziej jego rozwinięciem i interpretacją niż całkowitym zastąpieniem.

Za to Europa radykalnie odcięła się od przeszłości, i tej sprzed inwazji stepowych koczowników, i tej, która zrodziła się potem na jej gruzach. Przyczyną był proces, zapoczątkowany niecałe 2 tys. lat temu, wielkiej społecznej inżynierii, który sięgnął najgłębszych i biologicznie najpierwotniejszych pokładów naszej natury – reprodukcji.

Nasza kultura jest nadbudową biologii, a biologia jest konsekwencją rozmnażania, powielania genów. Jak mówił wielki amerykańsko-ukraiński genetyk Theodosius Dobzhansky: „Niczego w biologii nie da się zrozumieć bez ewolucji”, a ewolucja to, w uproszczeniu, reprodukcja i selekcja. Nikt nigdzie na świecie – poza Europą – nie naruszył tak bardzo tego fundamentu naszej biologicznej i kulturowej natury.

Kto tego dokonał, kto poważił się tak głęboko wniknąć i zmienić same podwaliny naszej natury? Odpowiedź Henricha jest jednoznaczna – chrześcijaństwo. Nowa, przybyła z zewnątrz religia od początku miała dwa główne cele czy raczej misje – głosić wiarę w jednego Boga, który nie toleruje żadnego innego („nie będziesz miał innych bogów przede mną”) i narzucić nowe normy moralne, w tym przede wszystkim nakaz „miłości bliźniego”.

Ale to nie te, wzniośle brzmiące, ale rzadko przestrzegane nakazy okazały się decydujące, lecz swoista obsesja, którą Kościoły chrześcijańskie od początku przejawiały (i trzymają się tego do dziś) w odniesieniu do sfery reprodukcji. Mówiąc najprościej – z kim wolno, a z kim nie wolno mieć dzieci. I jak się do tego zabierać.

Pierwszym krokiem, z całej serii trwających z górą tysiąc lat i z czasem coraz bardziej rozrastających się przedsięwzięć, był nakaz monogamii i zakaz kazirodztwa, co uderzało w zakorzenione od niepamiętnych czasów i niemal wrodzone standardy rodzinne i prokreacyjne.

Nakaz wiary w jednego Boga oznaczał rozprawę z lokalnymi wierzeniami, które dla wielu ludów Europy były czymś naturalnym i które regulowały i określały całe życie jednostek i społeczności. W przypadku Rzymu i jego dawnych posiadłości było to w miarę bezbolesne, bo chrześcijaństwo było już w nim obecne, a od IV wieku n.e. miało wręcz charakter religii państwowej, która zastąpiła dawną wiarę w wielu bogów, zresztą nietraktowanych zbyt poważnie. Jednak na terenach, gdzie pogaństwo utrzymało się znacznie dłużej, takich jak Polska, Prusy czy Litwa, ten proces przybierał dużo brutalniejsze formy. Święte gaje wycinano i zaorywano, posąжки bogów niszczone, na miejscu dawnych świątyń wznoszono kościoły. Ten proces eradykacji przeszłości, mimo okresowych buntów i powrotów do dawnej wiary, był tak skuteczny, że z czasem oznaczał całkowitą amnezję – wiedzą o tym dobrze tak zwani neopoganie, którzy próbują wskrzesić ten dawno zapomniany świat.

Jeszcze bardziej brzemienne w skutki, niż zerwanie więzi z dawnymi bóstwami i swoistą komunią z siłami natury, było rozerwanie relacji rodzinnych, klanowych i plemiennych. Trwało to dłużej, ale przyniosło w końcu narodziny całkiem nowej cywilizacji, która ostatecznie odcięła pepowinę łączącą nas z przeszłością.

Pierwszym z tej serii nakazów, zakazów i tabu były uchwały synodu w Elwirze w latach 305-306 n.e. – zaczęło się niewinnie, od uniemożliwienia mężczyznom przyjmowania komunii, jeśli poślubili siostrę zmarłej żony. Rychło przyszedł zakaz małżeństw między kuzynami pierwszego stopnia, co rozszerzano później sukcesywnie do XI wieku aż po kuzynów szóstego stopnia. To, jak wylicza Henrich, rozszerzyło krąg osób spoza możliwych kandydatów do żeniacz-

ki na niewyobrażalną liczbę 10 tys. Zmieniło się też samo pojęcie kazirodztwa, obejmując także bliższych i dalszych krewnych ze strony obojga małżonków, którzy są powinowaci, ale niespokrewnieni, a nawet rodziców chrzestnych, których pokrewieństwo lub powinowactwo wynika wyłącznie z więzi sakralnych.

W czasach małej mobilności ludzi miało to daleko idące konsekwencje i radykalnie odmieniło stosunki społeczne całych narodów i państw. W tradycyjnych, rolniczych i hierarchicznych społecznościach znaczna część mężczyzn była zawsze wyłączona z rynku matrymonialnego, gdyż ten monopolizowany był przez lepiej urodzonych, co niekiedy osiągało niewyobrażalne rozmiary. Kościelne regulacje spowodowały, że Europa, zwłaszcza zachodnia, wcześniej weszła na tym polu na drogę daleko idącej demokracji (monogamia!), ale też ekspansji – wybór kandydatów do ożenku był na miejscu bardzo ograniczony, co powodowało migracje i puchnięcie miast, gdzie spotkanie osób niespokrewnionych było znacznie łatwiejsze.

Oslabienie i rozerwanie więzów rodzinnych i klanowych kompensowano też powstawaniem różnorodnych związków, towarzystw, stowarzyszeń i bractw opartych nie na więzach krwi, ale na wspólnocie interesów, aktywności zawodowej czy poglądów. Cechy, gildie, związki zakowskie, zakony, towarzystwa naukowe, cały ten średnio-wieczny proto-internet był tygłem, w którym wytapiał się amalgamat nowych myśli, postaw i relacji. Już nie lojalność klanowa i plemienna, lecz zawodowa stawała się spoiwem wiążącym te stowarzyszenia. Powiększał się też rozróż między psychiką mieszkańców miast i tych, którzy zostawali na wsi – zjawisko, które daje o sobie znać po dziś.

Załamanie tradycyjnych, trwających przez tysiąclecia relacji rodzinnych i międzyludzkich stanowiło cichą rewolucję, jakiej świat nie widział od narodzin naszego gatunku. Był to proces powolny, ale konsekwentny, a każdy kolejny etap zamykał za sobą drogę odwrotu. Zmiany psychologiczne obejmujące coraz większe rzesze społeczne przygotowywały grunt do kolejnych innowacji, jak reformacja, która upowszechniła indywidualizm przez zachętę do osobistego studiowania Biblii w językach zrozumiałych dla każdego. Raz puszczone koło z zapadkami toczy się tylko w jednym kierunku.

Kolejnymi krokami na tej drodze były ekspansja na cały świat, rewolucja przemysłowa, rządy prawa, wybieralność urzędów, wreszcie liberalna demokracja, która ogarnia coraz większe tereny, choć wśród ludów non-WEIRD przyjmuje się nieraz z oporami.

Zerwanie i ciągłość. Rewolucja i ewolucja. Te dwa słowa i stojące za nimi pojęcia opisują odmienne drogi, którymi poszły dwa bliźniacze kontynenty. Indie, mimo zmian, pozostały sobą. Europa wypracowała całkiem nowy model, który tylko nam i tylko na pozór wydaje się naturalny. ●



FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Dr Marcin Ryszkiewicz

● – ur. w 1950 r., ewolucjonista, geolog, związany z Muzeum Ziemi PAN. Popularyzator nauki, wydał m.in. „Mieszkańcy światów alternatywnych, czyli historia naturalna rozumu”, „Jak zostać człowiekiem – przepis ewolucyjny”, „Pożegnanie z Afryką. 4 miliony lat ewolucji człowieka”, „Homo sapiens. Meandry ewolucji”.

W ministry

Skoro neo-KRS stwierdza, że Nowacka i Kotula „poszły w ministry”, to potwierdza, że ministrami są. Czyli sama sobie przeczy.



Michał Rusinek

Jeśli ktoś uważał, że kwestia feminatywów w języku polskim jest już załatwiona i rozstrzygnięta, to był – lub była – w błędzie. Przez feminatywy może właśnie upaść rząd Donalda Tuska, ponieważ neo-KRS przyjęła właśnie uchwałę, zgodnie z którą rząd ten jest w zasadzie niezgodny z Konstytucją.

Na stronie neo-KRS pojawił się komunikat: „Krajowa Rada Sądownictwa wskazuje [...], że Rada Ministrów powołana 13 grudnia 2023 r. nie jest organem tożsamym do Rady Ministrów, o jakiej stanowi Konstytucja. W konsekwencji w jej pracach biorą udział osoby, które nie objęły urzędu ministra w trybie art. 151 Konstytucji RP, a które roboczo można określić mianem komisarzy działów. Nieprawidłowy skład Rady Ministrów wynika z braku złożenia ślubowania zgodnie z konstytucyjną treścią rotę ślubowania przez Ministra Edukacji Barbarę Nowacką i Ministra ds. Równości Katarzynę Kotulę, które w miejsce słów „obejmując urząd ministra (...)” wypowiedziały słowa: „obejmując urząd ministry (...)” [...]. Każda z osób powołanych w skład Rady Ministrów w obecności Prezydenta RP zobowiązana była do złożenia rotę przysięgi zgodnie z brzmieniem art. 151 Konstytucji”.

W artykule 41. wspomnianej uchwały znaleźć można uzasadnienie: „Krajowa Rada Sądownictwa wskazuje, że wobec złożenia rotę przysięgi przez wymienione wyżej osoby desygnowane na urząd ministra w brzmieniu, nie stanowiącym wiernego powtórzenia treści zawartej w Konstytucji, nie nastąpiło skuteczne powołanie Barbary Nowackiej i Katarzyny Kotuli [...] na urząd ministra. W konsekwencji skład Rady Ministrów nie jest prawidłowy, a Rada Ministrów z uwagi na udział w jej składzie osób, które nie dopełniły prawidłowo bezwzględnie koniecznego warunku objęcia urzędu członka Rady Ministrów nie jest Radą Ministrów, o której stanowi art. 147 ust. 1 Konstytucji RP” [pisownia i interpunkcja oryginalne].

Sprawa rzeczywiście nie jest prosta i oczywista. Nawet prawnicy przychylnie nastawieni do demokracji i zmian w języku bronią maskulinitywów pojawiających się w aktach prawnych. Przyjmuje się przecież, że terminologia w aktach prawnych niższego rzędu powinna powielać terminologię zawartą w aktach wyższego rzędu. Skoro więc w Konstytucji pojawia się „minister” czy „premier” – oraz zawierające je stosowne przysięgi – to te właśnie formy powinny się pojawiać we wszystkich aktach prawnych. Zatem zgodnie z literą prawa, Barbara Nowacka i Katarzyna Kotula mogły ewentualnie powiedzieć o powołaniu na „urząd ministra” i potem – np. w wystąpieniach publicznych – nazywać siebie „ministrami”. Nie powinny natomiast wprowadzać tego

słowa do samej przysięgi. Czy posłużenie się tą formą powoduje, że przysięga jest nieważna? To już problem prawny. Na niewprawne oko – dość blahy.

Neo-KRS postanowiła jednak brnąć w argumentację nie prawną, a językową. W art. 42 uchwały czytamy więc: „Zgodnie z art 27 Konstytucji RP w Rzeczypospolitej Polskiej językiem urzędowym jest język polski [...]. Nie jest zatem dopuszczalne składanie ślubowania z naruszeniem reguł języka polskiego, z użyciem słów nie przynależnych do Korpusu Języka Polskiego, czy też posługiwanie się żargonizmami, neologizmami, gwarą środowiskową, np. określonych środowisk politycznych”. W tym uzasadnieniu zwraca uwagę przeświadczenie autorów uchwały, jakoby forma „ministra” była elementem „gwały środowiskowej określonych środowisk politycznych”, czyli zapewne „lewacką nowomową”. Autorzy ci powołują się jednak nie na słowniki języka polskiego, z których tylko jeden („Słownik nazw żeńskich polszczyzny” pod redakcją Agnieszki Małochy-Krupy) odnotowuje formę „ministra”, ale – ponieważ słusznie, bo wszystkie słowniki odnotowują formy językowe z pewnym opóźnieniem – na Korpus Języka Polskiego, w którym zawarte są użycia konkretnych wyrazów i fraz. Korpusów jest kilka, oni jednak doprecyzowują, o który im chodzi: „W Narodowym Korpusie Języka Polskiego nie występuje feminatyw »ministra«” – czytamy dalej w artykule 42. Nie jest to prawda. Formę tę wprowadziła Izabela Jaruga-Nowacka, pełnomocniczka rządu Leszka Millera do spraw równego statusu kobiet i mężczyzn (2001), a rozprzęgowała Joanna Mucha, ministra sportu w drugim rządzie Donalda Tuska (2011). W Narodowym Korpusie „ministra” pojawia wielokrotnie, zwłaszcza w tekstach z ostatniego roku. Każdy to może sprawdzić.

„Leksem »ministry«” – czytamy dalej w artykule 42. uchwały – „to zaś nacechowana emocjonalnie forma fleksyjna słowa »minister«. W sposób tożsamy używane są w języku polskim słowa »profesory«, »prezydenty«, »chłopy«, »docenty«, »senatory«”. Na koniec tego artykułu autorzy uchwały postanowili błysnąć złośliwym żartem: „Można zatem się zgodzić ze stanowiskiem Barbary Nowackiej i Katarzyny Kotuli [...], że wymienione poszły w ministry, nie złożyły jednak ślubowania i nie objęły tym samym funkcji ministra”. Żart to nieco ryzykowny, bo skoro neo-KRS stwierdza jednak, że Nowacka i Kotula „poszły w ministry”, to – wprawdzie dość nieprofesjonalnym i krytykowanym przez siebie językiem – ale potwierdza, że ministrami są. Czyli sama sobie przeczy.

Na tym jednak nie koniec. Zgodnie z ustawą o Krajowej Radzie Sądownictwa „organami Rady są Przewodniczący i Prezydium Rady” (art. 15). „Rada wybiera ze swego grona Przewodniczącego, dwóch wiceprzewodniczących oraz trzech członków Prezydium Rady” (art. 16). Tymczasem na stronie internetowej neo-KRS czytamy, że Dagmara Pawełczyk-Woicka jest Przewodniczącą Rady (natomiast Anna Dalkowska i Joanna Kołodziej-Michałowicz są „członkami” Rady), a więc zgodnie z logiką jej własnej uchwały skład Rady także jest nielegalny, skoro na jej czele nie stoi ustawowy przewodniczący. No i jej uchwały są nieprawomocne. Tak się zwykle kończą dziecięce zabawy: kto pod kim dolki kopie, sam – lub sama – w nie wpada. ●

Maja Staniszevska

dyby nie to, że na tym polega moja praca, dwa i pół roku temu nie zaczęłabym oglądać „Heartstoppera”. Serial Netfliksa ma bowiem kategorię wiekową 13+, czyli przeznaczony jest dla młodszych nastolatków. Gdybym go przegapiła, byłaby to wielka strata.

Ominęłyby mnie też możliwość przyjrzenia się pokoleniu Z.

Miłość to miłość

Dla zetek, czyli pokolenia urodzonych po 1995 roku, miłość dwóch chłopaków i ich przyjaćół to historia, którą sami przeżywają. Albo widzą wokół siebie.

W wieku, w którym ma się mnóstwo pytań, a bardzo mało odpowiedzi, dobrze jest zobaczyć na ekranie, że nie jest się dziwkami i nie jest się samemu. Zwłaszcza gdy jest się młodą osobą queer. Starsze pokolenia nie miały takiej okazji.

Wiele filmów i seriali o osobach LGBT to historie mroczne i tragiczne. Opowieści o przemoc, homofobii, cierpieniu, zmaganiu się ze sobą i ze światem. W filmie „Do brzy nieznajomi”, opowiadającym o spotkaniu dwóch gejów, których dzieli 20 lat, ale łączy namiętność, a potem miłość, starszy, grany przez Andrew Scotta, mówi młodszemu o dorastaniu w cieniu epidemii AIDS. O tym, że bał się kochać, a seks kojarzył mu się ze śmiercią. Młodszy, grany przez Paula Mescala, jest od tego strachu wolny. Dużo bardziej bezpośredni, dużo bardziej otwarty. Ale to nie znaczy, że nie nieszczęśliwy.

„Heartstopper” zaś przypomina angielską komedię romantyczną z kimś w typie Hugh Granta jako uroczego Anglika, któremu nie pozostaje nic innego, jak zakochać się w bardziej bezpośredniej bohaterce. Tylko tym razem Hugh Grantów jest dwóch. Na okładce komiksu, którego jest ekranizacją, widnieje zresztą dopisek „Chłopak spotyka chłopaka”.

Jak komedia romantyczna serial jest słodki: w pierwszych dwóch sezonach bohaterowie piją herbatę, nie przeklinają i nie posuwają się dalej niż do objęć i pocałunków. Ale jest też radykalny: pokazuje dzieciaki queer jako takie same jak ich rówieśnicy hetero: kochające i kochane, zwyczajne, utalentowane, atrakcyjne i młynie, towarzyskie i niekoniecznie, odważne i krindżowe. Na tym polega jego cicha rewolucja.

Chłopak spotyka chłopaka

16-letni Nick Nelson i o półtora roku młodszy Charlie Spring poznają się, gdy zostają posadzeni w jednej ławce na zajęciach w liceum dla chłopców w małym angielskim miasteczku. Nick wie o Charliem tyle, że jest gejem i że kiedy to wyszło na jaw, był w szkole prześladowany. Charlie wie, że Nick jest popularnym sportowcem i ma kolegów, z którymi on nie chce mieć do czynienia. Ale nawet sceptyczni i próbujący go chronić przed zranieniem przyjaciele Charliego mówią, że Nick przypomina golden retrievera. Czy golden retriever mógłby kogoś skrzywdzić?

Charlie zadurza się w Nicku, dołącza do drużyny rugby. Nick zaczyna coś czuć do Charliego. I jak na nastolatka wychowanego w świecie cyfrowym przystało, pyta Google’a: „Czy jestem gejem?”.

Nick i Charlie zostaną przyjaciółmi. A gdy się w końcu pocałują, minie kilku odcinków, zanim Charlie nieśmiało zapyta, czy Nick jest jego chłopakiem. Nick wykrzyczy potwierdzenie na całą plażę, na której spędzili leniwą niedzielę. Po powrocie do domu powie mamie, że Charlie jest jego chłopakiem, i doda, że sam jest biseksualny. Mama, grana w serialu przez laureatkę Oscara Olivie Colman, odpowie na to „kocham cię”.

„Heartstopper” stworzyła zetek dla innych zetek i choć starsi widzowie są mile widziani, to o fantazjach tego pokolenia opowiada najpełniej. I to ono uczyniło z niego światowy fenomen.

CICHA REWOLUCJA, KTÓRĄ TRUDNO ZATRZYMAĆ



Serial patrzy na miłosne perypetie bohaterów przez różowe okulary. Ale widzi też przez nie rzeczy bolesne: niezrozumienie, homofobię, transfobię, przemoc emocjonalną i fizyczną, problemy psychiczne. Nie są na pierwszym planie, ale są ważne

Przyjaciele jak lustro

Nicka i Charliego otacza grupa przyjaciół, w których zetki mogą zobaczyć siebie.

Heteroseksualny Tao kocha filmy. Transplciowa Elle jest malarką. Isaac, który z czasem odkrywa, że jest aromantyczny, nie rozstaje się z książką. Lesbijka Tara jest najlepszą uczennicą, tańczy i gra w szkolnej orkiestrze. W kapeli rockowej gra z kolei Sahar, która zastanawia się nad swoją orientacją.

Imogen to trzpiotka zakochana w kosmetykach i ciuchach, lubiąca zainteresowanie chłopaków. A Darcy, dziewczyna Tary, jest zupełnie zwyczajna.

Autorka scenariusza serialu i komiksu, na którego podstawie powstał, jest Alice Oseman. W październiku obchodzić będzie 30. urodziny. Jej zdaniem to przyjaźń jest fundamentem „Heartstoppera”. – Świat ma obsesję na punkcie seksu i romansów. I kiedy tego nie masz, czujesz, że brakuje ci jakiegoś ważnego osiągnięcia – mówiła w wywiadzie dla „Guardiana”.

Oseman identyfikuje się jako osoba asekualna i aromantyczna, używa zarówno zaimków ona/jej, jak i oni/ich. Początkowo Nick i Charlie byli drugoplanowymi bohaterami jej debiutanckiej powieści „Solitaire”, którą napisała jeszcze w liceum i wydała, mając 19 lat.

Przez różowe okulary

„Heartstopper” patrzy na miłosne perypetie bohaterów przez różowe okulary. Ale widzi też przez nie rzeczy bolesne: niezrozumienie, homofobię, transfobię, przemoc emocjonalną i fizyczną, problemy psychiczne. Nie są na pierwszym planie, ale są ważne. Z każdym kolejnym sezonem ważniejsze. W drugim okazuje się, że Charlie cierpi na zaburzenia odżywiania. Serial tego nie romantyzuje, jak zdarzało się wcześniej historiom o nastolatkach.

Choroba Charliego jest cicha i podstępna, a gdy się pogłębia, stawia Nicka w arcytrudnej sytuacji. Zakochany chłopak obiecał, że nie będzie Charliego „naprawiał”, ale zwyczajnie się o niego boi. I komiks, i serial mówią wprost: jedna osoba nie wystarczy, miłość nie wystarczy, by wyleczyć chorobę psychiczną.

Trzeci sezon, który jest dostępny od 3 października, zajmuje się tym problemem poważnie. Ale też w końcu zajmuje się kwestią seksu.

Co z tym seksem?

W ubiegłym roku dwie popularne amerykańskie drag queens Trixie Mattel i Katya wyśmiały i skrytykowały „Heartstoppera” za bycie nierealistycznym, bo stroniącym od seksu. Podobne reakcje – że serial jest



Ale przecież na początku tej historii

Na wycieczce szkolnej w sezonie drugim Nick i Charlie całują się w pokoju hotelowym, ale kiedy Charlie przechodzi z pocałunkami niżej, Nick zamiera. Charlie pyta, czy wszystko okej, i dostaje potwierdzenie tak niepewne, że przerywa. W końcu Nick wyznaje, że nie jest gotowy na więcej. Charlie to przyjmuje i chwila skrapowania zmienia się w chwilę bliskości.

I nie chodzi o to, że pokolenie Z, jak

Według Gallupa dorosłe amerykańskie

Za to preferowanym modelem związku

Heartstopper” ze swoimi queerowy-

Nawet wśród ludzi, którzy twierdzą, że są

Bo wiadomo, że grający Charliego Joe Loc-

Oseman też była rozczarowana.

Sa jednak i tacy, którzy rewolucje Heart-

W Turcji i na Węgrzech komiks Heart-

Heartstoppera” usuwano też z biblio-

„Heartstoppera” jednak trudno będzie



- „Solitaire” (o wycofanej i ironicznej 16-latce) tak zainteresowała wydawnictwa, że się o nią licytowały. Wygrało HarperCollins oferując autorce sześćdziesięciową kwotę. Była wtedy na pierwszym roku anglistyki na Durham University. Dziś ma na koncie sześć książek. Wszystkie ukazały się po polsku.

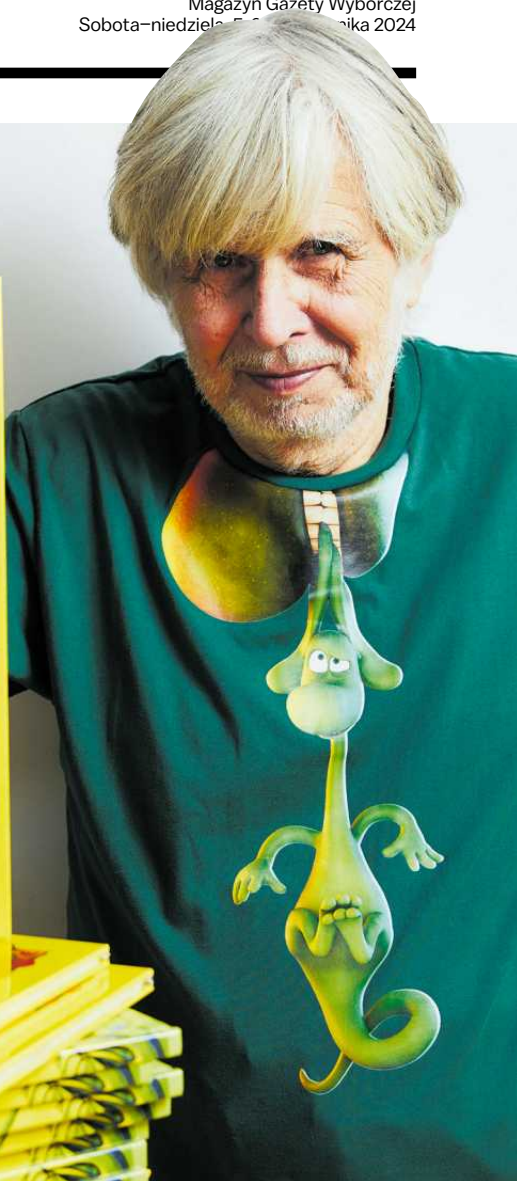
- W 2019 r. do Oseman zgłosiło się studio See Saw z propozycją ekranizacji, a potem dołączył Netflix. Postawiła twarde warunki: to ona napisze scenariusze, weźmie udział w wyborze obsady i będzie miała wpływ na każdy etap produkcji. Wszystkie przyjęto. Na casting zgłosiło się 10 tys. osób. Do głównych ról wybrano 16-letniego Kita Connora, który grał m.in. małego Eltona Johna w „Rocketman” i rok starszego debiutanta Joego Locke’a.

REKLAMA

Kraj/34337854

Tadeusz Baranowski:
Wódz Wielki Niepokój to moje
alter ego. Zawsze byłem znerwicowany

A jednak smoki istnieją



Z **TADEUSZEM BARANOWSKIM**
TWÓRCĄ KOMIKSÓW
ROZMAWIA **RADOSŁAW CZYŻ**

Dużo się też u Pana dzieje: premiera filmu „Smok Diplo-dok” na podstawie pańskiego komiksu oraz wystawa prac na Międzynarodowym Festiwalu Komiksu i Gier w Łodzi.

– Nikt nie spodziewał się hiszpańskiej inkwizycji, że pozwolę sobie zacząć od cytatu z Monty Pythona. To dziwne uczucie, gdy nagle przypomniało sobie o mnie tak liczne grono. To też kolejny wywiad, którego udzielam, może jest ich już nawet za dużo? Poza tym wydaje mi się, że na moim miejscu powinien siedzieć reżyser Wojtek Wawszczyk.

Wojtek na pewno też udzieli wielu wywiadów.

– Z pewnością, ale to jego film, jest głównym powodem zainteresowania tylu osób. Ale cieszy mnie to, bo pracowało przy tym filmie bardzo wielu ludzi, których mam za oddanych przyjaciół. To oni próbują mnie tu wyeksponować, a ja, mimo różnych moich kłopotów, głównie zdrowotnych, próbuję temu wyzwaniu sprostać. A przy okazji mogę też opowiedzieć o swoim malarstwie, nie tylko o komiksach. A teraz ja zapytam... Pan już film widział?

Tak. Wzruszyłem się, zwłaszcza pod koniec. Dla mnie to nie jest historia o tych kolorowych postaciach z komiksu, a o autorze, który je wymyślił. O Panu.

– Ja też się wzruszyłem. Ba, miałem łzy w oczach, kiedy na takim zamkniętym pokazie zobaczyłem scenkę, gdy do pracowni rysownika [Piotr Polak] wpadła jego wydawczyni [Helena Englert] i zaczyna nim dyrygować. Gdy usłyszałem, że ona nazywa go Tadek, nagle zobaczyłem w nim siebie. I zrozumiałem, że ci wszyscy ludzie z Wojtkiem na czele, chcą mi coś od siebie dać.

Wie Pan, że Wojtek podszedł do mnie na jakimś spotkaniu autorskim jeszcze w latach 90., gdy był studentem animacji? Oznajmił mi, że kiedyś zrobi film na podstawie moich komiksów. Wydawało mi się to nieprawdopodobne.

Jak widać, trwało to bardzo długo, ale przez ten cały proces Wojtek i reszta autorów o mnie nie zapomnieli. Narodziły się przyjaźnie, obdarzyli mnie tak rzadko spotykają dziś empatią. I dlatego, gdy siedziałem na pokazie i usłyszałem, jak wydawczynie mówi do autora Tadek, to miałem łzy w oczach.

Pan też się w filmie pojawia. Pod koniec, w scenie, w której mała dziewczynka zadaje Tadekowi pytanie. „Skąd pan wziął te pomysły?”. Nie wypada Pana o to nie zapytać.

– Podstawą jest życie. Nawet w moich naiwnych komiksach, bo to są przecież proste historyjki. Ale one też są związane z moim życiem, zainteresowaniami i nerwicami. Ze sposobami postrzegania tego życia, jego przykrościami i radościami.

Podam przykład. Lubiana przez wielu postać, Wódz Wielki Niepokój to moje alter ego. Zawsze byłem człowiekiem niespokojnym, znerwicowanym. Jak ten Wódz, który ciągle chce coś powiedzieć, ale peszy się i gdzieś ucieka w chwili, gdy nie jest wysłuchiwany. Może nawet pisząc te komiksy nie zdawałem sobie sprawy, że one są odbiciem mojej osoby, wrażliwości i zainteresowań, ale tak jest.

Jakie to zainteresowania?

– Przyroda, nauka, astronomia i tym podobne. Pasjonuję się astronomią, zwłaszcza tym, co dzieje się teraz – odkryciami, nowymi teleskopami. Kiedyś nawet napisałem na Facebooku o teleskopie, który sięgnął na 13 miliardów lat świetlnych. Bardzo mnie to ucieszyło, bo te odległości są poza zasięgiem gatunku Homo

sapiens, który jest destrukcyjny i podporządkowuje sobie wszystko. Historia pokazuje, że jako ludzie niczego się nie uczymy – od najazdu Mongołów do dziś doświadczamy tych samych krzywd i wciąż nie potrafimy się zjednoczyć.

To przed ludźmi ucieka Pan w gwiazdy?

– Jestem amatorem w kwestii astronomii, ale czytam wiele książek na jej temat. Taki ze mnie Nerwosolek, niedouczonego profesor. Bo może nie wszystko rozumiem, ale mam pewne, powiedzmy, „pozazmysłowe” doświadczenia, których nie umiem wyjaśnić, a inni nie chcą mi wierzyć. Na przykład dwa razy widziałem UFO, a raz udało mi się je sfotografować, choć przypadkowo. Dopiero na komputerze zauważyłem, że coś tam było... Ale to dygresja. Po prostu lubię odkrywać nowe horyzonty.

W młodości chciałem być podróżnikiem, zobaczyć świat. I to są z kolei Bąbelek i Kudłaczek – bohaterowie podróznicy. Dziś by pewnie nie dali rady, bo teraz podróże wyglądają inaczej niż dawniej. Ludzie zwiedzają zakątki świata ogromnymi, wielopiętrowymi statkami z basenami i zjeżdżalniami.

To mnie przeraża. Kiedyś, jak miałem 14 lat, jechaliśmy z ojcem i rodziną na Mazury, całą noc pociągami z Lublina. Zatrzymywał się na każdej stacji. W wagonie z nami jechał kajak zrobiony z ojcem ze sklejk, który w Rucianym musieliśmy przewieźć dalej furmanką. A dziś? Masa turystów, grille, setki samochodów. Wtedy na wakacjach było cicho i spokojnie, bez tłumów. Tęsknię za prostotą dawnych czasów.

Do lat dzieciństwa?

– W pewnym sensie, ale oczywiście nie za wszystkim, bo to były bardzo trudne czasy. Nasza rodzina pochodziła spod Lwowa. Kiedy zaczynała się II wojna światowa, mój dziadek podoficer, został przeniesiony z garnizonem do Zamościa. Potem cała rodzina trafiła do obozu w Majdanku, dziadek, ojciec, jego bracia. Urodziłem się tuż po wojnie, w styczniu 1945 roku. Mieszkaliśmy tuż za drutami obozu w Majdanku w baraku po dowództwie obozu. Była bieżąca woda i to tyle z luksusów. Dziś nie sposób sobie wyobrazić jaka to była bieda. Po wojnie już nie mogliśmy wrócić do Lwowa, bo za Bugiem było inne państwo.

Przenieśliśmy się do Lublina, gdzie ojciec był dyrektorem li-

ceum sztuk plastycznych, a my mieszkaliśmy na strychu tej szkoły. Warunki lepsze niż w baraku, ale nieznacznie.

To wtedy zaczął pan rysować?

– Tak, ale najpierw komiksy czytałem. To były paski komiksowe, które ukazywały się w „Kurierze Lubelskim”. Jacys kosmici, czarno-białe rysunki. Od czasu do czasu trafiał do mnie „Świat Młodych”, a tam komiksy Papcia Chmiela. Po śmierci Stalina nastąpiła chwilowa odwilż, nawet mieliśmy religię w szkole przez pół roku, ale potem ją zlikwidowano. W tamtym okresie pojawiło się też pismo „Przygoda”, które zbierałem przez dwa lata, zanim je również skasowano. To pewnie tam pierwszy raz spotkałem się z komiksami Janusza Chystry.

Kontakt z komiksami miałem także dzięki pismom takim jak francuski „Vaillant”, które sprowadzano dla mnie do Lublina. Potem jednak to moje zainteresowanie osłabło, bo pojawił się jazz.

Grałem na pianinie w zespole jazzowym, głównie ragtime’y. Bardzo zajmowała mnie wtedy muzyka. Zaczęło się od słuchania na falach krótkich Radia Luxemburg. Potem równolegle chodziłem do szkoły muzycznej i do męskiego liceum, gdzie mieliśmy z kolegami zespół jazzowy.

A kiedy wrócił Pan do komiksu?

– W „Świecie Młodych”. Po Akademii Sztuk Pięknych byłem dobry w makietowaniu pism i różnego rodzaju projektach graficznych, więc udało mi się znaleźć tam pracę. Komiksy były istotną częścią tej gazety, ale też nikt w redakcji niezbyt interesował się ich treścią. Ważne było, żeby komiks się pojawiał. Z czasem namówiono mnie, żebym sam coś narysował. Przypuszczam, że na początku nie byłem pewny swoich umiejętności, ale stopniowo nabrałem pewności.

Gdyby odebrano
mi możliwość
tworzenia,
to na drugi dzień
bym już nie żył,
to wiem na pewno





FOT. MATEUSZ SKWARCEK / AGENCIA WYBORCZA.PL, STOWARZYSZENIE NOWE HORYZONTY

• **Profesorek Nerwosolek, Smok Diplodok, Hokus Pokus, Entomologia i inni bohaterowie z komiksów Tadeusza Baranowskiego zostali przeniesieni na ekran w filmie „Smok Diplodok” w reżyserii Wojtka Wawszczyka ze studia Human Film. W kinach od 4 października**

Tak naprawdę, może zabrzmieć to jak fałszywa skromność, ale czuję, że dopiero w ostatnich 10 latach lepiej opanowałem warsztat komiksowy. A na początku wspierałem się zagranicznymi przykładami, które przychodziły z państw, z których wolno było sprowadzać prasę. Na przykład z pisma „Pif”, wydawanego przez Komunistyczną Partię Francji.

Pierwszy prosty komiks w „Świecie Młodych” narysowałem do scenariusza jednego z dziennikarzy. Gdy zobaczyłem efekt, doszedłem do wniosku, że mam większą wyobraźnię i mogę fabuły pisać sam.

Nie bez znaczenia było też to, że pensję dostawałem za dwa odcinki komiksu, a miesięcznie rysowałem ich 12. To było dla mnie solidne wsparcie finansowe. Mogłem dzięki temu np. kupić farby i przybory malarskie.

Komiksy pojawiły się więc przypadkiem, a Pan wciąż chciał malować

– W czasie studiów na warszawskiej ASP, miałem stypendium artystyczne i należałem do dobrze rokującej grupy „Aut”. Byliśmy tam ja, Sławomir Blatton, Antoni Fałat i jeszcze dwie osoby, które tak jak on, już nie żyją. Mieliśmy swoje miejsce w Galerii Współczesnej na Placu Teatralnym, prowadził ją państwo Boguccy.

Braliśmy udział w różnych performansach i pokazach, przypominających dzisiejsze instalacje artystyczne. Coś, co wydaje się odkryciem, działało już 50 lat temu. Ktoś np. strugał drewno na golasa albo Blatton stworzył instalację opartą o odczucia sensoryczne: trzeba było wsadzić dłoń do skrzynki przypominającej wyborczą urnę i można było trafić na coś ostrego, pluszowego czy na umownego zdechłego kota. Ja np. po-

kryłem całą podłogę gwoździami, między którymi na środku zostawiłem kupkę pieniędzy. Chciałem zobaczyć, czy ktoś się spróbuje do nich przedrzeć.

Skończyłem studia z wyróżnieniem. Pisano o mnie w przeglądach artystycznych, byłem zapraszany na zbiorowe wystawy w Zachęcie. Zresztą Zachęta kupowała ode mnie obrazy, które do dziś są w ich archiwach.

Dlaczego więc przestał Pan malować?

– Dostałem od miasta pracownię na Pradze. Zniosłem tam cały artystyczny dorobek mojego życia, obrazy tworzone od lat 70. do końca 80. Pewnej nocy włamali się tam jacyś menele i zniszczyli wszystkie obrazy. Dosłownie wysmarowali gównem, doszczętnie zrujnowali. Byłem zdruzgotany, pomyślałem, że nigdy już tego nie odrobię. To było kilkadziesiąt wielkoformatowych obrazów, ponad dekada pracy. Wówczas dorabiałem już dzięki komiksom, ale dopiero wtedy stały się one dla mnie czymś więcej, sposobem ucieczki.

W komiksach nie było takiego spełnienia jak w obrazach?

– Malarstwo zawsze było dla mnie najważniejsze, chociaż faktycznie przez lata zajmowałem się komiksem. Kiedyś idąc Alejami Jerozolimskimi mijalem kolegę z Akademii. Spojrzał na mnie i powiedział: „Tak się świetnie zapowiadałeś, a skończyłeś na komiksach”. On poszedł dalej, a ja stałem tam, jakby mi ktoś dał w twarz. Pracowałem też jako grafik, ale w firmach

często odrzucano mnie, bo miałem ponoć zbyt duże kompetencje. W chwilach, gdy zawodowo nie mogłem znaleźć sobie miejsca, komiks był dla mnie ucieczką.

Wciąż rysuje Pan komiksy, ale po latach wrócił też do malowania...

– W 2007 roku musieliśmy sprzedać nasz stary dom, by spłacić długi. Przeprowadziliśmy się na wieś i coś się nagle otworzyło, zacząłem znowu malować. W latach 70. i 80. malowałem obrazy inspirowane formami biologicznymi, mięśniami, kośćmi, które z czasem przerażały się w abstrakcyjne struktury. Ale na wsi tworzyłem obrazy inspirowane przyrodą. Fotografowałem w skali makro, obserwowałem gnijące, rozpadające się elementy natury, które były dla mnie piękne w swojej destrukcji.

Moje nowe obrazy, były próbą odtworzenia tych struktur. Było to trudniejsze niż się spodziewałem. Uczyłem się malować na nowo przez 8 lat, eksperymentując z nowymi materiałami. Ale prawdziwy przełom w mojej twórczości nastąpił dopiero około czterech lat temu, kiedy zacząłem porządkować swoje myśli i idee, które wcześniej krążyły w moich pracach w chaotyczny sposób. Ale życie znów postanowiło pokrzyżować mi plany.

Jak to?

– Wspominałem o zdrowiu. Na wsi mieszkaliśmy do czasu operacji kręgosłupa w 2014 r., która niestety okazała się nieudana i uczyniła mnie kaleką. Tutaj, pod War-

szawą, malowałem nadal, ale w ostatnich latach dowiedziałem się, że mam wznowę nowotworu, który był leczony 11 lat temu. Pandemia nie pomogła, czułem się wtedy fatalnie.

Ale pół roku temu dowiedziałem się, że mam przerzuty na kręgosłup. Powiedziałem lekarzowi, że nie zamierzam się już na to leczyć, mam dość. Po lekach nie jestem sobą, znika moja kreatywność, nie mogę tworzyć. A chcę to robić, potrzebuję tego.

Na koniec życia zaczęło mi się strasznie spieszyć.

Wciąż Pan za czymś goni?

– Czasami myślę o tym, co jeszcze mógłbym zrobić. Nie mam wielkich planów, ale myślę sobie, że może udałoby mi się dokończyć album o Nerwosolku?

Ale to pracy na dwa lata, nie wiem, czy wystarczy mi czasu, bo życie przynosi nowe wyzwania, niszczy nam plany. Jednak mimo to, człowiek potrzebuje czegoś, czym mógłby żyć. Gdyby odebrano mi możliwość tworzenia, to na drugi dzień bym już nie żył, to wiem na pewno.

Organizuję życie i pracę tak, by zostawić coś rodzinie, gdy mnie już zabraknie. To wyniosłem z domu, od mojego ojca – praca, dyscyplina. Życie było ciężkie, często biedne, zawsze było czegoś mało. Ojciec, po przeżyciach z obozu, marzył, że kiedyś pójdzie na emeryturę i będzie rzeźbił. Ale to nie były czasy, w których takie rzeczy były łatwe. Dziś są maszyny, które tną marmur, wtedy wszystko trzeba było wykucnąć ręcznie. Całe ży-

cie ojciec poświęcał się pracy, a ja mam to samo podejsście.

A czy czegoś pan żałuje?

– Może jedynie tego, że nie zawsze miałem świadomość, jak krótkie jest życie. Zamiast realizować swoje plany od razu, często odkładałem je na później, myśląc, że mam jeszcze czas. A on ucieka.

Kiedy byłem na studiach, na Ziemi było 3 miliardy ludzi. Teraz jest nas 9 miliardów, a z każdym rokiem przybywa artystów, malarzy, twórców komiksów...

Świat się zmienia, a ludzie wciąż nie potrafią się ze sobą dogadać. To mnie boli – ten brak zrozumienia między ludźmi, a przecież jesteśmy jednym gatunkiem.

Na tych durnych filmikach z internetu widzę, jak gęś może tulić się do lisa, a człowiek z człowiekiem wciąż chcą się wymordować: biały czarnego, Ruski Ukraińca. Boli mnie to, bo widzę, jak życie pędzi, a natura ludzka nadal się nie zmienia, górują w naszym gatunku najpodlejsze instynkty.

Sam mam żal, że pewne moje przyjaźnie się skończyły, że być może powiedziałem kiedyś o słowo za dużo. Ale żałuję też, że dawni przyjaciele nie mogą na bok odłożyć swoich ambicji, jakby nawet dziś chcieli pokazać, że są więksi, ważniejsi, lepsi. Jakże to ma znaczenie?

Czy nie może być tak, że każdy robi swoje? Ja po prostu chciałbym tworzyć. I żałuję, że nie będę mógł tworzyć wiecznie. ●

Tadeusz Baranowski

• ur. w 1945 r., twórca komiksów, ilustrator, grafik, twórca reklam. Autor prawdziwie kultowych albumów „Skąd się bierze woda sodowa i nie tylko”, „Antresolka profesorki Nerwosolka”, „Podróż smokiem Diplodokiem” i „Na co dybie w wielorybie czubek nosa Eskimosa”. Na ekrany kin trafiła właśnie animowany film na podstawie jego komiksów, „Smok Diplodok”.

Nike

Nagroda Literacka

Kto zdobędzie Nagrodę Literacką
„Nike” 2024?



UROCZYSTA GALA NIEDZIELA

6 października, godz. 20.00



Tegorocznymi nominowanymi:
**Marzanna B. Kielar, Urszula Koziół,
Małgorzata Lebda, Cezary Łazarewicz,
Piotr Paziński, Andrzej Sosnowski,
Michał Witkowski**

REKLAMA

Mecenas strategiczny:



Mecenas:



Fundator nagrody głównej:



Partner Wydarzenia:



Współproducent gali:



Patroni medialni:



Kraj/34327974



Ireneusz
Iredyński,
pisarz

Taniec Z FLASZKAMI

Janusz Anderman

W jego życiorysie nic się nie zgadza – od daty urodzenia po nazwisko. Przez lata krążyły plotki, że Iredyński to pseudonim, a nazywa się Kapusto. Ale poeta Krzysztof Karasek dowiedział się, jak jest naprawdę, kiedy pijany Ireneusz poprosił go, by wstąpił na pocztę i wysłał przekaz jego ojcu. Dał mu kartkę z nazwiskiem odbiorcy, a był nim Antoni Iredyński zamieszkały w Wałbrzychu.

Przy okazji narodził się jednak kolejny mit: Iredyński, choć w dzieciństwie był przez ojca okrutnie katowany i nękany psychicznie, ma gołębie serce i starego w potrzebie wspiera. Po latach wyszło na jaw, że ten stary, gdy się zorientował, że syn dużo zarabia, pozwał go o alimenty i sprawę w sądzie wygrał.

Więc jednak Iredyńscy – i ojciec, i syn. Tylko dla czego matka ojca, a babka Ireneusza nie nazywała się Maria Iredyńska, tylko Maria Harz? Tajemnica.

Iredyński urodził się w 1939 r. w Stanisławowie (dziś ukraiński Iwano-Frankowsk). Do Bochni dotarł z siostrami ojca i babką na początku 1946 r. Po matce Żydówce ślad zaginął w 1943 r. (w akcie ślubu figuru-

Stefan Kisielewski: „Trochę bandyta, trochę wariat, duży alkoholik. Ale niesłychanie zdolny chłopak”.

je jako Aleksandra Ziółka, w ankiecie personalnej w Armii Andersa Antoni Iredyński informuje, że jego żona nazywa się z domu Eugenia Geller). Nie wiadomo, czy przeżyła; sam Iredyński wspominał raz, że mieszka w Izraelu, ale nigdy nie próbował jej odszukać. Ona też podobno nie dała znaku życia. Potem pojawiły się jednak pogłoski, że spotkali się w USA podczas jego pobytu stypendialnego w latach 70.

W 1948 r. wrócił z Zachodu ojciec. Przedwojenny urzędnik znów stał się urzędnikiem w Bochni. Są jednak informacje, między innymi w biografii Iredyńskiego Małgorzaty Raduchy („Gra w butelkę”), że i przed wojną, i u Andersa był oficerem Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, a więc zajmował się sprawami wywiadowczymi.

Mogło tak być (syn, niewymawiający „r”, tak go łzył w towarzystwie: „ten piśdrolony dwójkarz!”). Z drugiej strony nie wydaje się to możliwe, by zaraz po powrocie nie zajął się nim tkliwie Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. A nie zajął się, dał mu spokój. I ojciec zaangażował się w wychowanie syna,

zepsutego jego zdaniem przez nadopiekuńcze ciotki, czyli dziewięcioletniego malca systematycznie i bezlitośnie prał.

To dziś bez znaczenia, ale czy na pewno dziewięcioletniego? Iredyński zwierzył mi się kiedyś, że ze Stanisławowa przyjechał bez metryki i w Bochni ciotki wyrobiły mu nową. A ponieważ napatrzyły się na okrucieństwa rosyjskich, niemieckich i znów rosyjskich okupantów, odmłodziły go o kilka lat, by odwlec czas jego przyszłego powołania do wojska. Zwłaszcza że według szeptanych przez wiele lat opinii III wojna światowa wisiała na włosku.

Gdyby ten rok urodzenia, 1939, był prawdziwy, to czy Iredyński, który Stanisławów opuścił w wieku siedmiu lat, mógłby po latach wychwalać zapamiętane jakoby walory architektoniczne tego miasta? Czy w Bochni mógłby się kolegować z późniejszym poetą i pisarzem Bogdanem Loeblem, pochodzącym spod Stanisławowa? 14-latek byłby partnerem dla 21-latka?

Być może z powodu metryki Iredyński uchodził za cudowne dziecko literatury. W wieku 16 lat debiutował wierszem „Chwałę” w „Gazecie Krakowskiej”, wkrótce wydrukował kolejny wiersz, „Podhale ziemą”, w „Dzienniku Polskim” i zaraz wstąpił do koła młodych przy Związku Literatów Polskich. W 1958 r. przenosi się do Warszawy, publikuje – obok Ernesta Brylla, Stanisława Grochowiaka czy Marka Nowakowskiego – w piśmie „Współczesność”, rok później wydaje tom wierszy „Wszystko jest obok”, a także – pod pseudonimem Umberto Pesco – kryminał „Ryba płynie za mordercą”.

Zostaje najmłodszym członkiem ZLP. Czy na pewno najmłodszym? Nie wiadomo, ale wypada zacytować trafną opinię o nim Stefana Kisielewskiego: „Trochę bandyta, trochę wariat, duży alkoholik. Ale niesłychanie zdolny chłopak”.

Po ukończeniu szkoły podstawowej w Bochni uczy się w tamtejszym liceum, ale po półroczu za brak postępów zostaje z niego wyrzucony. Wtedy ucieka przed ojcem do Krakowa i podobno kontynuuje naukę. Mnie mówił, że uczył się w Technikum Księgarskim. Komu innemu, że w Elektrycznym. Kiedy indziej, że w LO im. Kościuszki. A nawet, że w niezwykle elitarnym Liceum im. Nowodworskiego, choć nie wydaje się możliwe, by mógł przebrnąć przez egzamin wstępny.

Dziennikarka Ewa Zamorska-Przyłuska przekopala archiwa szkolne. Ani w Liceum im. Kościuszki, ani w Technikum Księgarskim nie ma śladu po uczniu Ireneuszu Iredyńskim. Chociaż Jadwiga Staniszkis, z którą po wyjściu z więzienia w 1968 r. był przez trzy lata związany, w wywiadzie rzecze z Cezarym Michalskim „Życie umysłowe i uczuciowe” podaje informację, którą ma zapewne od samego zainteresowanego, że zdał on w Krakowie maturę. Jednak formalnie jest absolwentem szkoły podstawowej, chociaż nad wyraz inteligentnym.

I rozpoczyna samodzielne życie. Gdzie mieszka? Z czego żyje? Nie wiadomo. Czasem twierdzi, że z pokera. Ale poker to gra nielegalna i gracze umawiają się w melinach. Czy ktoś by tam wpuścił kilkunastolatka? Pozwoliłby mu wyjść cało z wygraną? Podobno pomagał mu krakowski adwokat Kapusto, ale to tylko niepotwierdzona legenda.

W każdym razie to nazwisko przylgnęło do niego na lata i nim się dla żartu przedstawiał, najpierw Maszy, czyli Marii Kapelińskiej, absolwentce ASP i zdolnej aktorce Teatru Cricot 2 Tadeusza Kantora, która zostaje jego żoną zaraz potem, gdy Iredyński osiąga pełnoletność.

Pytanie, czy starsza o siedem lat, dojrzała Kapelińska wyszłaby za tak młodego i kompletnie niestabilizowanego i już pijącego chłopaka, wtedy – wydawałoby się – bez przyszłości? A może się jej zwierzył, że w rzeczywistości jest starszy o kilka lat?

I jak to możliwe, że wcześniej nieletni – według metryki – debiutant dostaje pokój w słynnym domu przy Krupniczej 22, należącym do ZLP, chociaż członkiem Związku jeszcze nie jest? Na to nie pozwalały surowe regulaminy.

Jedna legenda mówi, że zamieszkał w pokoju przy mieszkaniu prezesa Stefana Otwinowskiego, inna, że udostępnił mu pracownię mieszkający z rodzicami wybijający się krytyk Ludwik Flaszen. Nie wiadomo, jak było, ale małżeństwo trwało krótko, tylko rok, bo Iredyński znęcał się nad żoną, sprowadzając do ich wspólnego łóżka rozmaite kobiety z miasta.

(Staniszkis opisuje, że gdy Iredyński był na stypendium w Berlinie Zachodnim, wydzwaniał do niej z żądaniami, by uzgadniała ze sprowadzanymi prostytutkami stawki za usługi, bo z braku znajomości jakichkolwiek języków nie był w stanie się z nimi w tej kluczowej kwestii porozumieć).

Zdruzgotana Maria Kapelińska wyjeżdża na zawsze, najpierw do rodzinnego domu w Łazienku koło Aleksandrowa Kujawskiego, a potem do Warszawy. (Ciekawe, że ten sam Łazieniec to wieś Edwarda Stachury, którego rodzina osiedliła się w niej po powrocie z francuskiej emigracji). Iredyńskiego nie chce znać, bo to niejedyne krzywdy, jakich od niego doznała; powodowany pijackimi atakami zazdrości skutecznie odciął ją od kariery aktorskiej u Kantora, na co się zgodziła.

A po sześciu latach jak najczulej zaopiekuje się więzieniem Iredyńskim. Będzie spełniać każde jego życzenie, słać paczki i listy, załatwiać wszelkie sprawy w Warszawie, systematycznie podróżować do Sztumu na widzenia, w przemysłny sposób przemycając alkohol, a na koniec tłuc się do więzienia w Gdańsku.

O liczbie zadań, które wypełniała, świadczą jego listy do niej, podane do druku przez Marka Sołtysika. Iredyński dalej manipuluje Maszą, namawiając, by wystąpiła o rozwód, i dopiero adwokat uświadamia jej, że rozwód z człowiekiem za kratami postawiłby ją w bardzo dwuznacznym świetle i dlatego to Iredyński powinien złożyć pozew rozwodowy. Tak się stało, lecz formalnie rozstają się dopiero w 1972 r.

Nie wybiegajmy naprzód. Jesteśmy w Krakowie, potem Iredyński osiada w Warszawie. Szybko zdobywa wielbicieli i wyznawców. Dla tych, których polubi, jest ujmujący, czuły i uważny. Ale równie szybko kolekcjonuje wrogów. Wielu się go boi, bo jest wiecznie pijany i nie wiadomo, kiedy agresywnie zaatakuje albo przynajmniej dotkliwie zelży. A środowiskowe bójkę w tamtych czasach bywają okrutne, jak ta, kiedy poeta Roman Śliwonik wybije oko i uszkodzi drugie poecie Swenowi Czachorowskiemu.

Takie urozmaicenia życia literackiego nie były rzadkie; sam Iredyński miał bliznę, o włos od tętnicy – to ślad sporu, kiedy kolega użył decydującego argumentu i z rozmachem wbił mu w szyję kieliszek. Lubi imponować kolegom tym, że nie liczy się z żadną hierarchią.

Jak relacjonował Krzysztof Mętrak, na rozdaniu nagród poetyckich w Gdańsku podchodzi do najważniejszego gościa, wiceministra kultury: „Coś tu marnie z gorzałą, panie ministrze, trzeba zrobić składkę”. A kiedy minister wyciąga 5 tysięcy, ówczesną trzymiesięczną średnią pensję: „Będziemy ciągnęli zapalki. Jak wygram, to pan poleci”.

W 1962 r. sąd koleżeński ZLP za trzy pijackie burdy wywołane w kawiarni związkowej i Domu Dziennikarza oraz pobicia zawiesza jego członkostwo w Związku na dwa lata.

Gdy Iredyński trzeźwieje, staje się niewidoczny, bo wtedy się zamyka i pisze, by odrobić straty finansowe.

Ma też zdeklarowanych wrogów literackich, nawet wśród bardzo wybitnych. Interesujące świadectwo można znaleźć w korespondencji Stanisława Le-ma, który też nie dowierza jego metryce, i Sławomira Mrożka. Iredyński działa na nich w szczególności spo-

Z wyniosłością mówił w wywiadzie radiowym: „Jest I liga i II, i III, tak jak w piłkarstwie. Jak pani wie, w I lidze gram ja, Mrozek i Różewicz ewentualnie”. Powiedzmy

sób: drażni ich, niepokoi, a nawet wywołuje, zwłaszcza u Mrożka, nieokiełzaną zazdrość.

Lem: „A tu jeszcze, na boku Ci powiem, ta zbytnia wstydlivość moja, a może nieświadome asekuranc-two. Bo Iredyński stanowczo Ci powie w wierszu, prozie czy sztuce teatralnej, zależnie od tego, jak mu się będzie chciało, czy jest Bóg, czy nie ma, potem zaniesie do PIW-u, o ile go ręka nie będzie bolała”.

Mrozek: „Iredyński urosł fizycznie, rozrósł się i podwyższył, tak więc jest tego świństwa parę kilo więcej, materiał, masa, ciężar zła powiększyły się w sposób sprawdzalny laboratoryjnie”.

Lem: „Talent? Nie umiem powiedzieć. I.I. jest bez porównania twardszy od bohatera, no i pisze. Ale wyosobnił z siebie taką cieklinę, ciekączkę. Swoje luzy, luźną bylejąkość wszarza, który wymigiwaniem się, unicestwianiem każdej sytuacji, w którą wchodzi i która się stwarza, unicestwianiem przez dorobienie jej nie gęby, lecz dupy cuchnącej, przez dysonans maksymalnie wstrętny paradoksalnie wykazuje niezwykłą konsekwencję.

O przyszłości I.I. nic nie wiem. Wiem tylko, że jest on nie tylko Łaydakiem, ale umie nim być, dla celów wyższych od doraźnego cycek przypalania i po oszukaniu jakichś nieszczęsnych dziw i Leszków postanowił analogicznie zabawić się z czytaczami beletrystyki”.

Mrozek: „Rzec można: sam Bóg i milionowie świeckich męczenników pracują na tego obiecującego młodzieńca, jakimś sposobem zdołał ich zatrudnić, zaprzągl do swego nędznego wózka i zmusił do ciągnięcia agresywnym pokrzykiwaniem. (...) Jedną z jego głównych cech charakterystycznych jest zdumiewająca umiejętność manewrowania innymi, manipulowanie, sztuka osiągania najwyższych zysków z zasobów nagromadzonych przez innych”.

Lem: „Zwracam uwagę na Kolegę i Somsia Wazego w »Dyalogu«, szalenie zdolnego Kurwipolcia, Jebura Ontologicznego, Super-Maciornika I.I., którego »Jaselka« takie Moderne przeczytałam wczora. (...) Gdyż on pisze z jajami – z Biglem – fakt! Ostrzega-

my Was! Popędzajcie Waszą Kłaczkę Skrzydlatą, bo w przeciwnym razie Ireneu dopadnie ją z tyłu i szybko wyjebie”.

Do 1965 r. Iredyński odnosi poważne sukcesy i staje się sławny. W niemałym stopniu, zwłaszcza w środowisku, przyczynia się do tej molojeckiej sławy auto-kreacja. A twórczość? Dewiza Iredyńskiego: „Jestem pisarzem jednego tematu – przemocy”. Taka brutalna tematyka przyciąga czytelników. Publikuje trzy tomy prozy i jeden poezji, teatry mają cztery sztuki, powstają trzy filmy fabularne, z czego dwa będą miały premiery w czasie, gdy autor przebywa już w więzieniu.

Czasem talentowi pomagają w sukcesie szczęście albo kontakty. Pierwsza premiera teatralna to „Męczeństwo z przymiarką” w Teatrze Wybrzeże w Gdańsku w końcu 1960 r. Dramat wyreżyserował sam Jerzy Jarocki. Jak wspominał tę pracę? „Umożliwiłem debiut Ireneuszowi Iredyńskiemu. Napisał on sztukę, której nikt nie chciał mu wystawić, a ja po znajomości (bo znałem go już wcześniej jako młodego poetę z Krakowa) postanowiłem mu pomóc. (...) Nie była to szczególnie pamiętna premiera, bo ten tekst na to nie pozwalał, ale co się dało (...), to zrobiliśmy”.

Mogłoby się wydawać, że pozycja literacka Iredyńskiego jest już trwale ugruntowana, a kariera będzie się burzliwie rozwijać. Tymczasem w końcu 1965 r., kiedy „Dialog” wydrukował właśnie jego wybitną sztukę „Żegnaj, Judaszu”, nastąpił gwałtowny krach. 18 grudnia 1965 r. Polska Agencja Prasowa przekazała prasie taką informację:

„Prokuratura powiatowa dzielnicy Warszawa-Śródmieście prowadzi dochodzenie przeciwko Ireneuszowi I. – literatowi i Edwardowi B. – reżyserowi o to, że w dniu 12.XII. br. w Warszawie, działając wspólnie i w porozumieniu, usiłowali dokonać gwał-

tu na 19-letniej dziewczynie, którą doprowadzili podstępnie do mieszkania znajomych. Pokrzywdzonej udało się zbiec i zawiadomić pogotowie MO.

Wobec podejrzanych prokurator zastosował areszt tymczasowy.

W najbliższych dniach prokuratura przekaże w tej sprawie akt oskarżenia do sądu”.

Ireneusz I. to Iredyński. Edward B. to Bernstein; właśnie ukończył reżyserię filmową. Kinomani znają go pod nazwiskiem Żebrowski, które później przyjmie.

Rusza fala domysłów. Nikt w ten gwałt nie wierzy. A co to znaczy „próbą gwałtu”? Dwóch skądinąd brutalnych facetów chciało zgwałcić 19-latkę i nie dali rady?

Mowa jest raczej o prowokacji, o zemście władzy. Iredyńskiego bezpieka od dawna musiała mieć na oku. Nie tylko z powodów obyczajowych. Przecież już w 1958 r. w numerze kwietniowym paryskiej „Kultury” wydrukował wiersz „Wszystko jest obok”. Poza tym to pamiętne plenum KC PZPR w 1963 r., kiedy subtelny znawca literatury Władysław Gomułka walił egzemplarzem „Dnia oszusta” w pulpit i zraszając pianą najbliższej siedzących, skrzeczał z obrzydzeniem: „Ten człowiek żyje tak, jak pisze!!!!”. Dla SB musiał to być jasny przekaz.

A może chciał się zemścić Grzegorz Lasota, twórca telewizyjnego „Pegaza”, któremu Iredyński zgasił w uchu papierosa? A może to ten prokurator, który w hotelu Bristol zajął mu krzesło i zaraz z niego spadł pod ciosami? Redaktor naczelny „Dialogu”, wybitny krytyk teatralny Konstanty Puzyna, uznał, że to sprawa czysto polityczna – jak raportowała TW „Krystyna”, obecna na kolegium redakcyjnym. Doniosła też, że inny uczestnik kolegium, Kazimierz Korcelli, twierdził, że mamy do czynienia z ubecką prowokacją.

Wersja ofiary: najpierw pili w knajpie we czwórkę, z Markiem Piwowskim. Potem zakupili kolejne flaszki i udali się do mieszkania; po drodze Piwowski się

ulotnił. Grzecznie zaproponowali jej, by się rozebrała. Zgodziła się pod warunkiem, że oni też wyskoczą z łachów. Oni gadali, a ona niby udala się do łazienki. Jednak półnaga uciekła do kotłowni w piwnicy. Tam ubrał ją palacz, który jak każdy palacz dysponował odpowiednim odzieniem. Wezwała milicję.

W przyszłości wyjdzie na jaw, że była córką podpułkownika wywiadu. Potem do rozprawy z pewnością była przygotowywana, bo parę razy odpowiadała na pytania sądu, których sąd jeszcze nie zdążył zadać. Sąd nie dopuścił też świadków obrony, uchylał pytania adwokatów do pokrzywdzonej. Wyrok zapadł błyskawicznie – już 27 stycznia 1966 r. dostali po trzy lata.

Felietonista „Tygodnika Powszechnego” Stefan Kisielewski, do niedawna poseł na Sejm, który odwiedził Iredyńskiego w ciężkim więzieniu w Sztumie, usiłował mu pomóc. Nakłonił go do napisania listu do Artura Starewicza, bliskiego współpracownika Gomułki. Starewicz tak Kisielewskiemu odpowiedział: „Proszę pana, gdyby on błagał o łaskę, to mógłbym coś zrobić, ale on napisał, że prokurator był łajdakiem, a oskarżenie jest kłamliwe – ja nie mogę nic zrobić...” („Alfabet Kisiele’a”).

W ważnych sprawach pomagają inni. Partyjny pisarz Jerzy Putrament, członek KC PZPR, załatwia kwestie bezcenne: po jakimś czasie Iredyński zostaje zatrudniony w bibliotece więziennej – to komfortowa praca. Dostaje pojedynczą celę. Pojedynka, która dla kryminalisty jest ciężką karą, dla Iredyńskiego jest zbawieniem, bo Putrament załatwił mu zgodę na posiadanie maszyny do pisania i w spokoju może tworzyć. Ale najbardziej pomocna, bo na każde skinięcie, jest Masza Kapelińska. Pomaga mu wytrwać przez te trzy lata; Bernstein wyszedł po dziewięciu miesiącach z powodu ciężkiej choroby.

Domysły i plotki na temat tej sprawy kłębią się w środowisku nadal. A oto co na podstawie akt IPN-u ustaliła po latach wspomniana już autorka biografii Iredyńskiego Małgorzata Raducha, która przytacza treść notatek służbowych z roku 1962. „Z rozmów przeprowadzonych z Witoldem K. [nazwisko pominiemy – J.A.] wraz z jego żoną Anną wynika, że w sierpniu ub.r. Iredyński umówił się z K. (...), zaprowadził ją do mieszkania, gdzie przetrzymywał ją przez całą noc. (...) K. twierdzi, że nie miała z nim stosunku. (...) Iredyński według K. (wówczas narzeczonego, później męża Anny) miał organizować na niego napady”.

Raducha pisze, że K. to artysta malarz, syn dyrektora szpitala psychiatrycznego w Tworzech spokrewnionego z Zenonem Kliszką, prawą ręką Gomułki. Autorka korespondowała z K., mieszkającym teraz w USA. Odpowiedział na mejla: „Nie został uwieziony za polityczne poglądy. (...) Zapłacił za straszliwe pobicie i gwałt kobiety, której dane trzeba było ukryć z powodów osobistych. (...) Ojciec Anny od razu chciał pójść z tym na milicję, tylko że my – Ania i ja – nie chcieliśmy, żeby o tej sprawie dowiedzieli się wszyscy wokół nas. Mój ojciec (...) mimo wszystko skontaktował [ojca Anny] z odpowiednią osobą w KC”. Czyli z Zenonem Kliszką. „Władze zainteresowały się sprawą”.

Iredyński wychodzi z więzienia w Gdańsku, gdzie trafił na koniec na oddział szpitalny, jesienią 1968 r.

Szybko wraca na rynek; lata 70., po odejściu w niebyt ekipy Gomułki, to okres jego wielkiej aktywności. Znacznym sukcesem będzie sztuka „Żegnaj, Judaszu” wyreżyserowana przez Konrada Swinarskiego w Starym Teatrze w Krakowie w 1971 r. Pisze wiele, przede wszystkim utwory przynoszące szybkie i duże pieniądze. Scenariusze filmowe, sztuki teatralne, a zwłaszcza świetne słuchowiska radiowe. Zbiory sztuk teatralnych i słuchowisk wydaje w zbiorach książkowych.

Najmniej efektywne artystycznie są scenariusze; często są to właściwie statyczne, oparte na dialogach, a nie akcji zarejestrowane na taśmie obrazy sceniczne. Zresztą Iredyński być może dlatego nigdy nie zainteresował reżyserów naprawdę wybitnych. Wyjątek to krótkometrażowy film – debiut fabularny Krzysztofa Kieślowskiego „Przejście podziemne” z 1973 r.

Jak zarabiał na słuchowiskach? W tamtych latach trzy istniejące programy radiowe urządziły wiosną i jesienią zamknięte konkursy. Za udział w nich zaproszonym autorem płacono. Pierwsza nagroda stanowiła około dziesięciu miesięcznych pensji, a Iredyński często te nagrody zdobywał. Do tego dochodziły honoraria za emisje i tantiemy za powtórki. We wszystkich brał udział. Wygrał nawet konkurs na słuchowisko o tematyce antyalkoholowej.

A pisał w przerwach rekolekcji alkoholowych, jak nazywał chłanianie. Systematyczne, w niekończących

się ciągach, od świtu do nocy. Jeśli ciąg trwał miesiąc, bez problemu wypijał dziennie półtora litra wódki. I drwił z Grochowiaka: „Ten alkoholik stosuje wyłącznie koniak, bo on podobno zdrowy na serce... Przecież padnie od tego koniak, kulwa... Tylko gorzalka jest zdrowa...”. Grochowiak żył 42 lata, Iredyński, jeśli wierzyć metryce, 46 [zmarł w 1985 r.], a więc miał rację – gorzalka okazała się zdrowsza.

Gdy kończyły się pieniądze, robił przerwę w picu i siadał do pisania – od razu na czysto, na maszynie. Dialog nie miał dla niego tajemnic, więc słuchowisko, scenariusz czy sztukę tworzył błyskawicznie. Jako poeta nie miał najmniejszych problemów z tekstami piosenek. Pilnował, by wykonywali je najbardziej popularni, bo to przynosiło wtedy wielkie tantiemy; mógł to być Jerzy Połomski, ale też Czesław Niemen.

Z czasem, gdy tracił siły twórcze i pisanie stawało się bardziej żmudne, w nieskończoność robił przeróbki gatunkowe konkretnego utworu. I tak słuchowisko „Okno” przerobił na sztukę teatralną „Dacza”. Potem powstało opowiadanie „Okno”, które zamieniło się w scenariusz filmowy „Okno”. Scenariusz został przerobiony na sztukę telewizyjną, która została zaadaptowana na sztukę sceniczną. Już z tego można było przeżyć ze dwa lata.

I wracał do rekolekcji, jakby chciał z nawiązką nadrobić chude lata więzienne. Chude, bo bez specjalnego wyboru. Dentystka w Sztumie nie żałowała mu spirytusu aptecznego. Pielęgniarki bez problemu wydawały dowolne ilości płynu przeciwko łupieżowi na spirytusie. Pobierał go w takich ilościach, że władze więzienne, składając ogromne zamówienia, podejrzewały epidemię. Co miesiąc prawdziwy alkohol przemycala Masza. Opowiadał, choć nie lubił wspomnień więziennych, że zaopatrywali go też przekupieni klawiszse. Czy więzienie go zlamalo? Stał się bardzo ostrożny; nawet gość w środku dnia musiał się opowieścić, nim został wpuszczony. I, co najważniejsze, ten wróg systemu nigdy, choćby na krok, nie zbliżył się do opozycji. Było to tak uderzające, że nawet Staniszkis uważała za stosowne uzasadnić ową asekurancją postawę. W książce, napisanej z Michalskim, zrobiła to w nikczemny sposób, w te słowa charakteryzując opozycję:

„Większość tych inteligenckich czy pisarskich wystąpień robili ludzie, którzy okazywali się później donosicielami. (...) Ci »napompowani pisarze« to byli ludzie, którzy bardzo często wybrali politykę później, z czystej kalkulacji. (...) Już w latach siedemdziesiątych znalezienie się w tej opozycyjnej puli dawało więcej korzyści i więcej bezpieczeństwa niż pozostanie na zewnątrz”.

To zdumiewająca logika: Iredyński trzymał się od opozycji z daleka, bo brzydziły go korzyści i nie obchodziło własne bezpieczeństwo.

Staniszkis, chociaż ofiara przemocy ze strony Iredyńskiego, także fizycznej, z sentymentem i bezkrytycznie powtarza też inne baśnie zasłyszane od niego. Że Irek, siedząc jakiś czas w jednej celi z Kurokiem, bez litości miażdżył go intelektualnie, ponieważ przeczytał prawie wszystkie książki świata. Bezradny Kuroń przestał go za to lubić.

A oto inna, przytoczona przez Raduchę relacja o ich stosunkach: Kuroń śmiga, czyli przemierza celę tam i z powrotem, dumając głośno o żonie: „Wspaniała ta moja Gajka, naprawdę wspaniała...”. Iredyński: „Jedną taką wspaniałą nawet znałem, dymaliśmy ją później we trójkę...”. To opowiedział Iredyński Stanisławowi Bredjgantowi, komentując: „Popatrz, Stasiu, jaki palant”.

W 1959 r. Julian Przyboś pisze o Iredyńskim jako o „nowym wielkim talencie”. Niewątpliwie przez lata ten talent pisarski imponując się rozwinął, ale czy dzieła dalej są czytelne? Najlepszym miernikiem jest scena – dla teatru sztuki Iredyńskiego zgasły i wśród reżyserów straciły zainteresowanie. Proza z tamtej epoki po wielkiej i wszechstronnej przemianie ustrojowej wydaje się teraz bardziej obiektem dla historyków literatury niż żywym źródłem fascynacji czytelników. Mistrzowskie słuchowiska są niedostępne. Od poezji sam się szybko oddalił.

Iredyńskiemu, który miałby dziś 85 lat, trudno byłoby się z tym pogodzić. Przecież z taką wyniosłością mówił w wywiadzie radiowym: „Jest I liga i II, i III, tak jak w piłkarstwie. Jak pani wie, w I lidze gram ja, Mrozek i Różewicz ewentualnie”.

Powiedzmy. Ale to Różewicz i Mrozek, a i Lem, ocierali się kilkakrotnie o Nagrodę Nobla. I ci ostatni to była Ekstraklasa, która jeszcze nie istniała, więc Iredyński w swym wywodzie nie mógł jej uwzględnić. Zatem została mu, owszem, I liga. ●

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Marianna Kijanowska*

*tamta wojna była bomby tory wagony pył
powoli sobie osiadał wzmacniał się jak czerwone*

*ta wojna nie wiem kolumny samochodów
wzdłuż dworca domy bez wnętrzości gwiazdy bezdomne*

*koci król oddawał życia jedno za drugim
za tatę za mamę synów i córki za SZU naszych kotków*

*oddal i ostatnie nie opamiętał się
złotowłosa leży teraz i czernieje
kot jak gwiazda leży teraz i czernieje
leitmotiv lokomotyw*

*tamta wojna była iskry z kominów wznosiły się i nie gasły
loko loko loko loko w koło motyw
międlil mielil młócił*

*no a na tej wojnie
miejsca nie ma miejsca nie ma
nie ma miejsca gwiazd i nie ma miesiąca*

i nie ma nigdzie nie ma motywu

*wybiegł z pociągu widzisz nie ma ni mostu ni miasta
i pola nie ma i zdaje się nieba nie ma bo tam
gdzie były niebo ziemia ludzie siedzieli w wagonach
ludzie w wagonach
ale wagonów nie ma ani nieba ani ziemi*

bez skrzydeł bez żył tory wagony pył nagie kości

*i koci król bosy złotowłosa
miał pod pazurem swoje ostatnie życie w niebie
i nie w biedzie lecz w radości*

*oddal i je
i radował się*

*nikt nie zmartwychwstał bieda gdzie bieda ale oto nowe żywe
miasto i most*

*żywe domy żywe żywe
żywe pole i skowronki żywe niebo bo niebo to miejsce dla słońca
miejsce dla gwiazd koło księżycy
żywe miejsce dla nas*

*będziemy się radować
zbawieniem
na śmierć wrogom*



FOT. BARTOSZ BANKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Marianna Kijanowska** – ur. w 1973 r., ukraińska poetka, prozaiczka, tłumaczka i badaczka literatury. W 2022 r. laureatka gdańskiej nagrody Europejski Poeta Wolności i Międzynarodowej Nagrody Literackiej im. Zbigniewa Herberta. Tłumaczy na ukraiński poezję polską, m.in. wiersze Tuwima, Leśmiana i Tkaczyszyna-Dyckiego.

Wiersz za jej tomem **„Fotosynteza / Fotosintez”**, przeł. Aneta Kamińska, Fundacja Pogranicze, trzecia seria Biblioteki Poezji Ukrainy („W obliczu wojny”), wydanie dwujęzyczne, Sejny 2023.



Po wojnie Stanisław Huskowski „Ali” został obwiniony o to, że podczas zamachu na „kata Warszawy” zawiódł, bo był niedorajdą. Źródła temu przeczą.



SKRZYWDZONY UCZESTNIK

akcji Kutschera

Wojciech Szot

O

Od ponad dekady nauczyciel Waldemar Stopczyński domaga się korekty utrwalonej w podręcznikach, wspomnieniach, filmie Jerzego Passendorfera „Zamach” (1959), a także we współczesnych nam publikacjach wersji wydarzeń, do których doszło 1 lutego 1944 roku podczas słynnego zamachu na „kata Warszawy” SS-brigadeführera Frantza Kutschera. W akcji przeprowadzonej przez oddział Armii Krajowej do zadań specjalnych „Pegaz” zginęło czterech bojowców. Część winy za te ofiary spadła po wojnie na Stanisława Huskowskiego „Alego”, uczestnika akcji i zastępcę dowódcy oddziału.

Stopczyński twierdzi, że krytyczna ocena postępowania „Alego” (który zginął 11 lipca 1944 roku w innej akcji), jest krzywdząca, a przede wszystkim niezgodna z informacjami zawartymi w źródłach. Winą za utrwalenie tego nieprawdziwego obrazu obarcza nie tylko niektórych towarzyszy broni „Alego”, ale także współczesnych historyków. Na portalu Historiabezkitu.pl Stopczyński opublikował artykuł, w którym zrelacjonował swoje badania.

Z WALDEMAREM STOPCZYŃSKIM
ROZMAWIA WOJCIECH SZOT

WOJCIECH SZOT: W sprawie, o której będziemy rozmawiać, napisałeś mnóstwo tekstów, listów, pism... Co sprawiło, że nauczyciel polskiego z podstawówki angażuje się w rozwikłanie – jak sam to nazywasz – kłamstw dotyczących słynnej „akcji na Kutschera”?

WALDEMAR STOPCZYŃSKI: Przypadek. Chyba w 2006 zadzwonił do mnie rodzic jednego z uczniów i powiedział, że w Warszawie ma wujka, który chce mi opowiedzieć ciekawą historię związaną z zamachem. Dlaczego do mnie? Nie zajmowałem się historią, uczyłem polskiego, o samej akcji niewiele wiedziałem, pamiętałem kadry z filmu Passendorfera „Zamach”.

Jednak pojechałeś porozmawiać?

– Pojechałem. I usłyszałem historię człowieka, który znalazł się na miejscu zamachu kilkadziesiąt minut po



• **Aleje Ujazdowskie, luty 2009 rok. Re-konstrukcja zamachu na „kata Warszawy” Franza Kutscherę przeprowadzonego przez oddział Armii Krajowej „Pegaz”**

FOT. ALEKSANDER PRUGAR / AGENCJA WYBORCZA.PL

jego przeprowadzeniu. Wróciłem do domu, przesłuchałem naszą rozmowę i postanowiłem ją zweryfikować. Zajrzałem do książek, internetu i coś przestało mi się zgadzać.

W opowieści twojego rozmówcy?

– W opowieści pana Janusza Hocha nie było niczego niewiarygodnego. To w tym, jak pisano o zamachu na Kutscherę, pojawiły się niezgodności. Przez lata oskarżano jednego z uczestników akcji, Stanisława Huskowskiego ps. „Ali”, o to, że zawiódł. Był czarną owcą tej historii. Natrafiłem jednak na dokument, raport z akcji na Kutscherę, rzekomo nigdy niepowstały, tzw. raport „Alego”, który w innym świetle pokazuje jego udział. I jak się okazało, rzucił inne światło na postawę kapitana Adama Borysa ps. „Plug” – dowódcy batalionu „Parasol”, którego żołnierze wykonali wyrok na „kacie Warszawy”.

Napisałem list do uczestniczącej w zamachu jako łączniczka Marii Stypulkowskiej-Chojeckiej „Kamy”. Niemal na klęczkach poprosiłem o pomoc w upo-

wszechnieniu dokumentu, który przywraca dobre imię jej towarzyszowi broni. Spodziewałem się aprobaty. Odpowiedź mnie zmiotła. Kim ja jestem? Zwykłym nauczycielem języka polskiego, wtedy w gimnazjum, a tu legendarna „Kama”, dama orderu Virtuti Militari, honorowa obywatelka Warszawy nazywa mnie rewizjonistą historycznym, a dokument spreparowanym.

Zacytujesz?

– „Otóż wszystko, co można wiedzieć o oddziale (...) noszącym kolejne kryptonimy: »Agat«, »Pegaz «, »Parasol« – pisała do mnie „Kama” – zawarto w publikacji pod tytułem »Parasol« Piotra Stachiewicza. Autor długo przygotowywał tę książkę, przeprowadzając badania dokumentów, liczne rozmowy i dyskusje z uczestnikami wydarzeń, a w końcu uzyskał aprobatę tekstu przez dowódcę oddziału Adama Borysa”.

Dla „Kamy” opowieść o „Parasolu” miała formę zamkniętą, bo uświęconą przez dowódcę. I dlatego, wbrew faktom, nie godziła się na żadne zasadnicze zmiany tej narracji.

Tylko czy „Kama”, niezależnie od zasług, jako świadek historii ma wyłączne prawo do rozstrzygania tego, co jest prawdą, a co nie? Czy miała wiedzę o wszystkim? Myślałem, by razem z uczniami przygotować projekt, w którym zestawimy obie wersje historii, ale ze względu na stanowczość reakcji legendarnej „Kamy” zrezygnowałem z tego pomysłu i sam zacząłem szukać, badać, publikować. Szybko zmieniło się to w walkę o uczciwość i rzetelność w badaniach historycznych.

Brzmi to jak bardzo skomplikowana historia.

– Ale wcale taka nie jest. W zasadzie wszystko dotyczy trzech krótkich dokumentów z lutego 1944 roku opisujących akcję na Kutscherę. Problem w tym, że dwa z nich pozostawały nieznane, bo o ich powstaniu nie powiedział Adam Borys „Plug”.

Zacnijmy od samego zamachu na Kutscherę w Alejach Ujazdowskich. Jaki był plan?

– Plan zakładał zabicie Kutschery przed pałacem, gdzie urzędował. Samochód akowców miał zablokować auto Kutschery przed komendanturą przy Al. Ujazdowskich 23, a sam „kat Warszawy” miał zostać zabity w walce. Chodziło o to, by nie była to jedynie egzekucja. Stoczenie walki miało być sygnałem nie tylko dla okupanta, ale też dla mieszkańców Warszawy.

Żołnierzom przydzielono zadania. Wyznaczono, kto ma zabić „pana K.”, kto zająć drogę, kto ubezpieczać zamachowców i kto ewakuować ich z miejsca akcji. Po raz pierwszy akcję próbowano wykonać 28 stycznia 1944 roku, jednak Kutschera nie przyjechał do pracy, więc zamachowcy musieli zejść z pozajmowanych pozycji. Tego samego dnia późnym popołudniem zastępca dowódcy akcji Jan Kordulski „Żbik” został ranny w przypadkowej strzelaninie z niemieckim patrolem. Wyeliminowało go to z udziału w powtórce zamachu.

Tu już pojawiają się rozbieżności.

– Mamy dwie narracje. Pierwsza ukształtowała się pod egidą Adama Borysa „Pluga”, twórcy oddziału „Agat”/”Pegaz”, który przekształcony został wiosną 1944 roku w słynny „Parasol”. Borys, choć sam po wojnie relacji nie pisał, przez lata kontrolował kształtowanie narracji o swoim oddziale i w końcu aprobował tę wersję wydarzeń, która do dzisiaj przez wielu historyków uważana jest za kanoniczną. Choć wiemy, że jest nieprawdziwa.

Druga?

– Drugą narrację znajdujemy w raporcie Stanisława Huskowskiego „Alego”, przygotowanym tuż po akcji. Zgodnie z tym, co zawiera wersja uświęcona autorzytetem Borysa, dzień po pierwszej próbie odbyła się odprawa. Zdecydowano wtedy, że auta przeznaczone do odskoku będą czekać na innej ulicy, rannego „Żbika” zastąpi Huskowski, a do zespołu wykonawczego zostanie dołączony jeszcze Zbigniew Gęsicki „Juno”. Zatem „Ali” miał sporo czasu, by się oswoić z rolą zastępcy dowódcy.

Z raportu „Alego” wynika coś innego. Aż dwukrotnie wspomina o tym, że na zastępcę został wyznaczony dopiero w drodze na akcję. Warto się zastanowić, jaki wpływ na psychikę żołnierza ma fakt, że o tak dużej odpowiedzialności dowiaduje się na chwilę przed walką, gdy po raz pierwszy ma strzelać do Niemców. I jakie to może wywołać zamieszanie, skoro nie było czasu, by reszta zaangażowanych osób się o tym dowiedziała.

Zanim o kolejnych rozbieżnościach, uporządkujmy daty. Powiedziałeś, że „Ali” pisze raport tuż po akcji. Kiedy zaczynają się pojawiać informacje od Borysa?



• **Stanisław Huskowski ps. „Ali”, zastępca dowódcy „akcji Kutschera”. Zginął 11 lipca 1944 roku w wieku 21 lat, podczas zamachu na członka rządu Generalnego Gubernatorstwa Wilhelma Koppego**

FOT. DOMENA PUBLICZNA



• **Adam Borys ps. „Plug” (1909-86) dowódca batalionu „Parasol”. Jego żołnierze wykonali wyrok na „kacie Warszawy”**

FOT. DOMENA PUBLICZNA



• **Okadka komiksu o zamachu na Kutscherę wydanego przez IPN, a stworzonego przez Sławomira Zajączkowskiego i Krzysztofa Wyrzykowskiego pod opieką naukową dr. Tomasza Łabuszewskiego**

– Książką, która najobszerniej opowiadała o akcji na Kutscherę, była monografia Piotra Stachiewicza pt. „Parasol”. Po raz pierwszy ukazała się w 1981 roku – tuż przed stanem wojennym. Autor powołuje się na relacje Borysa, który autoryzował cały tekst. Nie zachowały się jednak żadne ślady po tych relacjach. Nie da się zweryfikować tego, co Stachiewicz napisał, powołując się na Borysa, bo te relacje, jak napisała jedna z badaczek, „nie zmaterializowały się”.

Pierwsza rozbieżność za nami. Co dalej?

– Po wojnie Adam Borys w istocie oskarżył swojego podkomendnego o ucieczkę z pola walki. Jest 1 lutego 1944 roku, osoby zaangażowane w akcję stawiają się w miejscu rozdziału broni. Bardzo sugestywnie scena ta przedstawiona jest w filmie Passendorfera i w zasadzie jest zgodna z tym, co 20 lat później zostanie zapisane w książce Stachiewicza.

Okazuje się, że nie ma dla „Alego” broni. Dostaje więc tylko teczkę z granatami, którymi ma obrzucić bliżej niesprecyzowany cel. On jednak podczas akcji tej teczki nie potrafi otworzyć. Zatem mamy „Alego” bez broni, który nie poradził sobie z prostą czynnością. Oferma życiowa.

Jednak raport „Alego” przedstawia tę sytuację inaczej. Rzeczywiście nie dostarczono broni, ale tylko pistoletu maszynowego. Natomiast broń krótka była i do walki „Ali” ruszył z dwoma pistoletami. Wszyscy są zgodni co do tego, że nie udało mu się otworzyć teczki. W filmie Passendorfera jest kolejna sugestywna scena, gdy już po akcji jadąca w samochodzie z „Alim” łączniczka bez problemu ją otwiera. Mamy żołnierza oferme, panikarza. Problem w tym, że to oskarżenie stanowczo niesprawiedliwe i krzywdzące. Wiemy dzisiaj niewątpliwie z dokumentu, o którego istnieniu Adam Borys nigdy nie powiedział, że ta teczka była wadliwa, zacinała się. Największym, a moim zdaniem jedynym błędem „Alego” było to, że jej nie sprawdził. Ale na pewno nie spanikował – to fakt potwierdzony w dokumentach, nie moja opinia.

Co się dzieje później?

– Zgodnie z wersją autoryzowaną przez Borysa „Ali” ucieka do samochodu. W wielu opracowaniach jest to nazwane dezercją, ucieczką i tchórzostwem. „Ali” jest zastępcą rannego dowódcy, czyli porzuca swoich podkomendnych na polu walki. To ciężkie oskarżenie. Natomiast według raportu „Alego” po niepowodzeniu z otwarciem teczki wyciąga swoje pistolety i bierze udział w walce, próbuje zapanować nad chaosem. Nie umyka pierwszy do auta, ale wraca, żeby „zobaczyć, co się dzieje z resztą ludzi” – tak napisał w raporcie. Moim zdaniem to zachowanie odpowiedzialnego dowódcy.

Przedstawienie „Alego” jako nieudacznika i tchórza klóciło się oczywiście z faktem, że został później zastępcą dowódcy w najbardziej skomplikowanej akcji „Parasola” – zamachu na gen. Koppego w Krakowie. W tej akcji „Ali” zginie. Skoro zawiódł 1 lutego, dlaczego został wybrany do kolejnej akcji? Przecież w warunkach wojennych żołnierz, który zdezerterował, powinien raczej trafić pod sąd.

Stachiewicz tłumaczy to źle rozumianą przyjaźnią i taką wykładnię powtórzył sam Borys w wywiadzie w 1984 roku, jednym z nielicznych, jakich udzielił, i jedynym, w którym krótko, ale wprost odniósł się do tego, co nazywano „sprawą Alego”. Mówił: „Znając predyspozycje psychiczne »Alego«, nie wolno było wystawiać go do głównych zadań w akcjach. Poza innymi, którzy zostali brakiem jego działania skrzywdzeni, on sam został najbardziej skrzywdzony, i to niepotrzebnie”.

Te słowa w świetle znanych dzisiaj dokumentów oznaczają, że Adam Borys już po wojnie skazał niesłusznie na infamię poległego żołnierza, a odpowiedzialnością za jego śmierć obciążył, równie niesłusznie, innych poległych podkomendnych. To clou tego, co powinno być nazwane „sprawą Adama Borysa”.

Wróćmy jednak jeszcze do różnic w wersjach tej historii. Gdy, już po zamachu, następuje ewakuacja z miejsca akcji, do auta kierowanego przez „Sokoła” (Kazimierza Sotta) wsiadają ranni i zdrowy „Juno” jako obstawa, do drugiego – „Ali” z „Kruszynką” (Zdzisław Poradzki), obaj niedraśnięci. Zaczyna się peregrynacja po Warszawie w celu umieszczenia rannych w jakimś szpitalu. Auto „Sokoła” jedzie najpierw do Szpitala Maltańskiego, w którym zostają przyjęci dwaj lżej ranni. Mający ciężkie postrzały dowódca akcji Bronisław Pietraszewicz „Lot” i Marian Senger „Cichy” zostają odwiezieni na Pragę.

Zgodnie z wersją afirmowaną przez Borysa „Sokół” i „Juno” dostali od rannego „Lota” rozkaz porzucenia samochodu po praskiej stronie Warszawy. Nie zrobili



tego. Zatem mamy lekkomyślność, brawurę, niesubordynację. Efekt? Na moście Kierbedzia zorientowali się, że jest on obstawiony niemiecką policją. Przy próbie zawrócenia auto zaczęło o balustradę. Doszło do walki, która skończyła się skokiem do Wisły. Obaj zginęli.

W raporcie „Alego” czytamy jednak coś innego. „Lot” wydał im rozkaz odwiezienia auta „na warszawską stronę”. To jest istotna sprawa, czy żołnierz ginie, wykonując rozkaz, czy ginie, ponieważ wydany rozkaz zignorował.

Tylko skąd „Ali” miał wiedzieć o rozkazie? Zgodnie z dotychczasową wiedzą jego rola skończyła się po ucieczce do samochodu.

– To kolejna manipulacja. „Ali” jako jedyny uczestnik akcji był czynny od 1 lutego do poranka następnego dnia. Brał udział w akcji ewakuowania rannych z prawej strony Wisły i przebywał z rannym dowódcą w szpitalu, ochraniając go. Gdy zaufamy raportowi „Alego” i zastanowimy się nad sensem wydanego przez „Lota” rozkazu, okazuje się on jak najbardziej logiczny – porzucenie auta przed szpitalem naraziłoby rannych na dekonspirację. Poza tym w środku była cenna dla oddziału broń. Innych motywacji nie znamy, natomiast wiemy, że ukształtowała się narracja, że „Sokół” i „Juno” zginęli, bo nie wykonali rozkazu.

W książce Stachewicza jest też bardzo dziwna informacja o tym, że ich ciała wyłowiono z Wisły. To nieprawda i Adam Borys powinien tę informację skorygować, ale i w tym miejscu tego nie zrobił. Może chciał udowodnić, że zadbał o wszystko? Przecież według niego w całej akcji na Kutscherę to nie on popełniał błędy, ale jego ludzie.

Piszesz, że to niejedyny apokryf dotyczący akcji.

– Bardzo ciekawego fałszerstwa dopuścił się jeden z żołnierzy „Parasola” zupełnie niekojarzonych dzisiaj z zamachem, Zbigniew Rawicz-Roessler „Bob”. Jest autorem relacji, w której twierdził, że obserwował zamach, stojąc razem z Józefem Szczepańskim „Ziutkiem”, czyli autorem słynnych piosenek powstańczych jak „Pałacik Michla”, na rogu Alei Ujazdowskich i ulicy Chopina. Nie mogło ich tam być, bo to by oznaczało, że są w środku strzelaniny.

Na podstawie tej relacji o akcji Wojciech Żukrowski napisał w 1945 roku w reportażu „Wielkie łowy w Alejach Ujazdowskich”. Wspomnienie „Boba” to pierwsza chronologicznie mistyfikacja wokół słynnej akcji.

Pierwszą istotną relację w 1947 roku złożył Zdzisław Poradzki „Kruszynka”. Została opublikowana w „Rzeczpospolitej” w trzech odcinkach. Nie ma w niej niczego, co uderzałoby w osobę Stanisława Huskowskiego „Alego”.



• **Waldemar Stopczyński (z lewej) odbiera w 2013 r. z rąk Jana Ołdakowskiego dyrektora Muzeum Powstania Warszawskiego Nagrodę im. Jana Rodowicza**

FOT. AGATA GRZYBOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Do odwilży w 1956 roku nie pojawiają się nowe relacje. Wtedy na scenę wkracza Michał Issajewicz „Miś”, który podczas akcji zajechał drogę limuzynie Kutschery. Jest już jedynym żyjącym uczestnikiem walki, bo Borys nie brał bezpośredniego udziału w tej ani żadnej innej akcji swojego oddziału. W tygodniku „Przygoda” publikowane są wspomnienia „Misia”, rok później wychodzi książka „Zamach na Kutscherę” Marka Dunina-Wąsowicza oparta na jego relacjach. To „Miś” jako pierwszy opowiedział, że „Ali” się załamał, że nie stworzył teczek, bo był niedorajdą. Czytając jego relacje, można jednak dostrzec, że historia ewoluowała w kierunku wyeksponowania własnego udziału i żyjących łuczników. Nie sądzę, by celowo manipulował historią, ale niestety nikt tego, co opowiadał, nie weryfikował.

W tym samym czasie Issajewicz zostaje konsultantem filmu Passendorfera „Zamach”. Adam Borys oglądał ten film i też nie zareagował. Jego syn opowiadał, że ojciec wyszedł z kina i stwierdził, że to jest taka zabawna ramotka. I że oczekuje od historyków rzetelnej, naukowej analizy. Jak się okaże, postulat naukowej analizy doprowadzi Borysa do tego, że stanie się największym fałszerzem historii swojego oddziału.

A może to raport „Alego” jest fałszywką?

– Zarzut taki pojawił się w kręgu „Kamy” jako pierwsza reakcja na informację o nim, jednak wszystkie jego cechy wskazują bezdyskusyjnie na to, że jest oryginałem wytworzonym zaraz po akcji. To jedyny chyba dokument wytworzony w strukturze Kierownictwa Dywersji Komendy Głównej AK, który jest podważany, w przeciwieństwie do relacji powstałych wiele lat po akcji.

Wersję, w której to „Ali” zawiódł, przez lata powtarzali historycy związani z IPN.

– W jednym z pism wprost mi napisano, że historycy IPN nie „uzurpują sobie prawa do kwestionowania wiarygodności wspomnień byłych żołnierzy” i że „nie mają takiego zwyczaju”. To oczywiście kuriozalne.

„Ali” zginął w czasie odwrotu po zamachu na gen. Wilhelma Koppego 11 lipca 1944 roku. Zdążyłem jeszcze porozmawiać z Wojciechem Świątkowskim „Korcakiem”, który brał udział w tej akcji. Powiedział mi, że jeśli „Ali” napisał raport, to na pewno napisał w nim prawdę. Kompetencji etycznych „Alego” nikt nigdy nie podważał, nawet ci, którzy występowali przeciwko oryginalności raportu. Podważano go dlatego, że nie pasował do jednej, przyjętej już historii. I siłą rzeczy w złym świetle stawiał Adama Borysa.

Teraz najważniejsze. Przez kilkanaście lat kwestionowano wiarygodność raportu, podnosząc argument, że nie ma dowodu, że zapoznał się z nim Borys. Okazało się, że niepodważalny dowód był. Jednak ten fakt był ukrywany przez moim zdaniem drugiego po Borysie fałszerza tej historii. Co szokujące – odkrywcę raportu. Dr Henryk Piskunowicz na początku lat 90. odnalazł raport „Alego” w Archiwum Akt Nowych, ale nie wspominał już o tym, że do raportu dołączone było również pismo przewodnie, którego autorem był... Adam Borys. Nie chciał mi odpowiedzieć, dlaczego ukrył ten fakt.

W piśmie przewodnim, które powstało zapewne zaraz po zapoznaniu się dowódcy z raportem sporządzonym przez „Alego”, Borys skrytykował Huskowskiego, ale nie za ucieczkę z pola walki, bo tej nie było. Uznał jednocześnie, że jego błędy są wynikiem jedynie braku doświadczenia bojowego, a nie, jak powiedział 40 lat później, niewłaściwych „predyspozycji psychicznych”. To Borys, a nie „złe pojmujący przyjaźni” koledzy „Alego”, zdecydował o skierowaniu Huskowskiego do kolejnych działań bojowych. I on swój obowiązek wykonał do końca, czego nie można powiedzieć o jego dowódcy, który przecież też ma zobowiązania wobec tych, którzy giną, wykonując jego rozkazy.

I wtedy na scenę wkraczasz ty.

– No nie. Dochodzenie do tego, że to Adam Borys odpowiada za fałsz, zajęło mi więcej niż 10 lat i było wielkim zaskoczeniem. Artykuł, w którym tę odpowiedzialność „Pługa” opisałem, ukazał się w 2019 roku, a do pierwszego zwarcia ze środowiskiem historyków doszło już na początku 2009, kiedy IPN współorganizował wielką rekonstrukcję zamachu w Al. Ujazdowskich. Informowałem wtedy dr. Tomasza Łabuszewskiego, dyrektora oddziału warszawskiego IPN, że w scenariuszu nie ma niczego o raporcie z akcji. Zignorował mój sygnał i był to wtedy po prostu błąd, który z czasem przerodził się w fałszowanie tej historii z pełną premedytacją. Od pewnego czasu za wiedzą władz Instytutu.

W 2014 roku w „Gazecie Wyborczej” ukazał się tekst Mirosława Maciorow-

skiego „Teczka »Alego«”, w którym Maria Wiśniewska, była łączniczka „Parasola” i historyczka, stawia pytanie o to, czy Borys mógł znać raport „Alego”. A ponieważ nie było wtedy na to dowodu, raport był dla niej podejrzany i niewiarygodny. Dr Piskunowicz, który wypowiada się w tekście, o piśmie przewodnim nie wspomina ani słowem, choć powinien. Również Mariusz Olczak, od dwóch lat dyrektor Archiwum Akt Nowych, mówi, że „nie wiadomo też, jak [raport] został potraktowany – powinien zachować się jakiś komentarz, notatka kogoś z dowództwa”. Dwa lata później jednak dokument podpisany przez Borysa się znajduje, Olczak go publikuje.

Dlaczego wtedy? Nie wiem. Być może długi czas nie chciano wprowadzać korekt do historii o zamachu na Kutscherę i zrewidować opowieści o postawie „Alego” ze względu na żyjących kombatanów. Wprost mówiąc – być może czekano, aż umrze „Kama”, bo rzekome odnalezienie przez Olczaka pisma przewodniego i jego publikacja zbłyły się z jej śmiercią. Nie wierzę, że Mariusz Olczak go nagle odnalazł. To kolejna z mistyfikacji w tej sprawie. Doktor Piskunowicz potwierdził mi, że odnalazł obydwa dokumenty złączone ze sobą. Również paginacja na dokumencie wskazuje, że znajdował się on w tym samym miejscu, gdzie natrafił on na raport „Alego” w 1992 roku.

Mariusz Olczak, publikując treść pisma przewodniego, napisał jednak, że obydwa te dokumenty – raport i właśnie pismo przewodnie – zostały rozdzielone po wojnie przez komunistów. To oczywista nieprawda. Komuniści nigdy nie mieli intencji fałszowania historii zamachu na Kutscherę. Jest pewne, że rozdzielono je już w latach 90. w Archiwum Akt Nowych. Dlaczego? To pytanie trzeba postawić w pierwszym rzędzie Piskunowiczowi. I on nie powinien się od odpowiedzi uchylać.

Zarzucasz badaczom fałszerstwo.

– Opieram się na kodeksie etycznym pracowników naukowych, w którym fałszerstwo jest definiowane jako zmienianie lub ukrywanie kluczowych danych, co powoduje, że wynik badania jest niezgodny z prawdą. To się właśnie stało. Tego dopuścili się i Adam Borys, i Henryk Piskunowicz, a także Łabuszewski i Olczak. Wielokrotnie w opracowaniach nie tylko historycznych, ale też popularyzatorskich, jak choćby w komiksie o zamachu na Kutscherę wydanym przez IPN, a stworzonym przez Sławomira Zajackowskiego i Krzysztofa Wyrzykowskiego pod opieką naukową dr. Łabuszewskiego, opowiadana jest zafałszowana historia, przy całej świadomości istnienia dokumentów pokazujących ją w innym świetle. Wielokrotnie zwracałem na to uwagę historykom, ale bez skutku. W komiksie jest dużo błędów faktograficznych, a mimo to w dodruku poprawiono zaledwie jeden z nich. Sam raport występuje w nim jako jakieś kuriozum, a pisma przewodniego nie ma w ogóle.

Jak to było z raportem „Alego”?

Historycy odpowiadają na zarzuty

Mariusz Olczak, dyrektor Archiwum Akt Nowych

• Nie jest prawdą, że kwestionowana jest przez historyków przedmiotu wiarygodność „raportu Alego” i że na oryginalnym dokumencie brak jest dowodu na zapoznanie się z jego treścią przez Adama Borysa, bowiem adnotacje znajdujące się w dokumencie potwierdzają skierowanie pisma z poziomu kancelarii dowództwa oddziału do kancelarii sztabu Kedy-

wu KG AK, a więc od Adama Borysa, co potwierdza zapoznanie się przez niego z dokumentem. Ponadto podnieść należy, że każdy, kto posiada wiedzę na temat czytania dokumentów konspiracyjnych, taką informację uzyska z dokumentu.

• „Raport Alego” został odnaleziony, jak wskazuje sam p. Stopczyński, przez Henryka Piskunowicza, tyle tylko, że w Centralnym Archiwum KC PZPR, a nie w Archiwum Akt Nowych.

• Nie jest prawdziwa teza o „celowym ukrywaniu” pisma przewodniego do „raportu Alego”, albowiem jego opublikowanie jako całości (wraz z raportem) w późniejszym terminie wynikało z odnalezienia pisma przewodniego w teście przekazanej do AAN z Centralnego Archiwum KC PZPR.

• Data publikacji pisma przewodniego do „raportu Alego” nie była w sposób szczególny planowana i nie

jest prawdą, iż Mariusz Olczak, dyrektor Archiwum Akt Nowych, z wydaniem publikacji czekał do śmierci „Kamy”.

• Nie jest prawdą, iż Archiwum Akt Nowych czy też jego Dyrektor ukrywał jakiegokolwiek dokumenty czy też informacje dotyczące „raportu Alego” i pisma przewodniego do tego raportu; dokumenty te są dostępne dla wszystkich, a zapoznanie się z ich treścią jest możliwe w Czytelni AAN.

• Nie jest możliwe do ustalenia, czy rozdzielenie „raportu Alego” i pisma przewodniego nastąpiło w AAN w I połowie lat 90. XX wieku czy w Archiwum KC PZPR w II połowie lat 80. XX wieku.

• Nie jest prawdą, że AAN czy też jego Dyrektor fałszowali historię „Parasola” – jest to subiektywna teza p. Stopczyńskiego godząca w dobrą osobiste instytucji i jej Dyrektora.

• Nie jest prawdą, że AAN czy też jego Dyrektor zajęli stanowisko w sprawie patronatu „Pługa” nad batalionem Wojsk Obrony Terytorialnej, gdyż skierowana w tej sprawie korespondencja pozostała bez odpowiedzi ze strony AAN, a wg wiedzy AAN na ten temat wypowiedział się m.in. Komitet Opieki nad Grobami Żołnierzy „Zośki” i „Parasola”, środowisko żołnierzy AK i instytucje właściwe do spraw historycznych.

Do fałszowania historii „Parasola” przystąpiło także Archiwum Akt Nowych reprezentowane przez Mariusza Olczaka. Kilka lat temu wydał on przygotowany z Hubertem Borysem, synem „Pluga”, opasły album o dowódcy „Parasola”, którego przedstawił jako szczególnie zatroskanego o rzetelny i naukowy opis dziejów swojego batalionu. W formułowaniu takiego obrazu bohatera nie przeszkodziło autorom jednocześnie opublikowanie w albumie wszystkich dokumentów i wypowiedzi, które temu obrazowi w oczywisty sposób przeczą.

Rewizje historyczne to oczywistość, wiele opowieści okazuje się zafałszowana. Skąd w tym przypadku taki opór?

– Dzisiaj już raczej nikt nie kwestionuje samego raportu „Alego” i faktu, że Borys go znał. I to w istotnej mierze zasługa mojego uporu. A opór skąd? U podstaw fałszu jest, jak mi się zdaje, jakaś błędna ocena, decyzja, ale później zamiast wycofania się i wprowadzenia korekty jest pójście w zaparte, co jest o tyle łatwe, że fałszerze dysponują możliwościami, jakie dają im posady w państwowych instytucjach, które angażują w tworzenie czegoś w rodzaju kultu Borysa, co oczywiście nie ułatwia krytycznej oceny jego dokonań.

Nie tak dawno ówczesny minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak na wniosek gen. Wiesława Kukuły – obecnie najważniejszego oficera w polskim wojsku i admiratora dowódczych talentów Adama Borysa, do którego zachowania względem poległych „nie zgłosił zastrzeżeń” – podjął decyzję o patronacie „Pluga” nad batalionem Wojsk Obrony Terytorialnej. W sprawę wmieszał się także dyrektor AAN. Prosiłem o namysł, ale bezskutecznie. Ta decyzja to rodzaj symbolicznej przemocy ludzi, którzy nie mają racji, ale mają siłę.

Co na to wszystko rodzina „Alego”?

– Jego brat Tadeusz Huskowski był żołnierzem batalionu „Zośka”, przeżył powstanie. Po wojnie napisał relacje, w których pisze o „Alim”, że był delikatnej natury, ale z tego nie możemy wnioskować, że był jakimś życiowym niedorajdą. Dla matki „Alego” oskarżenia wobec syna były trudne. Poza tym rodzina nigdy oficjalnie nie zabierała głosu. Żyje syn Tadeusza, bratanek i imiennik „Alego”, były prezydent Wrocławia i do niedawna parlamentarzysta. Mam jego wsparcie i zaufanie, co do mojej rzetelności. Sam się nie angażuje, by, jak sądzę, uniknąć podejrzeń, że chce wspierać bohaterstwem stryja swoją karierę.

Historycy w tej sprawie zawiedli. Teraz, choć wiedzą, że ich wersja wydarzeń nie jest spójna z dokumentami, dalej nie chcą lub nie potrafią przyznać się do błędów. Tak naprawdę cała sprawa jest bardzo prosta, ale trzeba pamiętać, że gdy zrehabilitujemy „Alego”, musimy zadać pytania o rolę Borysa w petryfikowaniu kłamstwa na jego temat. O to, kim jest dowódca, który oskar-

ża swoich podkomendnych, który przez lata, choć wie, jak było, fałszuje historię.

Skąd w tobie energia do zajmowania się tą sprawą?

– Zajmuję się nią od kilkunastu lat i już jestem wyczerpany. Napisałem przez ten czas setki stron, które poddawane były naukowym recenzjom, prowadziłem bezsensowne często wymiany wiadomości z badaczami i instytucjami, które utrwały fałszywy obraz tej historii. Tekstem na portalu Historia Bez Kitu, gdzie wymieniam z imienia i nazwiska wszystkich, którzy odpowiadają za to fałszerstwo, rozliczam się z tą historią. Chcę raczej zamknąć ten rozdział za sobą.

Zadajesz sobie pytanie, dlaczego akurat „Ali” stał się dla ciebie tak ważny?

– Nie prosiłem się o niego. Gdyby zadzwonił do mnie rodzic i powiedział, że ma ciekawą historię dotyczącą bitwy pod Cedynią, pewnie też zacząłbym się tym interesować. Zbieg okoliczności. Mam poczucie, że przez te wszystkie moje działania nie da się już tej historii rzetelnie i uczciwie opisać, zrzucając winę na „Alego”, że mam jakiś swój drobny wkład w odkłamywanie historii, zrobiłem coś cennego. Z drugiej strony zapłaciłem swoją cenę. W wymiarze finansowym, rodzinnym, każdym. Nie wyjeżdżałem na wakacje, bo tylko wtedy miałem czas pojechać do archiwum, pisać. Mam satysfakcję, ale mam też dość. Teraz ta historia powinna być już w innych rękach – instytucji, które powstały dla badania prawdy, a nie podtrzymywania fałszywych narracji za wszelką cenę.

Kiedy usłyszałem o twoich badaniach, nie ukrywam, pomyślałem: „szaleniec”. Jest coś takiego w ludziach, którzy pasjami zajmują się jedną, pozornie drobną sprawą, że ich zapal widzimy jako przesadę.

– Rozumiem, co masz na myśli. Dostawałem już takie sygnały, zwłaszcza że nie jest mi obca pewna doza donkiszoterii. Ale ja w tej sprawie robiłem to, czego uczę się w szkole – krytycznego myślenia, szacunku do wiedzy i zamilowania do poszukiwania prawdy, jakakolwiek by była. Jeżeli ktoś nazwie to szaleństwem – niech będzie. Myślę, że moja historia pokazuje jednak, że czasem warto zaufać „szaleńcom”, a nie zawsze wierzyć zawodowym historykom. ●

Waldemar Stopczyński

Prezes Stowarzyszenia im. Bolesława Śrociego; polonista w Pierwszej Społecznej Szkole Podstawowej w Gdyni; autor artykułów naukowych o zamachu na Kutschę oraz wydanej przez Muzeum II Wojny Światowej książki „W kręgu Bolesława Śrociego. Ludzie „Petu”. Relacje-wspomnienia-polemiki”.

Tomasz Łabuszewski, naczelnik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Warszawie:

Scenariusz komiksu „Zamach na Kutschę” powstał w 2011 roku. Jego treść konsultowana była wówczas z trojgiem żyjących jeszcze uczestników akcji: Michałem Issajewiczem „Misiem”, Elżbietą Dziębowską „Dewajstis” oraz Marią Stupulkowską-Chojecką „Kamą”. Nikt z tej trójki nie miał uwag

do jego treści. P.M. Stypułkowska-Chojecka uczestniczyła ponadto w promocji komiksu w 2012 roku i również nie miała zastrzeżeń do całości – w tym do publikacji raportu „Alego”. Wyjaśniliśmy Jej bowiem, iż w związku z rozbieżnościami wersji przebiegu akcji pomiędzy środowiskiem „Parasola” a owym raportem postanowiliśmy dać szansę odbiorcy na zapoznanie się z obydwoma stanowiskami – nie uzurpując

sobie prawa do wskazania jednej właściwej.

Nie podzielałam poglądu p. Stopczyńskiego, iż publikacja komiksu naruszyła dobre imię „Alego”, wprost przeciwnie, ww. publikacja, w przeciwieństwie do jego tekstów pełnych inwektyw i insynuacji, przyczyniła się do spopularyzowania bohaterskiego dorobku żołnierzy „Parasola”, o czym świadczy dobitnie liczba sprzedanych egzemplarzy. **Wypowiedzi zebrał: Wojciech Szot**

Maciejewska



Obrazy rozszalałej Nysy Kłodzkiej i Białej Łądeckiej niosących budynki, potężne pnie drzew i samochody były tak przerażające, że los historycznych kamiennych mostów wydawał się przesądzony. A jednak żaden nie został zerwany. Dolnośląski konserwator zabytków Daniel Gibski ogłosił, że nie ma poważnych uszkodzeń. Jak mówią mieszkańcy, „na jajach” zbudowane, od kilkuset lat stoją, kilkadziesiąt powodzi przetrwały i Jana Nepomucena mają w odwodzie, więc każdej wodzie zdołają się oprzeć.

Coś w tym jest, choć „na jajkach” stoją tylko mosty kłodzki i łądecki. Bardzki był zbyt często przebudowywany i odbudowywany, żeby kury mogły zgłaszać pretensje do udziału w budowie. Ale wszystkie mają Jana Nepomucena za strażnika.

To bardzo popularny na Śląsku kanonik praski, który zginął z rąk czeskiego monarchy Wacława IV. Legenda mówi, że był spowiednikiem jego żony Zofii Bawarskiej (czasem wymieniana jest jej poprzedniczka Joanna) i nie chciał zdradzić Wacławowi, w jaki sposób grzeszy jego połowica. Został za to zrzucony do Węławy z praskiego mostu Karola. Rodzaj śmierci i dyskrekcja aż po grób sprawiły, że został opiekunem powodzi, tonących, spowiedników i oczernianych.

Dużo resortów jak na jednego świętego, ale na Śląsku w cenie była przede wszystkim specjalizacja wodna. Powodzie zdarzały się tu często, więc praski kanonik był ustawiany przy rzekach i na mostach, których utrata bardzo bolała.

Gotycki most w Kłodzku na Młynówce – najstarsza kamienna przeprawa w dzisiejszej Polsce – dużo kosztował mieszkańców.

W 1622 roku kronikarz Georg Promnitz pisał: „W roku 1286 wszystkie należące do Kłodzka wsie musiały, pod groźbą wysokiej kary, dostarczyć do Kłodzka wszystkie jajka; przy bramie ustawiono dwie kadzie, rozbito jaja i białka wiano do kadzi z wapnem,

Wczoraj, czyli dziś

Nepomucen gdzieś popłynął

Sławne mosty „na jajach” w Kłodzku, Łądku-Zdroju i Bardzie przetrwały. Ale woda porwała z łądeckiej przeprawy figurę św. Jana Nepomucena, który strzegł ją od ponad 300 lat.

do budowy głównych filarów kamiennego mostu, a żółtka sprzedawano po halerzu za łyżkę”.

Tak naprawdę nie wiadomo dokładnie, kiedy most wybudowano – w każdym razie nie później niż pod koniec XIV wieku, ale miejsce na przeprawę wybrano starannie – łączyła miasto z podgrodziem na wyspie Piasek.

Ma 52,5 m długości, wspiera się na czterech arkadach, a urody dodaje mu sześć rzeźb wotywnych. Te rzeźby sprawiły, że o kłodzkim moście zaczęto mówić „Mały Karluv most”. Prawie jak praski, tylko w miniaturze. I jak na moście Karola, stoi tu od trzystu lat Jan Nepomucen, w aureoli pięciu gwiazd, które według legendy pojawiły się na Węławie, gdy pochłonęła męczennika.

Most w Łądku-Zdroju został przerzucony nad Białą Łądecką w 1565 roku. Ale też zbudowano go z kamienia łamanego i zaprawy z białka kurzego. Nigdy nie uległ rzece. W czerwcu 1783 r. Biała Łądecka zabiła dziewięciu mieszkańców, zniszczyła 42 budynki i zerwała wszystkie przeprawy oprócz mostu św. Jana (Johannisbrücke), bo tak go nazwano od figury powodziowego patrona.

Ufundowali ją mieszkańcy Łądku i w 1709 roku ustawili nad śródkowym filarem, ponad ostrogą chroniącą przeprawę przed nurtem Białej. Jan Nepomucen został beatyfikowany dopiero w 1721 roku, ale jego kult był już w Czechach bardzo silny, a stamtąd promieniował na cały Śląsk.

Most łądecki wygląda obecnie jak po bombardowaniu, bo woda zmiotła balustrady, brukowaną nawierzchnię i wypłukała materiał z zasypów, tzw. pach sklepiennych – sklepionych prześel mostu. Ale stoi mocno w korycie Białej i wróci do dawnej formy. Niestety, Jan Nepomucen popłynął. Na razie ma status zaginionego, ale mieszkańcy nie tracą nadziei, że powróci.

Tak się zdarzyło w Bardzie, które też ma most z XVI-wiecznym rodowodem. Jan Nepomucen pojawił się tu w 1722 roku, ale zniknął w 1945 r., gdy wycofujące się wojska niemieckie wysadziły przeprawę.

Most wprawdzie odbudowano, jednak ówczesne władze uznały, że kanonik i figura ukrzyżowanego Chrystusa już tu nie pasują. Dopiero pięć lat temu wykonano nową rzeźbę Jana Nepomucena. Nie jest wprawdzie tak skuteczny jak zbiornik retencyjny, ale śląski krajobraz bez praskiego kanonika dużo traci. ●

KOBIETA NA DACHU ŚWIATA

Aleksandra David-Néel po pięćdziesiątce dotarła tam, gdzie nie udało się dotrzeć najgłośniejszym podróżnikom.

Iwona Ślabuszevska-Krauze

Zrobiła to, żeby udowodnić, „że kobieta może”. W swoim długim życiu była śpiewaczką operową, dziennikarką, orientalistką, a przede wszystkim podróżniczką pionierką, która doszła do Indii, Chin i zakazanej Lhasy w Tybecie, pokonując epidemie, głód, bezkresne pustkowia i stepy, dżungle, zaśnieżone góry i własne ograniczenia.

Zdarzało się, że podczas tej wędrówki żyła się tym, czym podzielili się z nią żebracy.

A CO JEST ZA TYM LASEM?

Aleksandra David-Néel urodziła się 24 października 1868 roku na przedmieściach Paryża. Rodzice specjalnie przeprowadzili się z Belgii do Francji, żeby córka dostała francuski paszport. Zostali tam sześć lat. Matka Aleksandry Alexandrine Borghmaus miała duńsko-norwesko-rosyjskie korzenie. Była oschła i despotyczna, czego córka nigdy jej nie wybaczyła.

Uwielbiała natomiast pobłażliwego ojca Louisa Pierre’a Davida, z którym jeździła na dworzec obserwować odjeżdżające pociągi, i wypuszczała się na wycieczki.

Od wczesnego dzieciństwa była ciekawa świata. W wieku pięciu lat uciekła opiekunce, żeby samodzielnie zwiedzić Lasek Bułowski. „Zastanawiałam się, co będzie dalej, jeśli poszłoby się prosto, czy znów byłyby alejki i trawniki podobne do tych, które były mi znane, czy krajobraz byłby zupełnie inny? Czy las kończy się tam, tak jak kończy się tutaj obok? I jeśli tak, to jak wyglądają ulice, domy i ludzie w tym odległym rejonie? Dowiedzenie się tego wydawało mi się niezbędne”.

Wcześniej zaczęła czytać trudne książki – św. Augustyna, Kierkegarda, opowieści o Buddzie. Grała na pianinie, uczyła się śpiewać i oczywiście było, że ma talent. Później będzie jej trudno dokonać wyboru – muzyka czy podróż.

Po matce odziedziczyła autorytarny charakter i silną wolę. Jako nastolatka wybrała się w podróż rowerem dookoła Francji i Hiszpanii. Zwiedziła Szwajcarię. Miała 20 lat, gdy popłynęła do Londynu, żeby podszkolić angielski. Dostała się tam pod skrzydła Elisabeth Morgan i Stowarzyszenia Najwyższego Wtajemniczenia. Morgan wprowadziła Aleksandrę do salonu mistyczki Heleny P. Bławatskiej. Po latach nazwie poznanych przyjaciół szalonymi, ale tylko tam mogła mieszkać tak tanio i bezpiecznie.

W Londynie miała nieograniczony dostęp do biblioteki British Museum z kolekcją książek o filozofii indyjskiej, buddyzmie i taoizmie, co wzmocniło w niej zainteresowanie orientalistyką.

SZKOŁA? MAŻ? NIE, SCENA!

Wróciła do Paryża, żeby w Collège de France studiować sanskryt. Uderzyło ją, że jej profesor tłumaczył z sanskrytu na tybetański, ale nigdy nie był w „krajnie śniegu”. Brakowało jej w tym prawdy.

Chodziła na spotkania wolnomyslicieli, poetów, politycznych wygnańców i „handlarzy snów”. Pisała anarchistyczne artykuły. Poszukiwała swojej drogi. Wychowana na katoliczkę, przeszła na protestantyzm, później zainteresowała się koranem, hinduizmem i na koniec buddyzmem.

Była młoda i ładna – migdałowe oczy, wystające kości policzkowe, zgrabna figura i zmysłowe usta – ale jednocześnie pełna lęków. Myślała czasem o śmierci, w szufladzie trzymała pistolet. Mówiła o niezgodzie na sprawiedliwość i potrzebie buntu.

Ukojenie znalazła podczas podróży do Indii i na Cejlon. Pojechała tam dzięki odziedziczonemu niespodziewanie spadkowi. Gdy po roku wróciła, okazało się, że zmalała wartość papierów wartościowych i jej majątek stopniał. Był rok 1891, miała 22 lata i jako kobieta mogła zostać nauczycielką albo wyjść za męża. Znalazła trzecie rozwiązanie – została śpiewaczką operową.

Po ukończeniu Królewskiego Konserwatorium w Brukseli od 1894 roku przez kilka lat objeżdżała Europę, Afrykę i Azję jako primadonna we francuskim zespole operowym, przybierając pseudonim Aleksandra Myrial. Występowała na prestiżowych scenach, m.in. w Operze w Hanoi. Żyła jednak skromnie, nie interesował jej operowy blichtr, choć była zachwycona światem muzyki.

W JEDNYM MIEJSCU PRZESTAJĘ ŻYĆ

Żeby czuć się bezpiecznie w Paryżu, zamieszkała z Jeanem Haustontem, kompozytorem i orientalistą. Powoli jej status się zmieniał, stawała się starą panną, ale nie widziała się w roli żony w konwencjonalnym małżeństwie, nigdy nie chciała mieć dzieci. Trudno powiedzieć, co dokładnie łączyło ją z Jeanem. Na pewno zainteresowania – pisali razem muzykę i książki, chociaż nie zostały one zauważone przez krytyków.



• Alexandra David Néel i lama Aphur Yongden w Tybecie około 1924 roku

FOT. AUTOR NIEZNANY, ZE ZBIORÓW MUSÉE GASSEND/WIKIPEDIA

Jednak podczas jednego z tournée Aleksandra poznała 39-letniego Philippe’a Néela, głównego inżyniera linii kolejowych w Algierii, w Tunisie. Spotkali się w kasynie, gdzie występowała. Philippe miał wszystko oprócz żony. Zaoferował Aleksandrze posadę dyrektorki artystycznej kasyna, a ona ją przyjęła, co oznaczało definitywne rozstanie z Jeanem i karierą śpiewaczki.

Pobrali się 4 sierpnia 1904 roku. Philippe zapewnił Aleksandrze stabilizację finansową i dał oparcie emocjonalne w domu, ale także wtedy, gdy przebywała tysiące kilometrów od niego. Bo zamążpójście nie powstrzymało jej przed kolejną wyprawą. Mówiła, że kiedy przebywa w jednym miejscu, przestaje żyć.

W 1911 roku znalazła się więc po raz drugi w Indiach, żeby zgłębiać buddyzm. Była już znana w kręgach anarchistycznych i feministycznych, napisała książkę o najstarszej formie buddyzmu (wciąż dostępną w księgarniach). W Indiach została zaproszona przez księcia koronnego Sidkeonga Tulku Namgyalema do klasztoru w Sikkimie w Himalajach. Zyskała jego sympatię, książkę odnosił się do niej z czcią. Odbywali razem długie wędrówki po górach, mówiła, że są bratnimi duszami. Podejrzewano, że łączy ich coś więcej, ale nie ma na to dowodów.

W kwietniu 1912 roku Aleksandra spotkała się z Dalajlamą XIII przebywającym na wygnaniu w Indiach. Padło tak dużo pytań z jej strony, że Dalajlama postanowił

odpowiedzieć na piśmie. To spotkanie było złamaniem wszelkich zasad obowiązujących Europejczyków.

W JASKINI Z WANNĄ

Brakowało jej męża, ale też nęciło życie duchowe, wyrzeczenie się posiadania czegokolwiek. Marzenie wygrało. W 1914 roku zabrała ze sobą składane łóżko i galwanizowaną, przenośną wannę, bo bez względu na to, gdzie była, upierała się przy codziennej kąpieli; zamieszkała w jaskini na granicy z Tybetem. Pobierała tam nauki od buddyjskiego mnicha „gomchena” z Lachen, medytowała i uczyła się tybetańskiego w zamian za naukę angielskiego – wszystko na wysokości 4 tys. m n.p.m. Po upływie zimy płynnie rozmawiała ze swoim nauczycielem po tybetańsku.

Wprowadziła w jaskini udogodnienia: dobudowała kuchnię i toaletę, pomalowała ściany, rozłożyła na gołej podłodze kilimy. Raz na kilka tygodni karawana dostarczała jej jedzenie. Efektem tego pobytu była napisana wiele lat później książka „Mistycy i cudotwórcy Tybetu”. Spędziła tam dwa lata, aż mnich zaczął namawiać ją na dalsze kształcenie duchowe „w drodze”.

Tymczasem z Tunisu przychodziły listy od męża z pytaniem, kiedy wraca. Philippe pisał do kobiety, którą poślubił: śpiewaczki, dziennikarki, damy. Aleksandra odpisywa-

ła, że zdobywa bezcenną wiedzę i zajmie to „jeszcze tylko rok”. W rezultacie spędziła w podróży 15 lat, choć wyjeżdżając, mówiła o 19 miesiącach. Philippe przez cały czas płacił za jej pobyt, choć groził, że jeśli szybko nie wróci, nie znajdzie już miejsca w domu. Odpowiadała na to, że zostanie pustelniczką i resztę życia spędzi w jaskini. Ale zapewniała, że go kocha. Na dystans.

Góry ją zniewoliły. Kiedy wspinała się na wysokość 4500 m n.p.m., rozumiała, co to rozkosz samotności (choć oczywiście wchodziła z tragarzami). W podróży jadła posiłki gotowane na nawozie jaka i spała w namiocie. Zastanawiała się, czy zaryzykować wejście do zakazanego Tybetu w przebraniu żebraczki.

To wszystko w czasach, gdy samotne spacery kobiety po mieście wzbudzały konsternację, a jedynym dopuszczalnym strojem dla podróżniczki w Azji była biała suknia z długimi rękawami, rękawiczki i koronkowa parasolka.

PRZEZ HIMALAJE

Sikkim opuściła wraz z 17-letnim lamą sikkimskim Aphurem Yongdenem, który został jej pomocnikiem, towarzyszem, a kilka lat później adoptowanym synem. Z Sikkimu przekradli się przez granicę do Tybetu. Wcześniej Aleksandra próbowała uzyskać na to pozwolenie, ale władze Indii jej odmówiły. Ruszyła jednak przed siebie. Kiedy dowiedziały się o tym brytyjskie władze sprawujące protektorat nad Sikkimem, wydały im podróżników z Indii.

Trwała jednak I wojna światowa i Aleksandra nie mogła wrócić ani do Tunisu, ani do Europy. Ruszyli więc z Yongdenem w przeciwnym kierunku, do Japonii. Nie przypadła im jednak do gustu. Ciągłe myśleli o Tybecie. Przedostali się do niego przez Chiny, pokonując kilka tysięcy mil, ze wschodu na zachód. Czasem na posiłek musiały wystarczyć paprocie i pokrzywy. Mnisi obdarowali ich ciepłym ubraniem, wyrażając podziw dla kobiety w średnim wieku, która wędruje po bezkresach, jakby do tego się urodziła. Aleksandra tylko w listach do męża, nigdy w swych książkach, przyznawała, że dokucza jej artretyzm i czasem musi walczyć z depresją.

W sierpniu 1922 roku sprzedała dwa muły, żeby zmniejszyć swą karawanę do pięciu zwierząt, potem odesłała wannę i książki do banku w Szanghaju, zwolniła służbę i dalej podróżowała z Yongdenem bez większego zabezpieczenia. Prawdopodobnie chorowała na malarię. Władze podejrzewały, że ta samotna Francuzka może być tajną agentką i tajniacy dyskretnie ją obserwowali, ale często gubili jej ślad, bo Aleksandra zmieniała plany podróży, wysyłała też celowo fałszywe wiadomości.

Jej największym wrogiem był rozgłos, więc mówiła napotkanym, że zajmuje się poszukiwaniem rzadkich roślin. Idąc przez Himalaje, miała jeszcze dwóch kulisów, którzy nieśli zapasy jedzenia, ale do Tybetu

mogła wejść tylko z Yongdenem. Ostatni odcinek drogi pokonywali w nocy, przez las, ratując się małymi dawkami strychniny, przez co doznawali omamów słuchowych i wzrokowych. Ich ostatnie posiłki to paski ze skórzanych butów zanurzone we wrzątku.

TUSZ WE WŁOSACH

W 1923 roku stanęli u wrót Tybetu. Aleksandra odesłała aparat fotograficzny, pod ubraniem ukryła kompas, trochę pieniędzy i pistolet. Ufarbowała włosy chińskim tuszem, wplotła w nie ogon jaka, żeby upodobnić się do tamtejszych kobiet. W skórę twarzy wtarła proszek kakaowy, pobrudziła dłonie. Mijali przecież wieśniaków, którzy nigdy nie widzieli Europejczyka, ale wiedzieli, że jest on biały.

28 lutego 1924 roku weszła z Yongdenem do stolicy Tybetu, Lhasy. Nie dokonała tego wcześniej żadna Europejka. Wyglądali jak zwykli pielgrzymi, matka (Aleksandra miała 56 lat) i syn. Aleksandra była jednak chora na grypę i wyczerpana, przypominała żywy szkielet. W końcu ta podróż zajęła im trzy lata. W liście do męża Aleksandra przyznała,

w prasie w pięciu comiesięcznych odcinkach. 4 maja 1924 roku ze stosem walizek i książ Aleksandra i Yongden dotarli statkiem do Walencji. Gdy tylko zeszli na ląd, przywital ich błys fleszy reporterów.

NAMIOT, PRZESTRZEŃ I DOM Z WIDOKIEM

Jedna z gazet napisała, że Madame David Néel ma spokojną twarz. „Nosi wysoki czepiec z czarnego aksamitu, dziwny, nasunięty nisko na czoło, który służy uwydatnieniu bladej jej twarzy – ale zostawiając ten szczegół na boku – przypomina zwykłą francuską panią domu”.

Biografowie Aleksandry powiedzą potem, że „najrzęczniejszymi sposobami radzenia sobie z tą niezwykłą postacią, która myśląc i działając heroicznie, złamała bezwarunkowe reguły stosowane wobec kobiety w tamtym czasie, stanowiło udomowienie jej i udawanie, że pomijając pewną dziwaczność i kapryśność, jest taka jak inne panie”.

Philippe nie wyszedł jej na spotkanie. Wiedział, że jego żona nigdy już nie będzie prowadzić mieszczańskiego życia, że wybrała podróżę i samotność, namiot

Na wyprawę do Indii zabrała ze sobą składane łóżko i galwanizowaną, przenośną wannę, bo bez względu na to, gdzie była, upierała się przy codziennej kąpieli. Zamieszkała w jaskini na granicy z Tybetem

że był to akt szaleństwa i że nigdy nie podjęłaby takiego ryzyka ponownie. Pozostali z Yongdenem w Lhasie dwa miesiące, dopóki nie zdemaskowali ich Brytyjczycy.

O ich wyczynie za pośrednictwem Philippe’a dowiedziała się prasa w Europie. Wydawcy chcieli zamawiać u Aleksandry artykuły dotyczące podróży, paryskie gazety przelewały zaliczkę na poczet przyszłej współpracy. Dostała też ofertę wykładów na Sorbonie. Relacja z Lhasy ukazywała się

i przestrzeń. Przecież już nawet nie umiała spać w łóżku. Kiedy w końcu padli sobie w ramiona, Aleksandra zapowiedziała, że interesuje ją teraz Ameryka Południowa. Philippe popadł w przygnębienie i hipochondrię. W dodatku miał teraz w domu Yongdena, którego Aleksandra, a w zasadzie on, miał adoptować, bo według prawa kobieta nie mogła tego zrobić.

Aleksandra prowadziła wykłady na Sorbonie, potem w Nicei i Marsylii, wszędzie

występując w tybetańskich szatach. Jednocześnie pisała książkę „Moja podróż do Lhasy”, opublikowaną jednocześnie w Nowym Jorku, Londynie i Paryżu. Samych jej francuskich wydań było dziewięć.

Została odznaczona m.in. srebrnym medalem Belgijskiego Towarzystwa Fotograficznego, krzyżem kawalerskim Legii Honorowej i złotym medalem Societé Geographique, do którego dołączono sześć tysięcy franków. Za honoraria kupiła dom z widokiem na uzdrowskowie miasteczko Digne, 150 km od Nicei. Tak rozpoczęła dekadę pisania książek, z pomocą Yongdena. Utrzymywała się ze stypendium otrzymanego od francuskiego ministerstwa edukacji i zapraszała Philippe’a, żeby do niej przyjeżdżał.

POŻEGNANIE

9 stycznia 1937 roku wsiadła w pociąg jadący na Wschód. Celem jej podróży były Chiny i Indie. Miała wówczas 70 lat. Przesiadła się w Warszawie. Podczas przechadzki, przystając przed wystawą księgarni, zobaczyła swoją książkę.

W Chinach dowiedziała się o śmierci Phillipe’a. Pierwszy raz w życiu płakała. Żaloba przeszła w depresję, a potem w złośliwość wobec innych – Yongden zaczął przed nią uciekać i szukać ratunku w alkoholu, cierpiał, bo traktowała go protekcyjnie. Był jednak od Aleksandry pod każdym względem uzależniony.

W latach 50. przetłumaczyła nieznane wcześniej teksty sanskryckie i tybetańskie. Nigdy nie zaprzestała badań nad Tybetem. Napisała ponad trzydzieści książek o religii Wschodu, filozofii i swoich podróżach. Inspirowali się nią inni autorzy, Jack Kerouac, Allen Ginsberg. Była pierwszą buddystką we Francji.

Pod koniec życia niemal nie sypiała z powodu bólu owrzodzonych nóg. Zawsze miała pod ręką notatnik, żyła w stercie gazet, rękopisów i książek. Zaplatała siwe włosy w ciasny, długi warkocz, a opiekujący się nią doktor opisywał ją – 90-latkę – jako osobę władczą, która „broniła swoich teorii, nawet jeśli były fałszywe, zębami i pazurami.”

Przyjęta na służbę opiekunka Marie-Madeleine omal nie uciekła po pierwszej rozmowie z chlebobawczynią, przeraził ją też bałagan i ołtarze tybetańskie w pokojach. A także myszy, na które pani domu nie pozwalała zastawiać pułapek, szanując życie każdego stworzenia. Mimo to Marie-Madeleine została u Aleksandry na lata, a potem zajęła się porządkowaniem jej spuścizny.

Yongden zmarł w 1955 roku na uremnię, w wieku 56 lat. Aleksandra odeszła 8 września 1969 roku, z Marie-Madeleine przy boku. Dożyła 101 lat. Jej nekrolog opatrzone fotografią z dopiskiem „Kobieta na dachu świata”. Zgodnie z ostatnią wolą i testamentem Aleksandry jej prochy miały być rozsypane w rzece Ganges razem z prochami Yongdena. Życzenie zostało spełnione przez przyjaciółkę w 1973 roku. ●

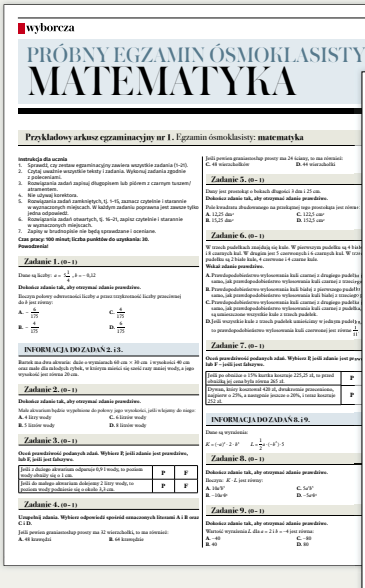
OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34339773

WE WTOREK I W ŚRODĘ W „WYBORCZEJ”

Testy dla 8-klasistów

Przykładowe arkusze egzaminacyjne do ćwiczeń
we wtorek – matematyka,
w środę – język polski



Felieton

Odwołanie Roberta Kostro to błąd

Marcin Napiórkowski, nowy dyrektor Muzeum Historii Polski, będzie firmował wystawę, z której powstaniem nie ma nic wspólnego.

Machcewicz

Nie podpisałem listu Stowarzyszenia Przyjaciół Muzeum Historii Polski w obronie zwolnionego właśnie dyrektora Muzeum Historii Polski, gdyż nie zgadzałem się z niektórymi jego sformułowaniami. Nie jestem przekonany, iż rzeczywiście zbudował on „instytucję pluralistyczną, w której każdy, komu bliska jest Polska i jej historia, będzie potrafił się odnaleźć”. Takich instytucji po prostu nie ma. Historia i kultura są zawsze przestrzenią sporu, ale kluczową sprawą jest, według jakich reguł się on odbywa.

Robert Kostro jest człowiekiem prawicy, jego nominacja w 2006 roku na stanowisko dyrektora powstającego muzeum była niewątpliwie z klucza politycznego, a nie merytorycznego. Przeszedł na nie z funkcji dyrektora gabinetu politycznego Kazimierza Ujazdowskiego, ministra kultury w ówczesnym rządzie Prawa i Sprawiedliwości. Do współpracy przyciągał ludzi głównie o orientacji prawicowej i wrażliwości konserwatywnej, choć nie wyłącznie. Starał się włączyć w działalność muzeum – zwłaszcza „pierwszego” PiS-u – także ludzi o innych poglądach, z drugiej strony barykady.

W czasie ostatniego ośmiolecia rządów PiS, w skrajnie sekciarskiej i konfrontacyjnej atmosferze stworzonej przez obóz władzy, było to już prawie niemożliwe, przynajmniej jeśli chodzi o osoby o bardziej znanych nazwiskach, nieukrywające swoich poglądów. Jednak na tle innych PiS-owskich

nominatów postawionych na czele instytucji kultury, Kostro wyróżniał się umiarkowaniem, otwartością na dialog i rzeczywistą troską o powierzoną mu instytucję.

Kierowane przez niego muzeum nigdy nie uprawiało nachalnej propagandy politycznej i nie dopuszczało się otwartych manipulacji przeszłością, co można zasadnie zarzucić Instytutowi Dmowskiego czy Instytutowi Pileckiego. Trzeba usuwać ze stanowisk kierowniczych osoby skompromitowane takimi działaniami, ale należy jednocześnie dostrzegać różnice między poszczególnymi ludźmi i instytucjami działającymi z nadania PiS i nie traktować ich wszystkich w taki sam sposób, bo to przede wszystkim niesprawiedliwe, ale także politycznie niemądre.

Gdy w latach 2016–2017 rząd PiS wypowiedział wojnę mnie i moim współpracownikom tworzącym Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku używałem publicznie argumentu, że potrzebujemy w Polsce różnych muzeów, prezentujących odmienne wizje historii, kierowanych przez ludzi o rozmaitych wrażliwościach i poglądach. Nadal tak uważam i jestem przekonany, że w naszym kraju jest miejsce i na Muzeum II Wojny Światowej, Muzeum Powstania Warszawskiego i Muzeum Historii Polski, różniące się nieraz fundamentalnie interpretacjami przeszłości i kierowane przez ludzi o diametralnie innych zapatrywaniach. Takiego pluralizmu nie chciał uszanować PiS, którego celem były –

dogłębna czystka kadrowa i narzucenie zuniformizowanej wizji historii.

Od nowego rządu, wyłonionego w wyniku demokratycznego zrywu, jakim były wybory w październiku 2023 roku, można i należy oczekiwać zupełnie innego podejścia. Byłoby znacznie lepiej gdyby Robert Kostro mógł dokończyć swoją kadencję i otworzyć wystawę muzeum, nad której stworzeniem pracował kilkanaście lat. Wziąłby wtedy za nią pełną odpowiedzialność i odpowiadał na jej krytykę, która z pewnością się pojawi.

Cenię dorobek naukowy i publicystyczny Marcina Napiórkowskiego, następcy Kostro, ale nie zazdroścę mu sytuacji, w której będzie firmował wystawę, z której tworzeniem nie miał nic wspólnego.

Decyzja podjęta przez ministrę Hannę Wróblewską niepokoi. Nie służy zachowaniu pluralizmu w przestrzeni instytucji kultury, które powinny być kierowane przez ludzi o różnych poglądach i z różnych środowisk

Nie uważam przy tym, jak twierdzą niektórzy z obrońców Roberta Kostro, że obecny rząd robi dokładnie to samo, co PiS. Gdy minister Gliński odwoływał mnie przed upływem kaden-

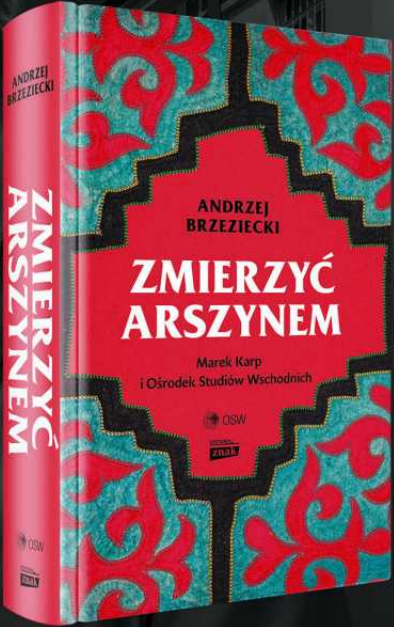
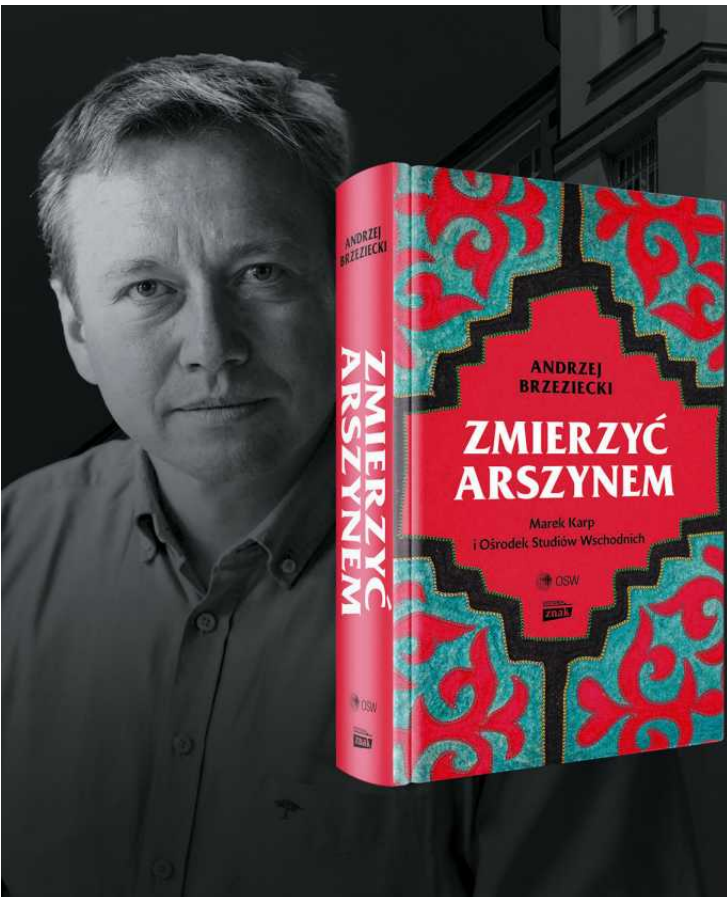
cji ze stanowiska dyrektora dopiero co otwartego Muzeum II Wojny Światowej, odbywało się to atmosferze politycznej i medialnej nagonki, w której mnie i moich współpracowników oskarżano o zdradę narodową, działania w interesie Niemiec, brak patriotyzmu i polskiej wrażliwości narodowej. Następnie nęcano mnie śledztwami prokuratorskimi pod fałszywymi zarzutami nadużyć finansowych i korupcji, a do mojego domu wysłano agentów CBA.

Na szczęście takich działań obecny rząd wobec Roberta Kostro nie prowadzi. Zaproponowano mu za to kierowanie Instytutem Pileckiego, również zajmującym się edukacją historyczną i dysponującym bardzo dużymi środkami publicznymi (co do sensu istnienia którego w obecnym kształcie mam zresztą poważne wątpliwości). Niemniej jednak, decyzja podjęta przez ministrę kultury Hannę Wróblewską niepokoi. Nie służy zachowaniu pluralizmu w przestrzeni instytucji kultury, które powinny być kierowane przez ludzi o różnych poglądach, wywodzących się z rozmaitych środowisk, nie tylko bliskich aktualnej władzy. Nie działa też z pewnością na rzecz zmniejszenia politycznej polaryzacji, która ciąży Polsce. Wręcz przeciwnie, wzmacnia ją. ●

Paweł Machcewicz, historyk, profesorem w Instytucie Studiów Politycznych PAN, w latach 2008–2017 był dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku.

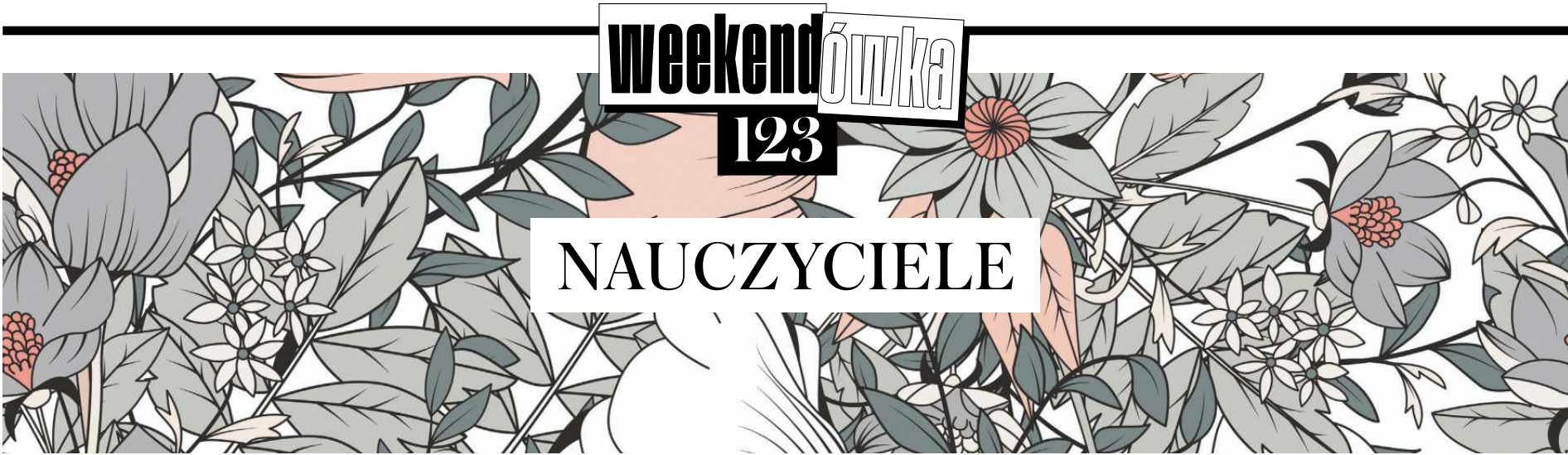
REKLAMA

Gdańsk/34340068



Opowieść o jednej z najbardziej niezwykłych i ważnych instytucji w Polsce

Premiera: wrzesień 2024



W Polsce upamiętniamy rocznicę powołania Komisji Edukacji Narodowej, co uczynił Sejm Rozbiorowy na wniosek króla Stanisława Augusta Poniatowskiego 14 kwietnia 1773 roku. KEN była de facto – pierwszym w Europie! – ministerstwem edukacji, którego zadaniem była organizacja szkolnictwa w Polsce i czuwanie nad kształceniem młodzieży.

Ale na przykład na Tajwanie to dzień 28 września, bo ten dzień, według kalendarza gregoriańskiego, przyjmuje się za datę urodzin Konfucjusza (w 551 r. p.n.e.). Dla Hiszpanów, Francuzów, Włochów i Szwajcarów to 27 września, czyli dzień narodzin Józefa Kalasantego, katalońskiego duchownego, założyciela zakonu pijarów, który w Rzymie otworzył pierwszą w Europie szkołę publiczną (1597).

Dla Koreańczyków to z kolei 15 maja, kiedy urodził się Sejong Wielki, król Korei z dynastii Ri, jeden z największych koreańskich władców, który zainicjował powstanie alfabetu hangul.

Argentyńczycy celebrują dzień, w którym zmarł Domingo F. Sarmiento, drugiego prezydenta w historii kraju, który położył szczególnie zasługi dla tamtejszego szkolnictwa.

Dla Bułgarów to 24 maja, czyli według cerkwi prawosławnej dzień poświęcony Cyrylowi i Metodemu, bizantyjskim mnichom, twórcom alfabetu zwanego głagolicą. W Czechach i na Słowacji to 28 marca – w ten dzień (1592 r.) urodził się Jan Ámos Komenský, czeski pedagog i filozof. W Czechach dodatkowo uczniowie przyznają nagrodę „Złotego Ámosa” najbardziej inspirującym ich nauczycielom.

W Gwatemali ten dzień to 25 czerwca. Wówczas, w 1944 roku w pokojowej manifestacji antyrządowej w stolicy, Gwatemali zabita została nauczycielka Maria Chinchilla.

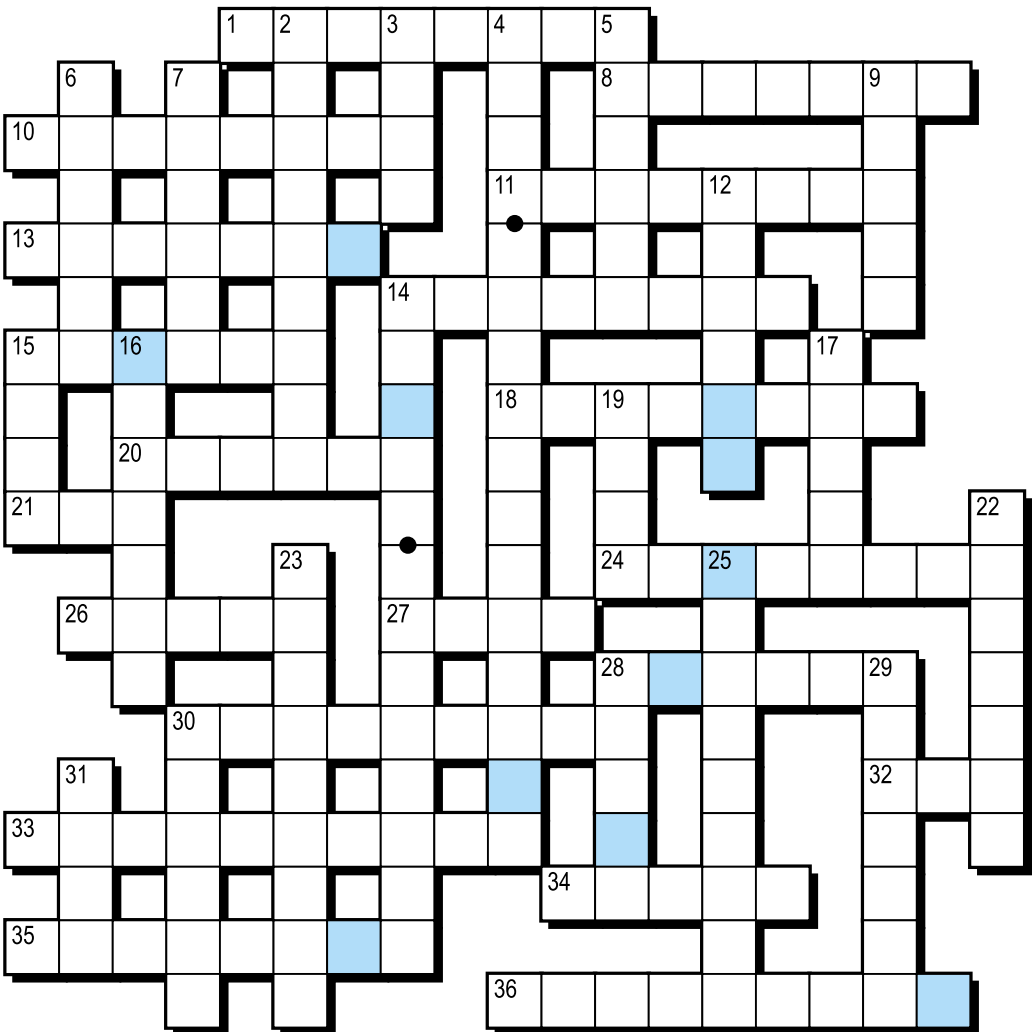
Dla Meksykanów to 15 maja. Dlaczego? Jedna z teorii dowodzi, że w mieście San Luis Potosi każdego roku właśnie 15 maja zbierała się grupa uczniów, by celebrować urodziny swego starego nauczyciela, Isidorio. Inna, że to na cześć schwytania cesarza Maksymiliana I Habsburga przez siły wierne prezydentowi Benito Juarezowi, co nastąpiło 15 maja 1867 roku w Queretaro.

Z kolei w Albanii świętuje się 7 marca, kiedy to (w 1887 r.) otwarto pierwszą szkołę, w której nauczano w języku albańskim.

Najpopularniejszą jednak datą, przyjętą jako Święto Nauczyciela – bo o nim rzecz jasna mowa – jest 5 października, proklamowany przez UNESCO w 1994 roku. Ale, co ciekawe, dzień też celebrowany jest w Polsce, jako święto nauczycieli i szkolnictwa wyższego.

Po tej edukacyjnej podróży pozostaje nam już tylko ogłosić, że dzisiejszą „Weekendówkę” poświęcamy nauczycielom i nauce i niniejszym zaprosić Państwa do jej rozwiązania.

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Wekendówki” nr 122 z 28.09:

Poziomo: 4) pułapka, 6) Robocop, 7) zagadki, 9) Makepeace, 11) Wesley, 12) Cash, 13) Al Pacino, 14) Roger, 16) Kojak, 17) Teksas, 20) Mel, Gibson, 22) Axel, 23) Despero, 24) Infiltracja, 30) Tequila, 31) Gary, Oldman, 32) Logan, 33) Serpico, 34) Maurer.
Pionowo: 1) Topa, 2) Borowicz, 3) Foley, 4) przedszkole, 5) akademie, 8) Kiler, 9) McClane, 10) Harry, Callahan, 12) Columbo, 15) odznaka, 18) kret, 19) szeryfowie, 21) Bullitt, 25) Francja, 26) Chicago, 27) Riggs, 28) Gerard, 29) Bad Boys, 32) Lee.

HASŁO:
FRANK DREBIN

NAUCZYCIELE

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 1)** „Wspomnienia niebieskiego ...”, powieść Wiktora Gomułickiego (wpisujemy w mianowniku)
- 8)** nauczyciel gladiatorów w starożytnym Rzymie
- 10)** skojarz: nauczycielka, Bozowska, nowela
- 11)** prawa ręka profesora
- 13)** John, nauczyciel ze „Stowarzyszenia Umarłych Poetów”
- 14)** Michelle, zagrała nauczycielkę w filmie „Młodzi gniewni”
- 15)** od przedszkolaków dla kochanej pani
- 18)** przybytek profesora Ambrożego Kleksa
- 20)** powieść pisarza z określenia 6 pionowo, której bohaterem

jest uczeń zafascynowany nauczycielką języka francuskiego
21) ... dyrektorskie (dodatkowe wolne, wyznaczone przez szefa danej placówki oświatowej)
24) podniósł o doświadczonych, mądrych nauczycielach, wychowawcach
26) wystawiona
27) ... Shirley, była nauczycielką w szkole w Avonlea
28) chłop z powieści „Konopielka”, u którego na kwaterze pojawia się „uczycielka”
30) karykaturalny nauczyciel z powieści „Ferdynand”, nakazujący uczniom zachwycać się Słowackim
32) potocznie i skrótowo o nauczycielu
33) członkini ZNP
34) nagrała przebój „Naucz mnie”
35) słuchają przedszkolanki
36) „dresiara” w pokoju nauczycielskim

Pionowo:

- 2)** np. licealistka
- 3)** Cameron, odtwórczyni roli toksycznej nauczycielki w komedii „Zła kobieta”
- 4)** jest organem wewnętrznym szkoły
- 5)** Jacek, z Orkiestrą Na Zdrowie nagrał piosenkę „Nauczycielka”
- 6)** Antoni, autor powieści z określenia 20 poziomo
- 7)** „Pensja pani ...”, film oparty na „Emancypantkach” Bolesława Prusa
- 9)** przestarzałe o nauczycielu udzielającym prywatnych lekcji
- 12)** o coachu bardziej swojsko
- 14)** imię i nazwisko nauczyciela, bohatera serialu „Belfer” (rola Macieja Stuhra)
- 15)** ... Vader, mistrzem jego syna był Yoda
- 16)** „... Mony Lizy”, film z Julią Roberts w roli nauczycielki

- 17)** profesor upiający uczniów („Ferdynand”)
- 19)** ... Cisowski, bohater powieści „Szatan z siódmej klasy”, uczeń profesora Gąsowskiego
- 22)** dodatek za ... lat (wpisujemy w mianowniku)
- 23)** dawniej o nauczycielu szkoły elementarnej
- 25)** Edmund, autor powieści „Szkolny lud, Okulla i ja”, „Sposób na Alcybiadesa”
- 28)** ... nauczyciela (ustawa)
- 29)** nieść ... oświaty
- 30)** dawniej: żak dopiero co przyjęty na uczelnię
- 31)** ... szkolna, dawniej z pulpitemi, kałamarzami

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Rozwiązuj gdzie chcesz i kiedy chcesz

Pobierz w **App Store** | **POBIERZ Z Google Play**

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację

Kraj/34310976